

MIĘDZYNARODOWY SALON PRZEMYSŁU OBRONNEGO KIELCE 2020

MAGAZYN NIE TYLKO DLA ŻOŁNIERZY

POLSKA ZBROJNA

nr 9 (893)

WRZESIEŃ 2020

ISSN 0867-4523

DEBATA

LEKCJA POKONYWANIA TRUDNOŚCI

JAK ZBROJENIÓWKA RADZI SOBIE
Z WIELKIMI KRYZYSAMI?



Bohaterom 1920 roku

W o j s k o w y I n s t y t u t
W y d a w n i c z y



Katyń 1920-1940

47 złotych. Taniej o 22%

HISTORIA TYCH CO POKONALI
BOLSZEVIKÓW W 1920, A POLEGLI
W 1940 W KATYNIU



Rok 1920

120 złotych. Taniej o 25%

ROK 1920 W OBRAZIE I DOKUMENCIE.
WOJNA Z BOLSZEVIKAMI W ZBIORACH
ARCHIWÓW POLSKICH



Bellona

40 złotych. Taniej o 33%

POLSKIE ZWYCIĘSTWO DLA
WOLNOŚCI EUROPY. 100-LECIE
BITWY WARSZAWSKIEJ 1920 OCZAMI
ŚWIADKÓW TAMTYCH WYDARZEŃ



Arcybiskup Stanisław Gall

39,90 złotych

PO RAZ PIERWSZY TAK OBSZERNIE
OPISANY ŻYCIORYS WIELKIEGO
POLAKA

2020
Darmowa
dostawa

DOSTĘPNE NA WWW.SKLEP.POLSKA-ZBROJNA.PL





Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA



WIELOWYMIAROWE SKUTKI PANDEMII COVID-19 ODCZUWAJĄ NIEMAL WSZYSTKIE BRANŻE W WIĘKSZOŚCI PAŃSTW NA ŚWIE- CIE. JAKI WPŁYW MA ONA NA PRZEMYSŁ ZBROJENIOWY?

Jak firmy tego sektora gospodarki radziły sobie z różnego rodzaju kryzysami w przeszłości? Z jakimi problemami mierzą się dziś? Jakie mechanizmy zostały uruchomione w celu wsparcia zbrojeniówki? Na te tematy dyskutowali eksperci, którzy wzięli udział w debacie „Polski Zbrojnej” – Dariusz Majchrzak z Akademii Sztuki Wojennej, Piotr Wilczyński z Polskiego Towarzystwa Geopolitycznego i Jacek Żołnierkiewicz z Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Wrześniowe wydanie miesięcznika zawiera także specjalny moduł zbrojeniowy, przygotowany z okazji 28. Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach. W tej części numeru znajduje się m.in. wywiad z Andrzejem Kensbokiem, prezesem Polskiej Grupy Zbrojeniowej, który mówi o nadziejach związanych z wielkimi programami modernizacji technicznej sił zbrojnych i wyzwaniach czekających ten koncern.

Wraz z wybuchem II wojny światowej rozpoczął się dramatyczny czas dla polskiego społeczeństwa, przede wszystkim jednak dla żołnierzy i ich dowódców, na których spoczywała odpowiedzialność za ludzkie życie, a podejmowane przez nich decyzje znajdowały potem odzwierciedlenie na polu walki. O niektórych jednostkach formowanych w 1939 roku do dziś niewiele wiadomo. Prezentujemy jedną z nich, czyli Lotniczy Oddział Szturmowy, w którym służyli ochotnicy wykonujący działania rozpoznawcze i szturmowe typowe dla sił specjalnych. ■



TEMAT NUMERU

KRZYSZTOF WILEWSKI,
TADEUSZ WRÓBEL

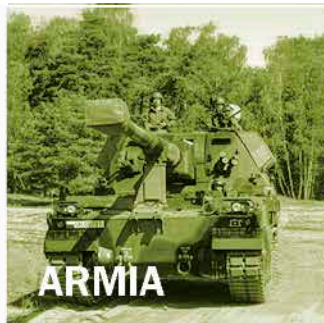
10 Lekcja pokonywania trudności

Dyskusja o przemyśle
zbrojeniowym

MACIEJ NOWAK-KREYER

20 Ryzykowne remedium

23 MSP0 Kielce 2020



ARMIA

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

48 Krab uderza z daleka

Żołnierze o nowej haubicy

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

54 Jak odzyskać giganta?

Rozmowa z Pawłem Galkiem

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

58 Patrole na linii

MICHAŁ ZIELIŃSKI

62 Wyższa szkoła ratowania życia

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

66 Orzeźwiający desant

MAGDALENA MIERNICKA

70 Posejdon uderza spod wody

PIOTR RASZEWSKI

74 Szkolenie z dystansem

TOMASZ ZDZIKOT

77 Kuźnia ekspertów



MILITARIA

TADEUSZ WRÓBEL

78 Lot za ocean

Gripeny dla Brazylii

RAFAŁ CIASTOŃ

84 Dynamiczna ewolucja

TOMASZ OTŁOWSKI

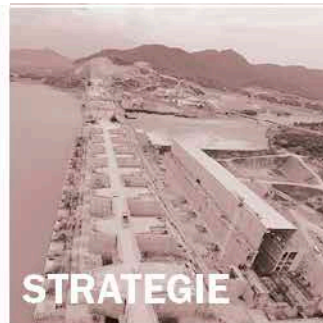
86 Latający niszczyciel

KRZYSZTOF WILEWSKI

90 Silnik z prądem

TADEUSZ WRÓBEL

92 Krok do silniejszej armii



STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

96 Awantury etiopskie

Spór o tamę

MICHAŁ ZIELIŃSKI

102 Kraj nad przepaścią

ROBERT CZULDA

106 Piraci na horyzoncie

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

108 Cienie nad Doliną Jordanu

ROBERT SENDEK

111 Ruchome granice

TADEUSZ WRÓBEL

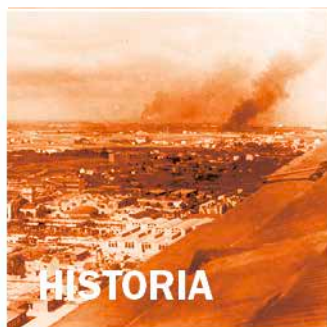
114 Klasyka w modzie

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

117 Sankcje nie wystarczą

Rozmowa z Kamilem
Kłysińskim





MACIEJ NOWAK-KREYER

120 Nocni łowcy

Lotniczy Oddział Szturmowy

ROBERT SENDEK

126 Maharadża przeciw Hitlerowi

PIOTR KORCZYŃSKI

130 Dla nas liczyła się walka

Rozmowa z Janem Skowronem

JACEK SZUSTAKOWSKI

134 Dumni z pierwszych żołnierzy

PIOTR KORCZYŃSKI

137 Kryptolog, któremu pomógł Poe

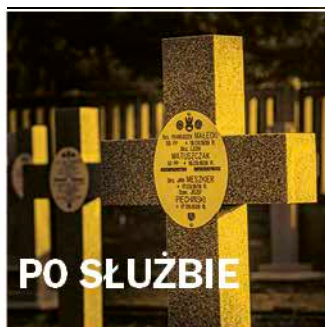
KRZYSZTOF KUBIAK

139 Smutny, szalony Mike



Zdjęcie na okładce:
Michał Niwicz

Znajdziesz nas tutaj:



MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

140 Powrót na pole bitwy

Szlakiem żołnierzy
Września '39

MACIEJ NOWAK-KREYER

146 Tydzień w Biesnamie

MAGDALENA

KOWALSKA-SENDEK

149 Historia z betonu i stali

PIOTR KORCZYŃSKI

152 Koniec świata po japońsku

ANDRZEJ FAFARA

154 Legenda Pershinga



DYREKTOR WOJSKOWEGO
INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,

sekretariat@zbrojni.pl;

tel.: 261 849 008, 261 849 007, faks: 261 849 459;

Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Izabela Borańska-Chmielewska,

tel.: 261 849 212; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 849 213;

Zastępcy sekretarza redakcji

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 849 147;

Joanna Rochowicz, tel.: 261 849 262;

polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,

Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek,

Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata

Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,

Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Rafał Ciastoń, Robert Czulda,

Andrzej Fafara, Krzysztof Kubiak, Maciej Nowak-Kreyer,

Tomasz Otlowski, Piotr Raszewski, Łukasz Zalesiński,

Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,

Małgorzata Mielcarz, Monika Siemaszko, tel.: 261 849 498;

Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 849 279

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 849 244;

Renata Gromska

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Patryk Czarnowski, Arkadiusz

Juszczak, Agnieszka Karaczun, Anita Kwaterowska

(tłumacz), Marta Szulc, Małgorzata Szustkowska,

tel.: 261 849 496, 261 849 457; reklama@zbrojni.pl

Numer zamknięto: 25.08.2020 r.

DRUK

ARTDRUK, ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,

www.artdruk.com

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Punkt Poczty Włocławek

ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek

elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

tel. 885 870 509, kom. 502 012 187

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych

„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl

– www.garmondpress.pl/prenumerata

– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym

prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”,

dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER



Narodowe Archiwum Cyfrowe.

250 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 849 494. Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.



NOWI GENERAŁOWIE

Trzynastu oficerów z gwiazdkami.

Wstępując w szeregi generalicji Wojska Polskiego, bierzecie na siebie odpowiedzialność za dowodzenie na najwyższym poziomie”, mówił prezydent Andrzej Duda, gdy w przeddzień Święta Woj-

ska Polskiego wręczał żołnierzom akty mianowania. Na wniosek ministra Mariusza Błaszczaka awans otrzymało 13 oficerów. Trzech z nich dostało drugą generalską gwiazdkę: Piotr Malinowski, szef sztabu Do-

wództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych; Dariusz Parylak, dowódca 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej; oraz Ireneusz Starzyński, dowódca Centrum Operacji Powietrznych – Dowództwa

Komponentu Powietrznego. Do grona generałów dołączyli natomiast: Krzysztof Cur, dowódca 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego; Bogdan Dziewulski, zastępca szefa Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych –



Święto żołnierzy

Główna część obchodów rozpoczęła się odprawą warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie. „To ważny dzień, w którym dziękujemy żołnierzom za ich służbę i oddajemy hołd wszystkim tym, którzy polegli za ojczyznę”, mówił prezydent Andrzej Duda. Z kolei minister Mariusz Błaszczak podkreślił, że jako potomkowie zwycięz-

ców Bitwy Warszawskiej jesteśmy im wdzięczni za to, czego dokonali sto lat temu. „Są dla nas wzorem do naśladowania, a pamięć o ich czynach będzie wieczna”, mówił szef MON-u. Podziękował też wszystkim żołnierzom Wojska Polskiego za ich codzienną służbę. Uroczystości zakończyło złożenie wieńców przy Grobie Nieznanego Żołnierza oraz defilada pododdziałów. PZ, PG ■

Kordziki i medale

Za szczególne osiągnięcia w wykonywaniu zadań służbowych wpisaniem zasług do „Księgi honorowej Wojska Polskiego” został wyróżniony przez Mariusza Błaszczaka płk Bogdan Prokop z Zarządu Inżynierii Wojskowej Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Trzech oficerów za wybitny dorobek w służbie wojskowej otrzymało Kordzik Honorowy Sił Zbrojnych. Szef MON-u wręczył go płk Rafałowi Borkowi i ppłk. Pawłowi Chodosiewiczowi z Polskiej Agencji Kosmicznej oraz ppłk. Witoldowi Gawalskiemu z Regionalnego Centrum Informatyki w Krakowie. Tytułem honorowym Zasłużony Żołnierz Rzeczypospolitej Polskiej wyróżnieni zostali zaś oficerowie mający wybitne zasługi w dowodzeniu, szkoleniu i pracy wychowawczej: płk Włodzimierz Chupka z DGRSZ, płk Witold Lipiński z Dowództwa Garnizonu Warszawa, płk Sławomir

Niemirka z Centrum Szkolenia Żandarmerii Wojskowej i ppłk. Andrzej Tudruz z Biura ds. Programu „Zostań Żołnierzem RP”.

Minister nagrodił żołnierzy, którzy dokonali czynów bohaterskich świadczących o ofiarności i odwadze. Nagrodę otrzymało 15 osób, m.in.: mł. chor. Adam Olejniczak z Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu, który uratował tonącego sześciolatka; st. kpr. Adam Steckiewicz z 15 Batalionu Saperów, który pomógł poszkodowanemu w wypadku drogowym; oraz kpr. Marcin Woźniak, który uratował życie pięciu osobom uwięzionym w płonącym budynku. Minister wręczył też odznaczenia resortowe. Złote, srebrne i brązowe medale „Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny” otrzymało 20 żołnierzy. Tylu samo wojskowych minister wyróżnił medalami „Za Zasługi dla Obronności Kraju”. PZ, PG ■

szef logistyki; Cezary Janowski, zastępca szefa Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych i Szkolenia Sztabu Generalnego WP, a także Krzysztof Nolbert, zastępca szefa sztabu ds. operacyjnych Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Wśród awansowanych do pierwszego generalskiego stopnia są też dowódcy brygad: Kazimierz Dyński

(3 Warszawska Brygada Rakietowa Obrony Powietrznej), Jarosław Górowski (1 Warszawska Brygada Pancerna), Rafał Kowalik (10 Brygada Kawalerii Pancernej), Rafał Ostrowski (7 Brygada Obrony Wybrzeża), Michał Rohde (19 Lubelska Brygada Zmechanizowana) oraz Bogdan Rycerski (15 Giżycka Brygada Zmechanizowana). PZ, PG ■

BLIŻSZY SOJUSZ

Do Polski przyjdzie więcej żołnierzy **armii Stanów Zjednoczonych**.

WOJCIECH KRÓL/COMMON

Umowa podpisana przez ministra Mariusza Błaszczaka i sekretarza stanu USA Michaela Pompeo zakłada utworzenie w Polsce wysuniętego dowództwa V Korpusu Sił Lądowych USA. Będzie ono odpowiadać za dowodzenie amerykańskimi siłami zbrojnymi stacjonującymi na wschodniej flance NATO. Jednostka, której dowódcą zostanie gen. John Kolasheski, ma rozpocząć funkcjonowanie w październiku 2020 roku. Siedzibą wysuniętego dowództwa dywizyjnego będzie Poznań. Co do innych lokalizacji, to w Drawsku Pomorskim znajdzie się centrum szkolenia bojowego do wspólnego korzystania przez wojska obu krajów, we Wrocławiu-Strachowicach powstanie baza lotnicza załadunkowo-rozładunkowa sił powietrznych USA, w Powidzu – siedziba lotniczej brygady bojowej, batalionu bojowego wsparcia logistycznego oraz obiektu sił specjalnych, w Łasku zaś – amerykańskiej eska-



Ryan D. McCarthy,
sekretarz Sił Lądowych USA: „Polska jest cennym sojusznikiem, który inwestuje duże środki w obronność i bierze udział w sojuszniczych inicjatywach. Obecność wojsk USA w Polsce przyczynia się do wzrostu siły regionu i zwiększa jego bezpieczeństwo”.

dry zdalnie sterowanych statków powietrznych. W Lublińcu zostanie zlokalizowany kolejny obiekt sił specjalnych, a w Żaganiu i Świątoszowie – pancerna brygadowa grupa bojowa.

Jak poinformowało MON, w razie zagrożenia Stany Zjednoczone mogą natychmiastowo przetrzymać do naszego kraju nawet 20 tys. żołnierzy. Miejsce stacjonowania sojuszniczych wojsk, a także infrastruktura, z której będą korzystać, zostaną wskazane przez Polskę. Nasz kraj poniesie też koszt pobytu żołnierzy. Resort szacuje, że rocznie na ten cel będzie przeznaczanych około 500 mln zł.

Porozumienie określa także, że USA będą sprawowały jurysdykcję karną wobec amerykańskich żołnierzy w wypadku zaniechań popełnionych przez nich w ramach obowiązków służbowych, natomiast w każdej innej sytuacji ma ich obowiązywać polskie prawo. PZ, MM

Zintegrowana marynarka

Polskie okręty zostaną wyposażone w urządzenia do identyfikacji **„swój-obcy”**.

MARCIN PURMAN



Wszystkie samoloty, śmigłowce i drony, a także okręty wojenne oraz pojazdy wykorzystywane przez armie NATO od lipca 2020 roku muszą używać do identyfikacji „swój-obcy” systemów odpowiadających najnowszemu

natowskiemu standardowi – Mark XIIA mod 5 poziom 1 i 2. W urządzenia IFF (Identification Friend or Foe) w tym standardzie są wyposażone przekazane do służby OORP „Kormoran” (na zdjęciu) oraz „Ślęzak”. Pozostałe okręty

mają je otrzymać w najbliższym czasie. Inspektorat Uzbrojenia MON zaprosił firmy posiadające w ofercie tego typu systemy do przetargu na zakup 15 transponderów IFF wraz z ich instalacją na 13 jednostkach. PZ, KW

Unikatowy trał

Dobiegają końca prace nad ważnym projektem.

Projekt o nazwie **MLM II** czyli lekki modułowy trał niekontaktowy, jest realizowany przez międzynarodowe konsorcjum, w którego skład wchodzi firmy z Norwegii, Finlandii i Niemiec. Główną rolę w przedsięwzięciu odgrywają konstruktorzy z Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Centrum Techniki Morskiej w Gdyni. Skonstruowano dwa

rodzaje tego sprzętu: prototyp trału nawodnego oraz demonstrator trału o zmiennym zanurzeniu. Wśród urządzeń przeznaczonych do zwalczania min taki demonstrator stanowi unikatowe rozwiązanie. Innowacją jest przede wszystkim możliwość zanurzenia i operowania pod wodą. Prace nad trałem dobiegają końca, następnie zaplanowano jego testy, które mają wskazać konstruktorom kierunek dalszych działań.

W poprzednich latach specjaliści z gdyńskiego ośrodka pracowali m.in. nad modułowym trałem niekontaktowym MLM pierwszej generacji i podwodną platformą sensoryczną do obrony przeciwminowej. Urządzenie holowane przez motorówkę bądź autonomiczną jednostkę pływającą potrafi wykrywać i klasyfikować miny, również te, które tkwią zagrzebane w osadach na morskim dnie. PZ, ŁZ



OBR CTM SA



CO MON

INNOWACYJNE TECHNOLOGIE

Współpraca resortu obrony z Siecią Badawczą Łukasiewicz.

List intencyjny o współpracy polegającej na wymianie doświadczeń i informacji w dziedzinie innowacyjnych technologii, które mogłyby być wykorzystane w siłach zbrojnych, podpisali minister Mariusz Błaszczak i Piotr Dardziński, prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz (na zdjęciu). Jest to ośrodek naukowy, który koordynuje prace 33 instytutów badawczych i ponad 4,5 tys. naukowców. Sieć opracuje na potrzeby MON-u m.in. nowy rodzaj stali do pocisków odłamkowo-burzących oraz tranzystor, który ma zapewnić polskiej armii samowystarczalność w dziedzinie techniki radarowej i łączności bezprzewodowej. Podpisany dokument zakłada też realizację wspólnych projektów na rzecz Europejskiej Agencji Obrony oraz Europejskiej Agencji Kosmicznej. PZ, MM

Hot450Challenge

Żołnierze honorowo oddają krew.

Akcja żołnierzy wojsk obrony terytorialnej ma pomóc w nagłośnieniu trudnej sytuacji w centrach krwiodawstwa i krwiolecznictwa oraz zachęcić innych do honorowego oddawania krwi. „W czasie wakacji jest ona szczególnie potrzebna. Dodatkowo sytuację skomplikowała epidemia koronawirusa,

która spowodowała, że chętnych do oddawania krwi jest znacznie mniej”, mówi st. sierż. Robert Kowalewski, rzecznik Szkoły Podoficerskiej Sonda. Każdy kto oddał krew, zamieszczał zdjęcie w mediach społecznościowych i nominował do wykonania zadania kolejne osoby. Powstał też pomysł, by zapraszać do udziału w akcji całe jednostki czy instytucje. Jako pierwsi krew oddali żołnierze i pracownicy z Dowództwa WOT, Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki oraz Szkoły Podoficerskiej Sonda. Krwiodawcy z WOT-u nominowali do akcji m.in. 9 Łódzką Brygadę Obrony Terytorialnej, Starostwo Powiatowe w Legionowie oraz 18 Dywizję Zmechanizowaną. PZ, MM



D W O T

**Panu Andrzejowi
Łuniewskiemu,**

właścicielowi firmy ArtDruk,
wyraży głębokiego żalu
i słowa wsparcia
w trudnych chwilach po śmierci
żony Małgorzaty
składa zespół
Wojskowego Instytutu
Wydawniczego.

TEMAT NUMERU

/ PRZEMYSŁ
ZBROJENIOWY

TOMASZ PACZOS/FOTONOVA/EAST NEWS

Wojskowe Zakłady Mechaniczne w Siemianowicach Śląskich są jedną z wiodących firm wchodzących w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Produkowane tu kołowe transportery opancerzone Rosomak sprawdziły się m.in. podczas misji w Afganistanie.

LEKCJA POKONYWANIA TRUDNOŚCI

*Dariusz Majchrzak,
Piotr Wilczyński
i Jacek Żołnierkiewicz
dyskutują o wielkich kryzysach w przemyśle
zbrojeniowym oraz tendencjach panujących
na rynku handlu bronią.*



P

rzemysł obronny odczuł już pierwsze negatywne skutki pandemii koronawirusa, szczególnie w krajach, gdzie lockdown spowodował wielotygodniowe przerwy w produkcji. Ile takich sytuacji kryzysowych zdarzyło się w tym sektorze od zakończenia zimnej wojny, gdy już nie były potrzebne duże inwestycje zbrojeniowe?

Piotr Wilczyński: Kres zimnej wojny nie oznaczał spadku zapotrzebowania na broń, bo zwiększyła się z kolei liczba konfliktów zbrojnych. Państwom zachodnim otworzyły się też rynki zbytu dla starych systemów broni do krajów, gdzie przemysł jednak przeszedł restrukturyzację i wiele zakładów upadło. Producenci otrzymywali więc zamówienia na nowe uzbrojenie, którym zastępowano to wyprzedane. Tak naprawdę do pierwszego poważnego kryzysu doszło po zamachach z 11 września 2001 roku, gdy USA rozpoczęły tzw. wojnę z terroryzmem, a zagrożenia z nim związane doprowadziły do wprowadzenia obostrzeń wynikających z podniesieniem norm bezpieczeństwa zakładów zbrojeniowych.

Jacek Żołnierkiewicz: Nie zgadzam się z opinią, że kres zimnej wojny nie wywołał kryzysu w przemyśle obronnym. Miał on miejsce w państwach byłego Układu Warszawskiego, a Polska jest tego przykładem. Już w latach osiemdziesiątych XX wieku widać było powiększającą się lukę technologiczną między naszą zbrojeniówką a zachodnią. Od końca tej dekady nie powstał żaden duży, zaawansowany technologicznie produkt. Ostatnim był czołg PT-91, czyli polska modernizacja T-72. Jeszcze lepiej skalę kryzysu naszego przemysłu obronnego odzwierciedla spadek zatrudnienia. Przed końcem zimnej wojny w zakładach zbrojeniowych pracowało około 250 tys. osób, a kilka lat później – 50 tys. Nawet jeśli uwzględnimy, że część produkcji, chociażby mundurów, przestano wówczas zaliczać do zbrojeniówki, to i tak to był gigantyczny regres. Co gorsza, żaden z programów restrukturyzacyjnych tego sektora wdrożonych w la-

tach dziewięćdziesiątych się nie powiódł, czego negatywne skutki odczuwamy do dzisiaj.

Dariusz Majchrzak: Zakończenie zimnej wojny, rozwiązanie Układu Warszawskiego i rozpad Związku Sowieckiego oznaczały ogromne zmiany geopolityczne. Do nowej sytuacji musiało się dostosować nasze państwo wraz z wojskiem, którego liczebność została zredukowana, co miało poważne konsekwencje dla przemysłu zbrojeniowego. Jednocześnie pojawił się nowy czynnik – aktywność zagranicznych koncernów zbrojeniowych, które dostrzegły w zachodzących u nas procesach politycznych okazję do zdobycia nowych rynków zbytu. Kierunek wyznaczony na integrację z Sojuszem Północnoatlantyckim oznaczał, że wojsku potrzebny będzie sprzęt, jakiego nasza zbrojeniówka nie miała w swojej ofercie.

Jacek Żołnierkiewicz: Ten drugi kryzys w zbrojeniówce był efektem krachu finansowego w latach 2007–2008. Służyłem wówczas w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego i byłem świadkiem, jak z dnia na dzień nastąpiły cięcia w wielu programach modernizacji technicznej, a tym samym w zamówieniach na uzbrojenie i sprzęt. Przetrwwały tylko te uznane za priorytetowe, związane z integracją z NATO i misjami zagranicznymi. W najtrudniejszym położeniu znalazły się wówczas małe firmy, które nie mogły czekać kilka lat, aż znowu pojawią się zamówienia.

Piotr Wilczyński: To prawda, największy kryzys w przemyśle obronnym po zimnej wojnie, i to w skali globalnej, był skutkiem tego, że w latach 2007–2008 nastąpił upadek wielodewizowego międzynarodowego systemu walutowego. W wielu państwach cięto wówczas budżety, czego konsekwencją okazały się brak nowych kontraktów i anulowanie części już zawartych.

W przeszłości kryzysy objawiały się tym, że nie było kontraktów na broń. W pierwszej fazie obecnego zawirowania zbrojeniówka ma zamów-



PIOTR WILCZYŃSKI: POCZUCIE NIEPEWNOŚCI JUTRA W SFERZE BEZPIECZEŃSTWA

OZNACZA WZROST ZAPOTRZEBOWANIA NA UZBROJENIE

ARTUR ORZECZOWSKI

wienia, ale pojawiły się kłopoty z ich realizacją ze względu na czasowe zamknięcie firm.

Jacek Żołnierkiewicz: Nadal nie wiemy, jakie będą długofalowe skutki pandemii, bo nie wiadomo, jak długo będzie ona trwała. Im dłużej, tym gorzej dla gospodarki. Tymczasem wydatki na program modernizacji technicznej są ściśle powiązane z produktem krajowym brutto. W tym roku nastąpi jego spadek, więc cięcia w zamówieniach wydają się nieuniknione. I tak jak w przeszłości, dostępne środki finansowe zostaną przeznaczone na priorytetowe programy, a tymi są, jak wskazał

minister obrony narodowej, samolot wielozadaniowy F-35, rakietowy system obrony powietrznej Patriot oraz artylerii rakietowej HIMARS. Pozostałe programy raczej nie zostaną skreślone, lecz będą przesunięte w czasie. Jeśli jednak kryzys się pogłębi, zapewne zmieni się gradacja ich ważności. Wtedy potrzebna będzie pomoc państwa dla firm zbrojeniowych, chociaż się obawiam, że niektóre z nich, mimo takiego wsparcia, mogą nie przetrwać.

Dariusz Majchrzak: Każda sytuacja kryzysowa jest inna. W obecnym kryzysie epidemiologicznym już teraz widać, jak



ważne jest oddziaływanie mediów, poprzez przekazywane przez nie informacje, na opinię publiczną, szczególnie że mamy do czynienia z rzadko spotykanym zagrożeniem – pandemią. Chociaż niektóre statystyki, choćby związane z liczbą zgonów porównywaną rok do roku, zaprzeczają poziomowi zagrożenia, nie należy obecnej sytuacji bagatelizować. Zasadne jest stosowanie środków prewencyjnych tam, gdzie to tylko możliwe. Nie wydaje mi się, że w dalszej perspektywie pandemia będzie miała kluczowy wpływ na gospodarkę, a szczególnie na przemysł zbrojeniowy, ale dopiero czas pokaże, jakie będą jej konsekwencje.

Piotr Wilczyński: Też uważam, że dane dotyczące ogólnej liczby zgonów w większości państw nie potwierdzają tego, że mamy do czynienia z pandemią. Niemniej jednak obecny kryzys nosi znamiona wojny bioinformatycznej, czyli jest to rodzaj działań hybrydowych. Jednym ze skutków tej sytuacji jest osłabienie konkurencyjności gospodarek Zachodu, na czym zyskują Chiny. Odnosnie do wpływu tego kryzysu na zbrojeniówkę to zgadzam się z tezą, że bez wsparcia państwa, czyli nas, podatników, nie uda się utrzymać firm mających kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego. Z podobnym problemem zderzy się cały świat. Jednocześnie duże, silne koncerny zbrojeniowe – głównie amerykańskie i zachodnioeuropejskie – będą starały się wykorzystać sytuację kryzysową, by za wielkie pieniądze przejąć interesujące je przedsiębiorstwa.

Czy nie przecenia się wpływu pandemii na zbrojeniówkę?

Jacek Żołnierkiewicz: Na przemysł obronny oddziałują różne czynniki, takie chociażby jak sytuacja międzynarodowa. Czy koronawirus spowodował spadek liczby konfliktów zbrojnych lub ich natężenia? Nie, co więcej, pojawiły się nowe ogniska zapalne. Nadal będzie więc zapotrzebowanie na broń. Oczywiście mogą nastąpić rewizje niektórych zamówień oraz reorganizacje w przemyśle. Nie sądzę jednak, by w perspektywie długoterminowej obecny kryzys miał znaczący wpływ na zbrojeniówkę.

Piotr Wilczyński: Firmy zbrojeniowe teraz muszą zmierzyć się z trzema problemami. Pierwszym jest zmniejszenie produkcji czy też jej spowolnienie, wynikające z upadku niektórych poddostawców. Efektem tego jest kolejny problem, czyli opóźnienia w dostawach. Trzeci to wzrost ceny produktu. Zmniejszająca się podaż podzespołów powoduje, że są one coraz droższe. Wpływ na koszty produkcji ma również rosnąca inflacja, bo w takich sytuacjach rządy najczęściej po prostu dodrukują pieniądze.

Wsparcie państwa powinno ograniczać się tylko do firm państwowych?



JACEK ŻOŁNIERKIEWICZ

Od pięciu lat jest związany z Polską Grupą Zbrojeniową. Wcześniej przez 29 lat służył jako oficer sił powietrznych i Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, specjalizujący się w zautomatyzowanych systemach wsparcia dowodzenia i kierowania środkami walki oraz taktycznych systemach transmisji danych.

Jacek Żołnierkiewicz: Wsparcie powinny otrzymać wszystkie polskie firmy – niezależnie od formy własnościowej – które są ważne dla systemu obronnego państwa. To, że większość z nich jest państwowa, wynika z konieczności spełnienia wielu warunków, takich jak utrzymywanie zdolności do produkcji i jej zwiększenia na wypadek wojny. Dlatego do nich trafiają kluczowe zamówienia. Ale w składzie konsorcjów realizujących duże programy wojskowe znajdują się firmy prywatne.

Dariusz Majchrzak: Przemysł zbrojeniowy jako całość powinien być oczkiem w głowie władz państwowych, które z jednej strony powinny go wspierać, ale z drugiej – czerpać z niego określone korzyści. Wydaje mi się, niezależnie od tego, czy firmy zbrojeniowe są własnością prywatną, czy należą do Skarbu Państwa, że to państwo musi sprawować nad nimi jakąś formę kontroli, tak aby były częścią polityki bezpieczeństwa.

W jaki sposób swoje przemysły obronne wspomagają państwa NATO i Unii Europejskiej? Czy doświadczenia ostatnich miesięcy nie wskazują na potrzebę wprowadzenia w Polsce dodatkowych rozwiązań?

Jacek Żołnierkiewicz: W niektórych krajach, w tym w Niemczech, uruchomiono mechanizm pozwalający na



DR PIOTR L. WILCZYŃSKI

Jest prezesem Polskiego Towarzystwa Geopolitycznego, adiunktem na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie. Zajmuje się naukowo geopolityką i geostrategią, przemysłem zbrojeniowym i konfliktami zbrojnymi na świecie. Oficer rezerwy z doświadczeniem na misjach zagranicznych. ■

ARTUR ORZECZOWSKI (2)

szersze lokowanie zamówień u krajowych producentów. My też powinniśmy pójść tą drogą. W Polskiej Grupie Zbrojeniowej widzimy konieczność zmian prawnych i pewne propozycje w tej kwestii przesłaliśmy już do Ministerstwa Aktywów Państwowych. Jedną z nich to możliwość odstąpienia od kar umownych, co teraz jest niemożliwe. Dobrym mechanizmem mogłoby być również zwiększenie kwot zaliczek na zamówiony sprzęt. To rozwiązanie korzystne dla obu stron, bo producent nie musi zaciągać dużych kredytów, co przekłada się na cenę wyrobu.

Piotr Wilczyński: Forma wsparcia w dużej mierze zależy od tego, czy w danym kraju więcej jest firm państwowych, czy prywatnych. W Stanach Zjednoczonych rząd mocno wspiera sektor prywatny, ale to wynika ze specyficznej sytuacji. Otóż amerykańskie firmy zbrojeniowe są blisko powiązane z politykami, gdyż asygnują duże kwoty na ich kampanie wyborcze i oczekują w rewanżu przychylności. W zamian za przysługi kongresmen czy prezydent może liczyć na pieniądze ze zbrojeniówki przy okazji kolejnych wyborów.

W Europie przedsiębiorstwa państwowe muszą wierzyć, że rząd zdecyduje się im pomóc przez m.in. zamówienia lub dotacje czy obniżenie podatków. Prywatne muszą zwykle bardziej zdać się na własne zasoby. W Polsce firmy, które w specjalnym wykazie przedsiębiorstw o szczególnym znaczeniu gospodarczo-obronnym, mogą otrzymać wsparcie ze strony państwa. Według mnie takie rozwiązanie jest krzywdzące dla prywatnych dostawców podzespołów spoza tego wykazu.

Jacek Żołnierkiewicz: Każda firma gotowa spełnić stawiane wymagania może jednak znaleźć się w tym wykazie.

Dariusz Majchrzak: Skala i formy wsparcia przemysłu obronnego ze strony państwa zależą od tego, czy uzna ono, że pomoc leży w jego interesie. Kluczowa jest tu wola polityczna. Poza tym ważne są możliwości ekonomiczne poszczególnych państw, bo nie wszystkie stać na wpompowanie w zbrojeniówkę setek milionów czy miliardów dolarów lub euro. Niemniej jednak korzyści dla państwa, szczególnie w odniesieniu do podmiotów zaawansowanych technologicznie, mogą być znaczne.

Czy firmy zbrojeniowe utrzymują jakieś rezerwy finansowe na czarną godzinę?

Dariusz Majchrzak: Istnieje pewna prawidłowość, która nie ogranicza się do przemysłu obronnego. Wielkie koncerny praktycznie zawsze mają jakieś zasoby własne, które umożliwiają im funkcjonowanie w kryzysie co najmniej przez kilka miesięcy bez wsparcia zewnętrznego. Mniejsze firmy często szybko tracą płynność finansową i popadają w kłopoty już po kilku tygodniach zaprzestania działalności. Dlatego sprawa rezerw finansowych podmiotów gospodarczych z branży zbrojeniowej wydaje się kluczowa.

Jacek Żołnierkiewicz: W naszych państwowych firmach przemysłu obronnego nie ma takich rezerw, co poniekąd jest konsekwencją wspomnianych wcześniej prób restrukturyzacji tego sektora. Chociażby wojskowe zakłady remontowo-producyjne przekształcono w spółki i rzucono na głębokie wody wolnego rynku, nie zapewniając w większości wypadków odpowiedniego wsparcia w formie zamówień.



Ze względu na problemy z utrzymaniem ciągłości dostaw komponentów wytwarzanych za granicą pojawiły się głosy, że szeroka kooperacja międzynarodowa w produkcji uzbrojenia nie jest dobrym rozwiązaniem i należy się opierać na krajowym potencjale. Czy grozi to zapaścią projektów wielonarodowych w państwach zachodnich i zwrotem ku autarkii, czyli samowystarczalności w przemyśle obronnym?

Jacek Żołnierkiewicz: Każde ryzyko można wycenić. Przed obecnym kryzysem najważniejsza była niska cena produkcji, nie tylko w przemyśle zbrojeniowym. Negatywne konsekwencje takiego podejścia pojawiły się po wybuchu pandemii, gdy okazało się, że Chiny mają monopol na część produktów potrzebnych do walki z wirusem. Dlatego teraz takie ryzyko będzie uwzględniane m.in. przy produkcji broni.

Dariusz Majchrzak: Obecny kryzys jest wielką lekcją dla firm nie tylko z branży zbrojeniowej. Co więcej, pojawiają się ostrzeżenia, że czekają nas kolejne pandemie. Niemniej jednak nie sądzę, aby w produkcji uzbrojenia była możliwa pełna autarkia, choć z pewnością rządy wielu państw będą dążyły do samowystarczalności w tej sferze.

Jacek Żołnierkiewicz: Sądzę, że w ramach Unii Europejskiej i NATO zostaną wypracowane procedury pomocy na wypadek takiej sytuacji, z jaką teraz mamy do czynienia, m.in. w przemyśle obronnym. Mogą zostać wprowadzone mechanizmy przeciwdziałające nieprzewidzianym problemom z ciągłością dostaw, takie jak umieszczenie produkcji tych samych komponentów w różnych miejscach oraz gromadzenie zapasów, które umożliwią wytwarzanie wyrobu finalnego nawet po przerwaniu łańcucha dostaw.

W sytuacji kryzysowej politycy zdecydują się na redukcję zakupów uzbrojenia czy raczej będą się starali utrzymać miejsca pracy w przemyśle obronnym?

Piotr Wilczyński: W świecie zachodnim podejście do tej kwestii będzie pochodną tego, z jakiego środowiska politycznego wywodzą się rządzący w danym państwie. Jednym z pierwszych posunięć polityków, którym bliskie są poglądy pacyfistyczne, będzie cięcie wydatków zbrojeniowych. Inne decyzje będą podejmowane tam, gdzie rządzący są w bliskich relacjach z wielkim biznesem, reprezentowanym przez koncerny zbrojeniowe.

Dariusz Majchrzak: W gospodarce jedną z najważniejszych zasad jest zasada popytu i podaży. Choć trwa kryzys związany z pandemią, intensywność i liczba konfliktów zbrojnych na całym świecie nie maleją. Skala i rodzaj zagrożenia militarnego nie zmieniają się również w odniesieniu do naszego kraju. Należy więc wnioskować, że nie będzie maleć zapotrzebowanie

DARIUSZ MAJCHRZAK: Z ZASADY W CZASIE KRYZYSÓW ZWIĘK- SZA SIĘ LICZBA KON- FLIKTÓW ZBROJ- NYCH, A TE WYWO- ŁUJĄ WZROST POPY- TU NA BRONĀ

na wszelkiego rodzaju uzbrojenie. Istotny wpływ na zakupy broni w dobie kryzysu będzie miało też podejście danego kraju do kwestii bezpieczeństwa. Jeśli jakieś państwo zauważy zagrożenie, to jego skłonność do cięć wydatków obronnych jest mniejsza. Przykładami takiego podejścia są Estonia i Łotwa.

Jacek Żołnierkiewicz: Kraje te deklarują, że nie ograniczą nakładów na obronę, ale mogą być do tego zmuszone. Takie decyzje wymusi na politykach sytuacja gospodarcza. Choć rządy chciałyby lokować zamówienia w zbrojeniówce, to mogą nie mieć na ten cel pieniędzy. Jeśli będzie spadać PKB, to budżety państw, w tym resortów obrony, będą coraz mniejsze.

Piotr Wilczyński: Poza tym, nawet jeśli wydatki obronne nie zmieniają się pod względem kwot, to z powodu inflacji wartość nabywca tych pieniędzy będzie niższa.

Jacek Żołnierkiewicz: Trzeba też brać pod uwagę stosunek opinii publicznej do wydatków obronnych, który politycy zwykle uwzględniają, gdy brakuje pieniędzy i trzeba dokonać cięć w budżecie.

Jak zatem rysuje się przyszłość światowego handlu bronią?

Piotr Wilczyński: Po wybuchu pandemii można dostrzec wzrost skłonności, nawet w państwach demokratycznych, do wprowadzania rządów autorytarnych, a to zwiększa zagrożenie, że wybuchną nowe konflikty zbrojne oraz lokalne zamieszki i kryzysy polityczne. Poczucie niepewności w sferze bezpieczeństwa oznacza wzrost zapotrzebowania na uzbrojenie. W najlepsze trwają też dotychczasowe konflikty, dlatego handel bronią nie ustanie.



ARTUR ORZECZOWSKI

PŁK DR HAB. DARIUSZ MAJCHRZAK

Jest pracownikiem Akademii Sztuki Wojennej. Swoje zainteresowania naukowe ukierunkowuje na problematykę bezpieczeństwa narodowego i międzynarodowego, zajmuje się analizą procesów i zjawisk w środowisku bezpieczeństwa. ■

Dariusz Majchrzak: Z zasady w czasie kryzysów zwiększa się liczba konfliktów zbrojnych, a te wywołują wzrost popytu na broń. Reakcją zwykle jest rosnąca podaż w tej dziedzinie. Nie sądzę, by z powodu koronawirusa nastąpił jakiś regres w handlu bronią.

Piotr Wilczyński: Szansy dla naszych wytwórców broni upatruję w tym, że w poszczególnych państwach mogą upaść mniejsze firmy, ale wówczas będą potrzebne u nas odpowiednie zdolności produkcyjne oraz konkurencyjność pod względem ceny i terminów dostaw. Potencjalnymi rynkami dla naszej broni mogą być kraje arabskie i bałkańskie. Jej eksport może stać się źródłem funduszy na nowe prace badawczo-rozwojowe.

Jacek Żołnierkiewicz: To nie będzie takie proste, bo coraz więcej państw, podobnie jak Polska, oczekuje transferów

technologii militarnych i produkcji broni u siebie. Przy eksporcie uzbrojenia i sprzętu wojskowego ważna jest bliska współpraca między przemysłem a ministerstwem obrony, bo prawa własności intelektualnej do wielu projektów należą do Skarbu Państwa. Gdy są to systemy niejawne, a zainteresowany klient chce dostępu do kodów źródłowych, trudno liczyć na zgodę strony wojskowej. Wtedy alternatywą jest głęboka modyfikacja projektu, co wymaga czasu i pieniędzy.

Zdarzało się w przeszłości, że traciliśmy potencjalne zagraniczne zamówienia, bo przemysł nie był w stanie spełnić wspomnianych wymagań co do wielkości produkcji i terminów dostaw.

Jacek Żołnierkiewicz: Niestety trudno nam rywalizować o kontrakty z wielkimi koncernami, których skala produkcji jest nieporównywalna z możliwościami naszych spółek. Podobne ograniczenia istnieją pod względem czasu stworzenia nowego produktu zgodnie z wymaganiami konkretnego klienta. Niewielka skala produkcji miewa również negatywny skutek dla naszych sił zbrojnych. Niekiedy koszty remontu pewnych systemów powstałych wiele lat temu okazują się wyższe niż zamówienie nowych.

Czy będą jakieś zmiany w handlu bronią na poziomie regionalnym?



JACEK ŻOŁNIERKIEWICZ: NIESTETY TRUDNO NAM RYWALIZOWAĆ O KONTRAKTY Z WIELKIMI KONCER- NAMI, KTÓRYCH SKA- LA PRODUKCJI JEST NIEPORÓWNYWALNA Z MOŻLIWOŚCIAMI NASZYCH SPÓŁEK

Piotr Wilczyński: Najwięcej broni wprowadzają monarchie znad Zatoki Perskiej, które czerpią zyski z eksportu ropy naftowej i gazu. One dopiero budują swe przemysły obronne, dlatego import jest tam koniecznością. Jeśli jednak z powodu kryzysu w państwach zachodnich zmniejszą się zakupy ropy, to kraje arabskie będą miały mniej pieniędzy na broń.

Jacek Żołnierkiewicz: Mogą też nastąpić pewne przetasowania regionalne w Azji. W Europie członkowie NATO od kilku lat zwiększają wydatki na obronność, bo ich armie muszą odtworzyć wiele zdolności bojowych utraconych po zimnej wojnie. Kryzys wywołany przez koronawirusa nie powinien zmienić tej tendencji. Oczywiście jeżeli nie będzie trwał zbyt długo.

Jakie mogą być skutki obecnego kryzysu dla polskiej zbrojeniówki, w tym jej planów współpracy międzynarodowej?

Jacek Żołnierkiewicz: Wiele będzie zależeć od polityki rządu związanej z dużymi zakupami uzbrojenia za granicą, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Chodzi o to, by przy tej okazji doszło do transferów technologii oraz nawiązania współpracy pomiędzy firmami polskimi i amerykańskimi. Kluczowa będzie też kwestia tego, czy zechcemy wprowadzić do importowanych systemów jakieś własne rozwiązania lub urządzenia, czy raczej przyjąć je w konfiguracji oferowanej przez dostawcę. W tym drugim wypadku cena może być niższa, a dostawy szybsze, ale odbędzie się to kosztem naszych producentów.

Dariusz Majchrzak: Moim zdaniem kluczowa jest ocena możliwości poszczególnych firm, spółek i podmiotów oraz tego, czy produkcja konkretnego rodzaju uzbrojenia w kraju jest opłacalna. Jeśli okaże się pozytywna, to powinny pojawić się środki finansowe na badania, tak by wszystkim zainteresowanym podmiotom dać możliwość tworzenia nowoczesnych rozwiązań, które mogą w konsekwencji zaowocować powstaniem nowego produktu, mogącego znaleźć nabywców nie tylko w Polsce. Należy jednak zdawać sobie sprawę z tego, że jest to proces wymagający czasu oraz zmian w sposobie nadzoru przez państwo i siły zbrojne nad kierunkami badań.

Jacek Żołnierkiewicz: Niestety niewydolny obszar prac badawczo-rozwojowych tego nie gwarantuje. Ministerstwo Obrony Narodowej dostrzega ten problem i dlatego trwają prace nad uzdrowieniem tego obszaru, ale to temat na inną debatę.

Piotr Wilczyński: Obecny kryzys, a w zasadzie to, co po nim nastąpi, czyli zmiany gospodarcze na skalę globalną, stanowi

zarówno szansę na rozwój, jak i zagrożenie. Dlatego nasz przemysł zbrojeniowy musi być pod opieką specjalistów, których praca przyniesie długofalowe plany rozwoju oraz uchroni nasze zakłady przed załamaniem gospodarczym. Jest to dobry czas, by nawiązywać korzystne porozumienia, przejmować mniejsze przedsiębiorstwa oraz wykorzystać spadek cen ich akcji czy wycofanie się z niektórych rynków większych graczy. Do tego są potrzebne analityczne umysły i zdolne przywództwo polityczne.

Czy szansą na rozwój naszej zbrojeniówki może być udział w programach wielonarodowych?

Jacek Żołnierkiewicz: W tym wypadku bardzo ważny jest moment włączenia się w konkretny program wielonarodowy. Do tego dotyczącego produkcji F-35 wchodzimy, gdy karty zostały rozdane, więc nie możemy liczyć na zbyt wiele. Ważna jest również konsekwencja w podejściu do uczestnictwa w takich projektach. Swego czasu Polska przystąpiła do programu „Alliance Ground Surveillance”, a potem zrezygnowała z udziału w nim. Gdy w końcu zdecydowaliśmy się na powrót, to nasza pozycja była już zupełnie inna.

Piotr Wilczyński: Dobrym pomysłem byłoby nawiązanie większej współpracy z państwami grupy V4, tj. Czechami, Słowacją i Węgrami. Po pierwsze, są one położone blisko nas, co oznacza mniej zagrożeń związanych z ewentualnym przerwaniem łańcucha dostaw. Po drugie, jesteśmy w podobnej sytuacji geopolitycznej. Po trzecie, te kraje mają dość rozwinięty przemysł zbrojeniowy i nawiązanie z nimi współpracy oznaczałoby połączenie wysiłków badawczych, a zatem dałoby potencjał porównywalny z niemieckim, francuskim lub brytyjskim. Po czwarte, Polska byłaby w tym układzie największym partnerem. Wadą takiego programu jest zaś ograniczenie tylko do systemów lądowych. Budowę okrętów można by jednak rozwijać na podstawie porozumień z państwami basenu Morza Bałtyckiego. Mam na myśli szczególnie Finlandię, mającą spore doświadczenie w konstruowaniu małych okrętów, odpowiednich do obrony polskiego wybrzeża, Szwecję z zakładami zdolnymi do produkcji okrętów podwodnych, oraz Danię, która buduje nowoczesne jednostki o większej wyporności. Również w produkcji samolotów i śmigłowców musimy zdecydować się na współpracę z zagranicznymi partnerami, gdyż w Polsce brakuje zdolności do wytwarzania samolotów bojowych najnowszych generacji, ale śmigłowce czy samoloty szkolno-treningowe możemy produkować. ■

Rozmawiali KRZYSZTOF WILEWSKI i TADEUSZ WRÓBEL.

**HSW****PGZ**Narodowe Centrum
Badań i Rozwoju

www.hsw.pl

PRZYSZŁOŚĆ WOJSK PANCERNYCH I ZMECHANIZOWANYCH

NBPWP BORSUK

Nowy bojowy pływający wóz piechoty (NBPWP) kryptonim „Borsuk” ze Zdalnie Sterowanym Systemem Wieżowym (ZSSW) z armatą Bushmaster 30 mm oraz zintegrowaną podwójną wyrzutnią PPK Spike.

NBPWP BORSUK
ZSSW 30MM
PPK SPIKE

- » zintegrowany system łączności, dowodzenia i kierowania ogniem
- » automatyczny system prowadzenia ognia
- » 30 mm armata automatyczna z dwudrożnym systemem dosyłania amunicji
- » system stabilizacji uzbrojenia
- » dzienno-nocne systemy obserwacji
- » tryb śledzenia celu Hunter Killer



NBPWP charakteryzuje się pożądanymi dla współczesnego pola walki parametrami taktyczno-technicznymi, pokonywaniem przeszkód wodnych, dużą manewrowością oraz zdolnością do działań w różnych warunkach terenowych i klimatycznych z zagwarantowaniem odpowiedniego poziomu ochrony balistycznej i przeciwminowej. Konstrukcja Borsuka zapewnia możliwość transportu drużyny piechoty. Jego uniwersalne podwozie będzie stanowić bazę do budowy innych rodzajów pojazdów.

Ryzykowne remedium

Wielkie kryzysy gospodarcze często prowadzą do wielkich wojen. Doskonałym sposobem wyciągania kraju z zapaści są interwencyjne inwestycje, na przykład w zbrojenia.

MACIEJ NOWAK-KREYER



Premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill
celuje z amerykańskiego
pistoletu maszynowego
Thompson.

Druga wojna światowa była nieunikniona, bo ta z początku stulecia pozostawiła zbyt wiele nierozstrzygniętych sporów. Wielki kryzys, który rozpoczął się w 1929 roku, przyspieszył ją jednak co najmniej o kilka lat. Wiele państw uznało bowiem zbrojenia za remedium na kłopoty gospodarcze.

Niemcy, główny przegrany I wojny światowej, wyszły z niej pobite, lecz nie rozbite. Zostały jednak nałożone na nie srogie sankcje, które społeczeństwo uważało za krzywdzące. Te nastroje oraz załamanie gospodarki wywołane wielkim kryzysem znakomicie wykorzystali wówczas naziści. Kupili sobie poparcie obietnicami, że jeśli dostaną władzę, szybko ulecą kraj, który pod demokratycznymi rządami znalazł się na skrajach gospodarczej przepaści i wojny domowej.

Rzeczywiście, po 1933 roku w Niemczech dokonał się cud gospodarczy. Bezrobocie z 30% w krótkim czasie spadło do 1,3%. Stało się tak dzięki szybkiej rozbudowie przemysłu ciężkiego, samochodowego i chemicznego. Błyskawiczna industrializacja dała bazę do szeroko zakrojonych zbrojeń, na które państwa dawnej ententy patrzyły przez palce, licząc na to, że remilitaryzowane Niemcy staną się dla nich silnym sojusznikiem, osłaniającym Zachód przed spodziewanym uderzeniem Związku Radzieckiego.

Sprawom wojskowym podporządkowano w Niemczech nawet roboty publiczne, czyli podstawowe narzędzie państwa do walki z bezrobociem. Zbudowano sieć autostrad, które w przyszłości miały ułatwiać przemieszczanie się armii, powstały też liczne poligony i lotniska. Społeczeństwo, bogacące się i odzyskujące poczucie narodowej dumy, nie zwracało uwagi na to, że taka pośpieszna rozbudowa przemysłu zbrojeniowego wymaga ciągłego zwiększania długu publicznego, a rozpędzona ponad miarę spirala wydatków prowadzi do tego, że jedynym sposobem uniknięcia gospodarczego krachu będzie pokrycie deficytu środkami uzyskanymi drogą podboju.

SYNDROM PARIASA

Podobną strategię wybrały Włochy, które mimo mocarstwowych dążeń, w latach dwudziestych ubiegłego stulecia nie wydawały dużo na zbrojenia. Wielki kryzys jednak to zmienił. Choć w I wojnie światowej państwo to było sojusznikiem Francji i Anglii, czuło, że jest traktowane przez innych zwycięzców jak parias. Włosi, ciągle hamowani w swoich ambicjach, uznali, że krach światowej gospodarki stwarza świetną okazję do samodzielnego wykrojenia sobie kawałka mocarstwowego tortu, zwłaszcza że niedawni aliansi są zajęci własnymi problemami.

Rzym potrzebował do tego silnego wojska. W latach trzydziestych na zbrojenia szła więc jedna trzecia budżetu państwa, czyli w liczbach bezwzględnych było to więcej niż wydawały Francja, Wielka Brytania i USA. Dokonano wielkiej rozbudowy marynarki, aby zdobyć dominację na Morzu Śródziemnym. Wzmocniono też lotnictwo, szlifując je na wojnach w Abisynii oraz Hiszpanii. Do sił lądowych zaś wprowadzano nowe typy czołgów oraz dział.

Gospodarka rolniczych Włoch była jednak za słaba, aby udźwignąć wydatki związane z podtrzymywaniem potencjału

militarnego – nie inwestowano w nowoczesne konstrukcje oraz modernizację sprzętu, który szybko się starzał. Rozbudowana marynarka wojenna nie miała żadnego lotniskowca, w siłach powietrznych latały głównie dwupłatowce, liczne okręty podwodne nie miały nowoczesnego wyposażenia, a czołgi były pozbawione łączności radiowej.

PACYFISTYCZNE NASTROJE

Francja oraz Wielka Brytania, zbyt pewne siebie po upokorzeniu Niemiec w I wojnie światowej, a zarazem strauumatyzowane koszmarem wojny, przejawiały raczej tendencje pacyfistyczne. Pierwsza faza wielkiego kryzysu zaledwie musnęła Francję dzięki mocnej walucie, dużym zapasom złota oraz relatywnie niewielkiej zależności od międzynarodowych rynków. Zmieniło się to po 1933 roku. Dewaluacja franka pociągnęła za sobą raptowny spadek produkcji przemysłowej, co gorsza przebiegający równoległe z gwałtownym rozwojem przemysłowym Niemiec.

Mocarstwo o wielkiej sile militarnej szybko zaczęło tracić potencjał wojskowy, bo brakowało środków na nowe typy uzbrojenia i modernizację starszych, zabrakło też woli na takie działania. Francuzi wciąż pragnęli przede wszystkim pokoju. Wojskowych decydentów, w większości weteranów wielkiej wojny, cechowało nastawienie defensywne i zachowawcze. Zaniedbywali rozwój techniki wojskowej w czasach, gdy niemal co chwila dokonywał się w niej jakiś epokowy przełom. Francuzi zajęli się dozbrajaniem dopiero w roku 1938, gdy oczywiste stało się zagrożenie ze strony hitlerowskich Niemiec. Na wydatki wojskowe przeznaczono wówczas 30% budżetu, jednak trochę za późno. Ponadto braki w rozwoju myśli strategicznej sprawiały, że te pieniądze marnowano. Wzmocniono na przykład marynarkę wojenną zamiast sił lądowych, które były niezbędne, by przeciwstawić się niemieckiemu uderzeniu, a duży potencjał licznych i nowoczesnych wojsk pancernych roztrwoniono, traktując czołgi tylko jako wsparcie dla piechoty.

Podobnie działo się w Wielkiej Brytanii. Pierwszowojenna trauma skłoniła wyspiarzy do skupienia się na problemach wewnętrznych. Kryzys gospodarczy doprowadził do dramatycznego spadku produkcji przemysłowej, której zresztą nie ukierunkowywano na cele militarne. Chociaż około 1934 roku sytuacja zaczęła się już poprawiać, trzeba było tapnieć w 1936 roku, kiedy Hitler zanegował traktat wersalski, remilitaryzując Nadrenię, a Włosi podbili Abisynię, aby wreszcie na poważnie zajęto się zbrojeniami, porzucając model niewielkiej armii lądowej, przeznaczonej głównie do walki z prymitywnym przeciwnikiem w koloniach. Tempo militaryzacji osłabił jednak brak rozwiniętego przemysłu i wykwalifikowanej siły roboczej.

DWA BIEGUNY

Główny sprawca wielkiego kryzysu, Stany Zjednoczone, nie przyłączył się do powszechnej militaryzacji. Ameryka skupiła się na rozwiązaniu wewnętrznych problemów gospodarczych oraz zapewnieniu sobie samowystarczalności. Skutecznie wykorzystano interwencjonizm państwowy w ramach programu „Nowy ład”, ale w naprawianiu gospodarki nie uwzględniono





Zakłady Amunicyjne „Pocisk” w Warszawie. Lata trzydzieste XX wieku



Prezydent RP Ignacy Mościcki (na zdjęciu w środku) z wizytą w radomskiej fabryce broni na terenie Centralnego Okręgu Przemysłowego

GLOBALNY KRACH

Wielki kryzys był najpoważniejszą zapaścią ekonomiczną w historii świata. Rozpoczął się od krachu na nowojorskiej giełdzie w październiku 1929 roku. Gwałtowny spadek cen akcji pociągnął za

sobą upadek licznych przedsiębiorstw i masowe bezrobocie, a w konsekwencji szybkie zmniejszenie produkcji przemysłowej. Silne więzi łączące gospodarki różnych państw świata sprawiły, że kryzys ogarnął cały glob, z wyjątkiem odizolowanego ZSRR. Jednym z czynników pogłębia-

jących zapaść było utrzymywanie pełnej wymienialności walut na złoto, co z kolei powodowało coraz wyższe oprocentowanie kredytów, a w efekcie hamowało rozwój gospodarki. Kryzys zaczął słabnąć około 1933 roku, ale zakończył go dopiero wybuch II wojny światowej. ■

JEDYNYM KRAJEM, KTÓREGO NIE DOTKNAŁ OGÓLNOŚWIATOWY KRYZYS GOSPODARCZY, BYŁ ZWIĄZEK RADZIECKI, IZOLOWANY PRZED WOJNĄ NIEMAL TAK SAMO JAK OBECNIE KOREA PÓŁNOCNA

przemysłu zbrojeniowego. Zmienił to dopiero wybuch II wojny światowej. Dzięki niezależności od dostaw z zewnątrz USA gwałtownie rozbudowały zbrojeniówkę, w rekordowym tempie z militarnego karła stając się gigantem.

Jedynym krajem, którego nie dotknął ogólnoswiatowy kryzys gospodarczy, był Związek Radziecki, izolowany przed wojną niemal tak samo jak obecnie Korea Północna. Oderwanie od światowej ekonomii i oparcie się na państwowym sterowaniu rynkiem uchroniło ZSRR przed zapaścią. Kłopoty „zgniłego Zachodu” utwierdzały tylko radzieckie kierownictwo co do słuszności obranej drogi. Centralnie planowaną gospodarkę z zasady ustawiano pod potrzeby wojska, rozbudowując, a nawet wręcz budując od podstaw przede wszystkim przemysł ciężki i wydobywczy. Inwestowano w takie zakłady przemysłowe, które po wybuchu konfliktu zbrojnego łatwo dawało się przestawić na produkcję wojskową.

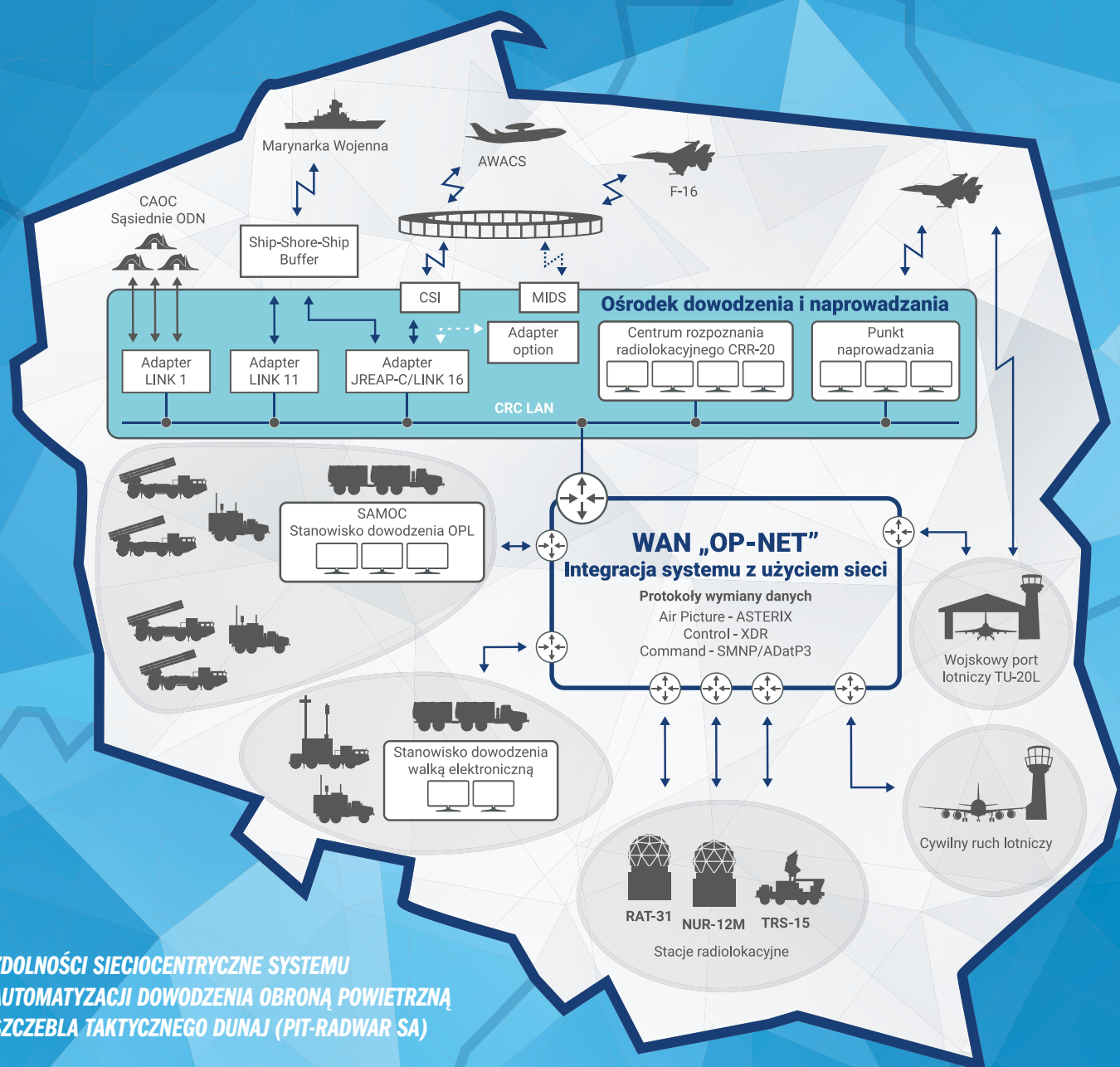
ŁAPANIE RÓWNOWAGI

W Polskę wielki kryzys uderzył bardzo mocno, bo była wówczas krajem głównie rolniczym, którego słaby przemysł uzależniono od obcego kapitału, a zagrożeni inwestorzy masowo zaczęli się wycofywać. Bezszykownie próbowano temu zaradzić, gwarantując wymienialność waluty na złoto i drastycznie tnąc wydatki państwowe. Starano się za wszelką cenę zapewnić równowagę budżetową. Taka polityka cieszyła się poparciem kół wojskowych, przekonanych, że utrzymywanie wartości złotego zapewni finanse na modernizację armii.

Wydatki na wojsko były wtedy ogromne, w kraju o słabej gospodarce stanowiły około 35% budżetu, ale pieniądze przeznaczano głównie na samo utrzymanie dużej armii, nie jej rozbudowę czy ulepszanie. Przeciwnikiem takiego postępowania był zwolennik interwencjonizmu Eugeniusz Kwiatkowski, od 1935 roku minister skarbu. Rozumiał, że bardzo liczne wojsko gwałtownie traci swoją wartość, jeśli brakuje mu bazy w postaci silnego przemysłu oraz stabilnej gospodarki. Przewidywanym przez niego remedium była budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego, czyli zgromadzenie w bezpiecznym rejonie kraju wielu zakładów przemysłowych, w tym związanych ze zbrojeniami. Zmniejszając bezrobocie i rozwijając infrastrukturę, jednocześnie zapewniono by polskiemu wojsku samowystarczalność w kwestii dostaw stale modernizowanego uzbrojenia. Paradoksalnie, Kwiatkowski realizował swoje projekty służące wzmocnieniu wojska w konflikcie z lobby wojskowym, co zaowocowało dwoma rozbieżnymi planami: tym dotyczącym modernizacji armii i tym odnoszącym się do rozwoju gospodarki, opracowanym jednak z myślą o potrzebach zbrojeniowych.

Wielki kryzys zakończyła II wojna światowa, jedne gospodarki ożywiając na niespotykaną skalę, inne szybko niszcząc. Przebieg konfliktu, a przede wszystkim błyskawiczny wzrost potęgi militarnej USA, utrzymującej się do dziś, pokazały, że najrozsądniej postąpiły te kraje, które zamiast bezpośrednio budować czy podtrzymywać wojskową siłę, postawiły na stworzenie solidnej bazy, pozwalającej w razie potrzeby szybko tę siłę wykreować, wzmacniać i odnawiać. Szkoda, że decydując się na podobną drogę Polsce zabrakło czasu... ■

POLSKA ZBROJNA



ZDOLNOŚCI SIECIOCENTRYCZNE SYSTEMU
AUTOMATYZACJI DOWODZENIA OBRONĄ POWIETRZNĄ
SZCZEBŁA TAKTYCZNEGO DUNAJ (PIT-RADWAR SA)

**SIECIOCENTRYCZNOŚĆ – SYSTEMY
DOWODZENIA I KIEROWANIA C2**



MSPO

**XXIX Międzynarodowy Salon
Przemysłu Obronnego**

7-10.09.2021

Partner
strategiczny



mspo.pl



MARIUSZ BŁASZCZAK

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

SZANOWNI PAŃSTWO!

Tegoroczny 28. Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego w Kielcach jest wyjątkowy. Zorganizowano go w trudnym dla wszystkich czasie światowego kryzysu epidemicznego. Dzięki determinacji organizatorów i konsekwentnemu wsparciu Ministerstwa Obrony Narodowej kielecki Salon tradycyjnie jest centrum skupiającym polską myśl zbrojeniową, przemysł, naukę oraz świat biznesu.

Wiele razy powtarzałem, że nie ma silnej i nowoczesnej armii bez silnego krajowego przemysłu zbrojeniowego. Chcę, by tam, gdzie jest to możliwe, nasze wojsko było w maksymalnym stopniu nasycone polskim nowoczesnym sprzętem. Dlatego już teraz ponad dwie trzecie wojskowych zamówień modernizacyjnych trafia do polskich fabryk, firm i zakładów. W ten sposób konsekwentnie unowocześniamy Wojsko Polskie, a firmy – przede wszystkim te skupione w Polskiej Grupie Zbrojeniowej – utrzymują płynność finansową, stałe zatrudnienie oraz mogą planować nowe projekty i rozwój. Ta stabilizacja ma pozytywny wpływ na obie strony, dlatego będzie nadal rozwijana współpraca na linii wojsko – zbrojeniówka.

Polscy żołnierze wypracowali sobie świetną markę w kraju i na świecie. Są profesjonalni, zdyscyplinowani i godni zaufania, zasługują na sprzęt najwyższej klasy.

Kieleckie targi to również doskonała okazja do wzajemnej inspiracji i wymiany myśli między praktykami i teoretykami oraz projektantami i użytkownikami. Na MSPO znajdują się dziesiątki stoisk stricte wojskowych, na których są obecne wszystkie rodzaje naszych sił zbrojnych, oraz jedno specjalne pod szyldem „Zostań Żołnierzem RP”. Chcemy w ten sposób pokazać ewolucję, jaką przechodzi właśnie cały system rekrutacji wojskowej w Polsce. Salon w Kielcach to idealna przestrzeń i najlepsze miejsce na promowanie nowych rozwiązań i idei.

Wszystkim zaangażowanym w organizację MSPO chciałbym serdecznie pogratulować determinacji. Jestem przekonany, że pomimo obiektywnych ograniczeń epidemicznych przedsięwzięcie to zakończy się sukcesem. Firmom zaś i przedsiębiorstwom prezentującym ofertę na targach życzę udanych transakcji, nawiązania ważnych kontaktów biznesowych oraz wielu owocnych rozmów, które pozwolą podjąć prace rozwojowe i zwiększyć potencjał produkcyjny. ■

A portrait of Andrzej Kensboki, a middle-aged man with short brown hair and glasses, wearing a dark blue suit, white shirt, and red tie. He is sitting at a table with his hands clasped, looking directly at the camera. A white cup is visible in the bottom left corner. The background is a blurred office setting with windows.

CZAS KONSOLIDACJI

*Rozmowa z Andrzejem Kensbokiem,
prezesem Polskiej Grupy Zbrojeniowej*

Jaka jest pana wizja Polskiej Grupy Zbrojeniowej? Czy tworzące ją spółki powinny mieć duży stopień niezależności?

Nasz holding jest stosunkowo młodym tworem, nadal więc trwa dyskusja, jaka powinna być jego docelowa struktura organizacyjna – mocno scentralizowana czy wręcz odwrotnie. Jako że spółka matka jest mała, a w skład grupy wchodzi duże i małe podmioty, najbliższym jesteśmy modelowi mieszanego, w którym te duże będą miały większą autonomię i wpływ na kooperantów. Centrala powinna być skoncentrowana na koordynacji zakupów i sprzedaży, by między naszymi podmiotami nie było konkurencji w tej dziedzinie. Niestety zdarza się, że dostawca dostarcza im ten sam produkt w różnej cenie. Jako spółka matka zamierzamy pełnić funkcję podmiotu zarządzającego projektami, organizującego ich finansowanie, zapewniającego doradztwo prawne, m.in. przy przygotowywaniu umów. Najważniejsze jest, aby przyjęte rozwiązanie było efektywne, pozwalało spółkom skutecznie funkcjonować na rynku i się rozwijać.

Czy efektywności nie poprawiłoby utworzenie w ramach PGZ grup spółek o podobnym profilu produkcji? W przeszłości istniały już podobne rozwiązania.

Pewne więzi między spółkami PGZ już istnieją, a my pracujemy nad ich sformalizowaniem. Trzeba określić, jaki będzie poziom odpowiedzialności dyrektorów poszczególnych dywizji. To wymaga pewnego konsensusu, bo chcemy, by kierownicy głównych projektów byli na poziomie centralnym. Podobne rozwiązania istnieją w zagranicznych firmach.

Ile takich specjalistycznych grup mogłoby powstać w ramach PGZ?

Mogę wyróżnić grupy artyleryjską, pancerną i amunicyjno-rakietową. Do dołączenia do tej ostatniej aspirują Wojskowe Zakłady Elektroniczne. Kolejna byłaby grupa informatyczno-technologiczna, obejmująca m.in. producentów sprzętu radiotechnicznego i optycznego. W przeszłości mówiło się o jeszcze dwóch – morskiej i lotniczej, ale moim zdaniem powiązane z PGZ dwie stocznie nie tworzą grupy. W sferze lotniczej natomiast nasze firmy na razie specjalizują się w remontach, utrzymaniu sprzętu, a nie produkcji, z wyjątkiem części zamiennych, ale być może ta domena będzie włączona w program bezzałogowców.

Jak wygląda sytuacja waszych stoczní?

Szczecińska Nauta, od czasu gdy zrezygnowała z budowy nowych jednostek i aspiracji do produkcji wojskowej, radzi sobie coraz lepiej. Ma do wykonania dużo remontów, dlatego już teraz zleca podwykonawstwo części prac PGZ Stoczní Wojennej.

Poważną barierą przed wchodzeniem na zagraniczne rynki są nie tylko możliwości produkcyjne, lecz także restrykcyjne zapisy w umowach licencyjnych, których próby renegotjacji się nie powiodły.

Czy są pomysły, aby spółki wychodziły z PGZ? Kilka miesięcy temu pojawiły się informacje, że np. NITRO-CHEM stanie się częścią państwowej grupy chemicznej.

Nie planujemy sprzedaży żadnej z naszych spółek, ale być może spieniężymy część niepotrzebnych nieruchomości, a uzyskane środki przeznaczymy na inwestycje. Chcemy jednak uniknąć sytuacji z przeszłości, gdy niektóre z nich zbywały po kawałku swe tereny i w ten sposób łątały bieżące budżety.

A co z funduszem MARS, zajmującym się nieruchomościami?

Jest on pewnym dziedzictwem historycznym PGZ. Chcemy produkować sprzęt dla wojska, a nie wynajmować powierzchni biurowe czy budować domy.

Może kupicie jakąś firmę prywatną?

Otrzymujemy od banków różne oferty, np. kupna części udziałów lub całych firm. Niektórym z tych propozycji przyglądamy się dokładniej, ale na razie nie ma podmiotu, na którego zakup bylibyśmy zdecydowani. Koncentrujemy wysiłki na wewnętrznej konsolidacji. Dlatego rozmawiamy ze Skarbem Państwa o pozyskaniu tzw. resztówek, czyli niewielkich udziałów czy akcji naszych spółek. Do Skarbu Państwa należą też podmioty zajmujące się produkcją zbrojenio- wą, dlatego prowadzimy rozmowy związane z możliwością wniesienia ich do PGZ.

Kluczem do przyszłości spółek PGZ są duże kontrakty zbrojeniowe, takie jak na nowy bojowy wóz piechoty Borsuk. Na jakim etapie jest ten projekt?

Pojazd przechodzi ostatnie badania wewnętrzne i po ich zakończeniu będzie można rozpocząć badania kwalifikacyjne. Na podobnym etapie jest przeznaczona do niego bezzałogowa wieża ZSSW-30. Chcemy, aby produkcja borsuka rozpoczęła się jak najszybciej.

Tymczasem Narodowe Centrum Badań i Rozwoju chce kontynuować program badawczy tego wozu.

Tęgo chcielibyśmy uniknąć. Według mnie problemem w pracach badawczo-rozwojowych w Polsce jest zlecenie obejmujące wykonanie tylko jednego prototypu. Powinniśmy wzorować się na Stanach Zjednoczonych czy Niemczech, gdzie powstają krótkie serie prototypowego sprzętu wojskowego, dlatego że pojedynczy egzemplarz nie umożliwia równoległych badań, a zatem taki proces się przeciąga. Przykładem jest most szturmowy – badany już od pięciu lat. Gdybyśmy dostali zlecenie na pięć prototypowych egzemplarzy, pewnie można byłoby to zrobić w dwa lata. W obecnej formule najlepiej prowadzone programy badawczo-rozwojowe trwają po siedem, osiem lat.



**JAKO SPÓŁKA
MATKA ZAMIERZAMY
PEŁNIĆ FUNKCJĘ
PODMIOTU ZARZĄ-
DZAJĄCEGO PROJEK-
TAMI, ORGANIZUJĄ-
CEGO ICH FINANSO-
WANIE, ZAPEWNIĄJĄ-
CEGO DORADZTWO
PRAWNE, M.IN. PRZY
PRZYGOTOWYWANIU
UMÓW**

Pojawiają się ostatnio głosy, że z powodu oszczędności, zamiast produkcji borsuka, zostanie podjęta modernizacja BWP-1. Co pan sądzi o tym pomysłe?

Zasadny byłby remont ograniczonej liczby BWP-1, ponieważ pełnoseryjna produkcja borsuka ruszy za kilka lat. Mamy w PGZ przygotowanych kilka wariantów takiej modernizacji.

Na zamówienia jakiego rządu liczy się w wypadku borsuka?

Nie otrzymaliśmy żadnych oficjalnych informacji. Z przyjętego „Planu modernizacji technicznej Sił Zbrojnych RP do 2030 roku” wiemy, jakie są potrzeby wojska, ale dopóki nie ma kontraktu, niewiele możemy z tym zrobić. Mam nadzieję, że uda się doprowadzić do sytuacji, gdy będziemy mieli zawarte z Ministerstwem Obrony Narodowej umowy wieloletnie, i wiem, że taka też jest wola kierownictwa resortu. Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że to jest rozwiązanie korzystne dla obu stron, bo zamówienia wieloletnie będą realizowane za mniejsze pieniądze niż te jednoroczne, czyli wojsko może otrzymać za te same pieniądze więcej sprzętu.

Czy biorąc pod uwagę potencjalną wielkość programu „Borsuk”, nie należy rozważyć przekazania części produkcji poza Hute Stalowa Wola?

Być może tak zrobimy, ale najpierw chciałbym się przekonać, jaka jest możliwość zwiększenia wydajności, podniesienia poziomu automatyzacji produkcji i logistyki wewnętrznej w HSW. Jeśli problemem okaże się brak miejsca, to bierzemy pod uwagę inne lokalizacje, np. Wojskowe Zakłady Inżynieryjne.

Programem, z którym duże nadzieje wiąże polska zbrojeniówka, jest też raketowy system przeciwlotniczy krótkiego zasięgu Narew. Czy rzeczywiście zyskacie ekonomicznie w nim więcej niż w programie „Wisła”?

Z pewnością, zwłaszcza jeśli dla Narwi zostanie wybrany polski system dowodzenia oraz nastąpi jego integracja z przeznaczonym dla Wisły amerykańskim IBCS [Integrated Battle Command System]. Nasze firmy mogą zarobić na produkcji sprzętu łączności, całej gamy radarów i łączeniu tego w jeden system. Jeśli zostanie on dobrze skonstruowany, będzie mógł współpracować z różnymi typami rakiet, ale też z innymi systema-

mi dowodzenia. Wbrew opiniom krytyków zapewniam, że będzie to rozwiązanie sieciocentryczne. Walorem oferowanego przez nas systemu jest też pełna mobilność.

Musimy jednak kupić za granicą licencję na raketę dla Narwi.

Ważne, by była to licencja otwarta, dająca prawo nie tylko do modyfikowania rakiety, lecz także zachowania praw intelektualnych do wprowadzanych zmian. Wcześniejsze umowy zawierają bardzo niekorzystne dla nas zapisy, że te prawa przechodzą na licencjodawcę za darmo. Musimy mieć też zagwarantowane prawo do eksportu. Dzięki transferom technologii chcielibyśmy wytwarzać różne rakiety własnego projektu. Tym bardziej że pewne ich elementy mamy już opracowane.

Czy zyskamy coś dla zbrojeniówki przy okazji zakupu F-35? Przecież w tym programie karty są już dawno rozdane?

W długoterminowej perspektywie zyskamy, ponieważ jest duża życzliwość po stronie koncernu Lockheed Martin. Możemy od Amerykanów dostać różne technologie militarne niezwiązane bezpośrednio z F-35.

W ramach offsetu?

Nie jestem zwolennikiem offsetu, bo w nim pewne są tylko koszty, które poniesie odbiorca, czyli ten, kto inwestuje w jego absorpcję. Jednocześnie nie ma on gwarancji zbytu dla swoich nowych usług czy produktów. Za lepsze rozwiązanie uważam współpracę między firmami na zasadach biznesowych, ponieważ wtedy można ocenić, czy jakieś przedsięwzięcie będzie opłacalne finansowo.

Jakie inne programy modernizacji technicznej są ważne dla PGZ?

Z pewnością morskie. Liczymy, że powróci program „Miecznik”, czyli budowania okrętów nawodnych nowego typu, najlepiej w serii. Jest on bardzo ważny dla PGZ Stoczni Wojennej. Historia budowy „Ślązaka” pokazuje, że powinien być realizowany w bliskiej współpracy z dostawcą projektu okrętu.

Jest też koncepcja nowego czołgu podstawowego. Będziemy go tworzyć sami czy z partnerami zagranicznymi?

MICHAŁ NIWICZ



Nasze firmy mogą zarobić na produkcji sprzętu łączności, całej gamy radarów i łączeniu tego w jeden system.



NIE JESTEM ZWOLENNIKIEM OFFSETU, BO W NIM PEWNE SĄ TYLKO KOSZTY, KTÓRE PONIESIE ODBIORCA

Pojawiły się pozytywne sygnały ze strony konsorcjum realizującego program przyszłego czółgu francusko-niemieckiego. Zainteresowania polskim rynkiem pancernym nie ukrywają Koreańczycy. My jesteśmy gotowi podjąć prace, bo mamy doświadczonych konstruktorów, ale musimy otrzymać jasny przekaz od MON-u, że nie będą to zmarnowane pieniądze. Wtedy można byłoby rozpocząć konkretne rozmowy o zasadach współpracy z partnerem zewnętrznym.

Piętą achillesową PGZ pozostaje eksport, m.in. ze względu na ograniczone zdolności produkcyjne. Czy są szanse na poprawę sytuacji w tej sferze?

Poważną barierą przed wchodzeniem na zagraniczne rynki są nie tylko możliwości produkcyjne, lecz także restrykcyjne zapisy w umowach licencyjnych, których próby renegotjacji się nie powiodły. Niekiedy na sprzedaż za granicę nie godzą się też dostawcy podzespołów. Szanse na wzrost eksportu widzę m.in. w zwiększeniu możliwości produkcji amunicji małokalibrowej.

Inną kwestią jest uregulowanie, kto ma się zajmować eksportem, bo teraz w ramach grupy działają różne podmioty. Nie chodzi mi o jakieś zakazy, lecz o przepływ informacji, co, kto i gdzie oferuje. Przy eksporcie broni ważne jest też określenie perspektywicznych rynków i zacieśnienie współpracy z MON-em, by móc np. prezentować zagranicznym gościom nasze produkty w warunkach poligonowych i mieć wsparcie naszego ministerstwa w kontaktach z innymi resortami obrony.

Jak ocenia pan współpracę między firmami zbrojeniowymi a Wojskiem Polskim?

Wszyscy widzą, że istniejące przepisy prawne, które mają zapobiegać korupcji, utrudniają bliski kontakt z gestorami i bezpośrednimi użytkownikami naszego sprzętu, co ogranicza przepływ informacji, chociażby o sugerowanych przez nich mo-

dyfikacjach. To problem dla obu stron, ale dotychczas nikt nie podjął się tego tematu. My próbujemy wskazać jakieś rozwiązania. W innych krajach przy firmach są powoływane np. gremia doradcze, dzięki czemu można w sposób transparentny kontaktować się z wojskiem i wymieniać informacje. Być może sytuację poprawiłaby Agencja Uzbrojenia, która byłaby pośrednikiem między siłami zbrojnymi a przemysłem. Przykładem pokazującym pozytywne wyniki takiej bliskiej współpracy wojska i zbrojeniówki jest modułowy system broni strzeleckiej.

Czy w firmach PGZ dały się już odczuć skutki pandemii?

Koronawirus nie wpłynął znacząco na bieżące funkcjonowanie holdingu, ale nie uniknęliśmy zakażeń wśród pracowników. Na szczęście nie pojawiły się duże ogniska, które mogłyby sparaliżować funkcjonowanie zakładów na dłuższy czas.

W niektórych państwach jednak zamknięto zakłady produkcyjne. Czy nie zostały przez to przerwane wasze łańcuchy dostaw?

Wystąpiły pewne problemy z dostawami podzespołów z takich państw, jak Włochy i Szwajcaria, ale część spółek, np. Jelcz, który zgromadził pewien zapas silników, mogła dalej pracować. Ograniczenia w podróżowaniu spowodowały odwołanie przyjazdów przez zagranicznych specjalistów i to jest problemem. Część spraw jednak udaje się załatwić podczas videokonferencji.

Wasze spółki korzystały z rządowej tarczy antykryzysowej?

Niektóre tak. Wiem o odrzucaniu płatności do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Jeśli zajdzie potrzeba, to z pewnością będziemy korzystać z różnych narzędzi przygotowanych przez rząd. ■

Rozmawiali TADEUSZ WRÓBEL i KRZYSZTOF WILEWSKI.

Istniejące przepisy prawne, które mają zapobiegać korupcji, utrudniają bliski kontakt z gestorami i bezpośrednimi użytkownikami naszego sprzętu, co ogranicza przepływ informacji.

CAMM

NA KAŻDE WARUNKI
NA KAŻDE ZAGROŻENIE
ZAWSZE GOTOWY



CAMM to niezwykle wszechstronny pocisk rakietowy do zwalczania szerokiej gamy zagrożeń z powietrza, zarówno dziś jak i w przyszłości. Potwierdzona interoperacyjność, zdolność do działania w każdych warunkach atmosferycznych i innowacyjna technologia zimnego startu umożliwiają dookólne rażenie celów powietrznych przy minimalnej sygnaturze wystrzału w podczerwieni i zapewniają najwyższy poziom ochrony sił zbrojnych.



PANOWANIE
W POWIETRZU



OBRONA
POWIETRZNA



PRZEWAGA
NA MORZU



KONTROLA
POŁA WALKI



PROMOCJA WRZESIEŃ 2020

System weryfikacji temperatury AGAT-T

PCO, główny polski producent wyrobów optoelektronicznych, rozwija ofertę urządzeń termowizyjnych przydatnych w walce z pandemią COVID-19.

Cchodzi o rozwiązania pozwalające na szybką weryfikację temperatury dużych grup ludzi, m.in. w miejscach publicznych.

W kwietniu 2020 roku w PCO pojawił się demonstrator systemu, sprawdzający temperaturę osób wchodzących na teren spółki. Pierwsze wyniki testu urządzenia pozwoliły na przekazanie miesiąc później dwóch egzemplarzy systemu AGAT-T do szpitala Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego oraz dwóch egzemplarzy systemu RUBIN-T do wojsk obrony terytorialnej. W placówce WUM-u osobno są sprawdzani pracownicy szpitala i pacjenci. Instalacja systemu AGAT-T znacznie usprawniła badanie osób wchodzących na teren szpitala, a także zwiększyła komfort pracy oraz bezpieczeństwo osób monitorujących wejścia.

PCO podczas przygotowywania systemów AGAT-T i RUBIN-T korzystało z doświadczeń zdobytych podczas konstruowania celowników oraz kamer termowizyjnych. Atutem nowego rozwiązania jest oparcie go na wytwarzanych seryjnie komponentach, wykorzystywanych m.in. w celowniku termowizyjnym SCT czy lornetce termowizyjnej NPL-1T. W ten sposób przygotowana propozycja pozwoliła natychmiastowo odpowiedzieć na pojawiające się potrzeby rynkowe, wynikające z obecnej sytuacji zagrożenia epidemicznego.

System AGAT-T umożliwia wstępną szybką weryfikację temperatury ciała osoby znajdującej się w polu widzenia kamery. Należy obserwować obraz twarzy badanej osoby. Jeżeli pojawią się na nim obszary oznaczone kolorem czerwonym, świadczy to o podwyższonej temperaturze ciała. Weryfikacja za pomocą systemu ma charakter progowy, definiowany przez użytkownika, a na jej wynik mogą wpływać czynniki zewnętrzne. Dlatego w wypadku wykrycia osoby o podwyższonej temperaturze zawsze należy potwierdzić ten fakt innymi metodami (np. pomiarem za pomocą termometru manualnego).

Na rynku pojawiły się już produkty umożliwiające kontrolę typu terminalowego (bardzo bliska odległość, do 1–2 m) i tranzytowego (do 5–6 m). Systemy AGAT-T i RUBIN-T, proponowane przez PCO S.A., umożliwiają pomiar temperatury typu tranzytowego, czyli bezkontaktowy w zasięgu działania kamer. Weryfikacja następuje w czasie rzeczywistym, co jest usprawnieniem w systemie kontroli temperatury dużych grup ludzi. Pozwala na jej przyspieszenie, a także wskazuje osoby wymagające dokładniejszych testów. Takie rozwiązanie doskonale wpisuje się w zapotrzebowanie rynku związane z przeciwdziałaniem rozprzestrzenianiu się koronawirusa. ■



INNOWACJE DLA BEZPIECZEŃSTWA LUDZI

www.pcosa.com.pl

Potentat branży obronnej



Wesley D. Kremer
Prezes
Raytheon Missiles & Defense

Raytheon Missiles & Defense potężną siłą przemysłową

Raytheon Missiles & Defense, dział nowo utworzonej firmy Raytheon Technologies, powstał na fundamencie zaawansowanych innowacji i doskonałości w dziedzinie inżynierii. Pomoże zdefiniować przyszłość przemysłu lotniczego i obronnego.

Oferując szybkość, synergii i kompleksowe rozwiązanie problemu zagrożeń, Raytheon Missiles & Defense pomoże na nowo zdefiniować branżę poprzez przełomowe technologie i inicjatywy, które przyniosą trwałe korzyści dla globalnych klientów.

„Widzimy świat z globalnej perspektywy. Zbudowaliśmy nowe, solidne podstawy, aby dostarczyć naszym klientom kompleksowe rozwiązania, które przeciwdziałają pojawiającym się współczesnym zagrożeniom” – powiedział prezes Raytheon Missiles & Defense – Wesley D. Kremer.

Kremer nadzoruje 30.000 pracowników i jest odpowiedzialny za szeroką gamę systemów obrony powietrznej i rakietowej, broni precyzyjnej, radarów, systemów dowodzenia i kontroli oraz zaawansowanych technologii obronnych.

„Widzimy świat z globalnej perspektywy. Zbudowaliśmy nowe, solidne podstawy, aby dostarczyć naszym klientom kompleksowe rozwiązania, które przeciwdziałają pojawiającym się współczesnym zagrożeniom”

„Chcemy być podmiotem, do którego zwracają się nasi klienci, by stawić czoła najbardziej złożonym wyzwaniom i najtrudniejszym zagrożeniom” – powiedział Kremer.

Firma Raytheon Technologies rozpoczęła działalność w kwietniu 2020 roku, po połączeniu Raytheon Company i United Technologies Corporation. Fuzja połączyła dwie firmy z łącznie prawie 200-letnim doświadczeniem i historią innowacji w dziedzinie lotnictwa, obrony i wywiadu.

Raytheon Missiles & Defense, produkujący systemy obrony przeciwrakietowej, broń precyzyjną i powiązane technologie, koncentruje się na kompleksowym rozwiązywaniu problemu zagrożeń militarnych, oferując niespotykaną dotąd wartość. Spółka ta, powstała z połączenia Raytheon Missile Systems i Raytheon Integrated Defense Systems, dwóch

działów Raytheon Company, będzie zdaniem jej prezesa, Wesley D. Kremer, „rynkową potęgą”.

Firma jest przygotowana do rozwoju i dostarczania najbardziej zaawansowanych technologii wojskowych. Oferuje szeroki wachlarz najlepszych światowych marek, w tym rozwiązania z rodziny Global Patriot Solutions, radary SPY-6 wykorzystywane przez amerykańską marynarkę wojenną, pociski samosterujące Tomahawk®, rodzinę pocisków przechwytyjących Standard Missile, mobilne radary antybalistyczne Army Navy/Transportable Radar Surveillance, a także niszczyciele USS Zumwalt (DDG-1000).

Klienci będą korzystać z lepszego doposażenia w zakresie portfolio produktów i bardziej efektywnych procesów w trakcie współpracy z nową firmą. Oferując kompletne rozwiązania dla kill chain (łańcuch ataku), Raytheon Missiles & Defense zapewni szybsze rezultaty, większą synergii i niższe koszty.

„Klienci na całym świecie odczują bezpośrednią korzyść ze współpracy z unowocześnioną, sprawnie działającą organizacją, dysponującą zasobami umożliwiającymi zaspokojenie ich potrzeb” – powiedział Kremer.

Jedno ciało, dwie dusze



Aermacchi M-346 to efektywny kosztowo samolot szkolenia zaawansowanego nowej generacji, sprawdzony operacyjnie w służbie wiodących sił powietrznych świata.

Wersja M-346FA Fighter Attack to mający wysokie osiągi lekki samolot bojowy, zdolny zarówno do wykonywania misji typu powietrze-ziemia z wykorzystaniem amunicji precyzyjnej, jak i prowadzenia działań przeciwko celom powietrznym oraz operacji rozpoznania taktycznego.

Zainspirowani wizją, docieklivością i kreatywnością wielkiego wynalazcy – Leonardo opracowuje technologie jutra.

PROMOCJA WRZESIEŃ 2020



Sieciocentryczność – systemy dowodzenia i kierowania C2

Zasadniczą ideą tzw. sieciocentryczności jest maksymalizacja wykorzystania dostępnych informacji w celu zwiększenia potencjału bojowego poprzez ich dystrybucję do wszystkich potencjalnych odbiorców. PIT-RADWAR opracowuje systemy zgodne z wymaganiami architektury sieciocentrycznej i jest w tej dziedzinie krajowym liderem, docenianym również poza granicami kraju.

Firma ma bogate doświadczenie w opracowywaniu tego typu nowoczesnych systemów dowodzenia i kierowania o zdolnościach sieciocentrycznych, zwłaszcza dla obrony powietrznej, gdzie realizowane są systemy tworzenia obrazu sytuacji powietrznej i automatyzacji kierowania środkami walki. Posiada zatem kompetencje konieczne do opracowania systemów przeciwlotniczych zarówno dalekiego, krótkiego, jak i bardzo krótkiego zasięgu.

Kluczowymi produktami przeznaczonymi dla obrony powietrznej są następujące systemy: DUNAJ – integrujący informacje z radarów rozmieszczonych na terenie Polski i odpowiadający za opracowanie RAP (Recognized Air Picture) nad obszarem naszego kraju; oraz system dowodzenia i kierowania ogniem PRZELOT-SAMOC dla związków taktycznych OPL sił powietrznych i ŁOWCZA/REGA do WOPL wojsk lądowych.

Prace związane z SAMOC pozwoliły na realne zwiększenie możliwości automatycznego zarządzania systemami obrony przeciwlotniczej oraz optymalizację wykorzystania zdolności bojowych istniejących systemów uzbrojenia przez włączenie w jedną sieć wszystkich elementów ugrupowania ZT wojsk obrony przeciwlotniczej (sensorów, efektorów i obiektów C2).

DUNAJ, mimo że opracowany w końcu lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, funkcjonuje według koncepcji działań sieciocentrycznych. Jest systemem o otwartej, skalowalnej i rozproszonej architekturze bazującej na rozległej (obejmującej terytorialnie całą Polskę) sieci WAN o nazwie OP-NET, która zapewnia integrację wszystkich komponentów systemu obrony powietrznej. Wymiana informacji między jego komponentami odbywa się w czasie zbliżonym do rzeczywistego z zastosowaniem wyrafinowanych me-

chanizmów sieciowych, takich jak transmisja typu multicast (jeden do wielu) zapewniająca dzielenie się informacją w systemie przy optymalnym wykorzystaniu dostępnego pasma transmisji. To jeden z pierwszych w Europie systemów, wdrożonych do pracy bojowej (2001 rok), opartych na rozwiązaniach sieciowych – do dziś jest eksploatowany i modyfikowany na podstawie wymagań Ministerstwa Obrony Narodowej, które są na bieżąco aktualizowane i dostosowywane do potrzeb użytkownika.

System DUNAJ wspiera realizację zasadniczych funkcji obrony powietrznej, zapewnia stałą kontrolę przestrzeni powietrznej (monitoring), a także dowodzenie i kierowanie lotnictwem, jednostkami WOPL oraz walki elektronicznej. W szczególności zapewnia zbieranie, przetwarzanie i zobrazowanie informacji o sytuacji powietrznej z radarów rozwiniętych na terenie Polski, tworzenie w czasie rzeczywistym jednolitej informacji o sytuacji powietrznej, tzw. RAP (Recognized Air Picture), i jej dystrybucję do wszystkich autoryzowanych odbiorców (różnych rodzajów sił zbrojnych), jak również wsparcie naprowadzania lotnictwa myśliwskiego oraz monitorowanie misji lotnictwa taktycznego.

W prowadzonym przez NATO w latach 2006–2007 projekcie ACCS Alternative Study DUNAJ został oceniony bardzo wysoko – jako jeden z trzech najlepszych tego typu systemów w Europie. Ponadto w 2019 roku MON zgłosiło go do kolejnego przeglądu NATO Air Command and Control Systems Analysis of Alternatives. Polski system został zakwalifikowany do III etapu, co świadczy o jego dojrzałej architekturze, osiągniętej dzięki ciągłej pracy nad udoskonalaniem systemu w bliskiej współpracy z użytkownikiem (umowa z Inspektorem Wsparcia Sił Zbrojnych).

SAMOC obiekt SDP-20 jest stanowiskiem dowodzenia szczebla taktycznego (mieszanego ugrupowania przeciwlotniczych zestawów rakietowych), rozwiniętym na szczeblu brygady rakietowej i przeznaczonym do realizacji procesu dowodzenia jednostkami WOPL (Ground Based Air Defence – GBAD) w obszarach: operacyjnym, logistycznym i zabezpieczenia bojowego (Force Protection – FP). System PRZELOT-SAMOC obejmuje również stanowiska dowodzenia rozwijane na szczeblu dywizjonu – SDP-10N.

Główne funkcje SAMOC w zakresie planowania i przygotowania działań są związane przede

wszystkim ze wsparciem planowania obrony klastra przez cyfrową analizę terenu i analizę pokrycia radarowego, wsparciem procesu wymiany dokumentów sformalizowanych, generowaniem i wysyłaniem rozkazów do podległych jednostek, zbieraniem meldunków, odbiorem i zobrazowaniem rozkazów: do osłony (Coverage Mission Order – CMO), kontroli przestrzeni powietrznej (Air Control Order – ACO) i bojowego dla lotnictwa (Air Tasking Order – ATO).

W zakresie kierowania walką główne funkcje systemu to m.in.: tworzenie lokalnego obrazu sytuacji powietrznej na podstawie lokalnych źródeł oraz RAP (z ODN, CAOC/ARS), pełna wymiana informacji zgodnie z Link-11B i Link-16/JREAP-C, wsparcie oceny zagrożenia i rekomendacji przydziału (Threat Evaluation and Weapon Assignment – TEWA), przydział środków walki oraz monitorowanie sytuacji, w tym stanu sił i środków.

Na uwagę zasługują również takie systemy, jak ŁOWCZA/REGA dla wojsk obrony przeciwlotniczej wojsk lądowych oraz WOŁCZENICA dla rozpoznania elektronicznego. Ten pierwszy jest systemem w pełni mobilnym, przeznaczonym do pracy w ruchu, w którym wymianę informacji oparto na środkach radiowych. Jego funkcje są zbliżone do funkcji systemu PRZELOT-SAMOC. Ten drugi m.in. integruje dane z pasywnych sensorów radiowych i mikrofalowych, w efekcie czego możliwa jest identyfikacja zarówno platformy powietrznej (na podstawie charakterystyki radaru), jak również np. języka porozumiewania się pilota. Połączenie informacji z radiolokacji aktywnej (DUNAJ) i pasywnej (WOŁCZENICA) oraz uzupełnienie tego rozwiązania o system SAMOC oznacza nową jakość dla systemu OP Polski – na bazie narodowych rozwiązań, będącego w pełni pod kontrolą polskiej armii, dzięki czemu możliwy jest ich ciągły rozwój.

W Siłach Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej od lat funkcjonują (w domenie OP) tylko systemy dowodzenia i kierowania zaprojektowane i wyprodukowane przez przemysł polski. Rodzime firmy są w stanie opracować tego typu rozwiązania z wykorzystaniem polskich urządzeń łączności i ochrony kryptograficznej. Polski przemysł doskonale rozumie potrzeby armii, a zamówienia na nowoczesne systemy ze strony SZRP zdecydowanie ułatwiłyby szybkie tworzenie konkurencyjnych rozwiązań, które stanowiłby narodowy produkt eksportowy. ■

PROMOCJA WRZESIEŃ 2020

Logistyka w sieci

E-NOSP jest projektem wpisującym się w natowskie wymagania dotyczące logistyki opartej na systemach sieciocentrycznych.

Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych od lat zajmuje się między innymi projektowaniem zaawansowanych systemów informatycznych, które z dużymi sukcesami są wdrażane w Siłach Zbrojnych RP. Tam również powstały wspomagający zarządzanie procesem eksploatacji statków powietrznych system Samanta oraz kompleksowy system analizy i oceny bezpieczeństwa lotów lotnictwa Sił Zbrojnych RP Turawa. Najnowszym produktem Instytutu jest natomiast sieciocentryczny system zarządzania gotowością urządzeń naziemnej obsługi statków powietrznych z wykorzystaniem teletransmisji danych e-NOSP. Został on opracowany w kooperacji ITWL-u z producentem tych urządzeń – Wojskowym Centralnym Biurem Konstrukcyjno-Technologicznym. Kierunki tej współpracy uzgodnili prezes zarządu WCBKT dr Piotr Kisiel i dyrektor ITWL-u dr hab. inż. Mirosław Kowalski. Ze strony wojska projekt jest realizowany pod patronatem szefa Szefostwa Techniki Lotniczej – głównego inżyniera wojsk lotniczych z Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych, płk. Dariusza Płóciennika.

DOSTĘP DO DANYCH

Wśród urządzeń wykorzystywanych do naziemnej obsługi samolotów, śmigłowców i bezzałogowców są zasilacze elektroenergetyczne i hydrauliczne, dystrybutory (azotu, powietrza lub tlenu) oraz gazyfikatory (azotu i tlenu). Na naszych lotniskach wojskowych znajdują się ich setki, w większości dostarczone przez WCBKT. Sprzęt tej spółki został przystosowany do obsługi wszystkich statków powietrznych, które są w wyposażeniu Sił Zbrojnych RP, a w przyszłości będzie także wspierał eksploatację samolotów F-35. Już w kilkunastu lotniskowych urządzeniach zasilania elektroenergetycznego samolotów LUZES V/D i V/N, lotniskowych zasilaczach elektroenergetycznych LZE-6/M oraz hydraulicznych LZH/N zamontowano moduł zdalnej diagnostyki e-NOSP. „Do systemu mogą być włączone również inne urządzenia znajdujące się na lotni-

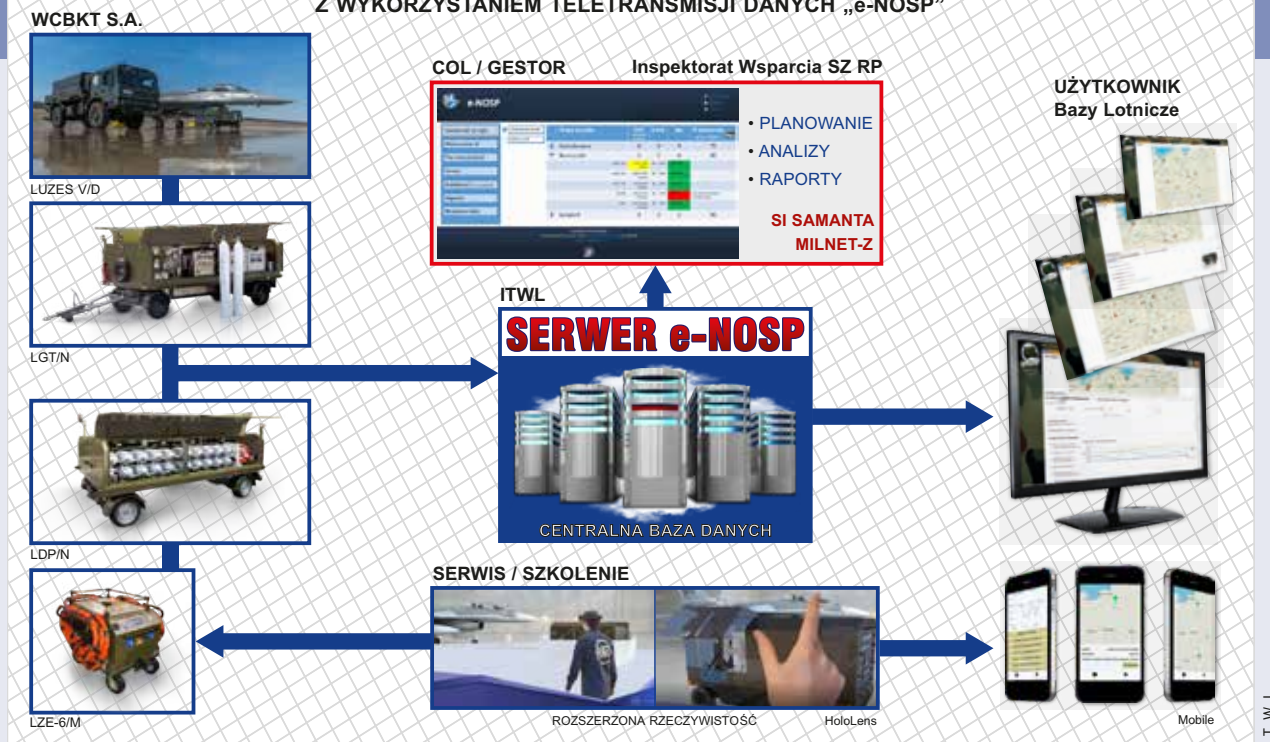
skach, jak chociażby holowniki”, zaznacza dr inż. Roman Fiszer, doradca dyrektora ITWL-u.

„Podstawą działania systemu e-NOSP są dane pochodzące z eksploatacji urządzeń. Jeśli należą one do polskiego producenta, nie ma barier technicznych lub natury prawnej w dostępie do pełnego spectrum danych diagnostycznych”, stwierdza płk dr hab. inż. Mariusz Zieja, kierownik Zakładu Informatycznego Wsparcia Logistyki ITWL. W wypadku urządzeń zagranicznych ten dostęp jest ograniczony i zwykle wymaga zawierania dodatkowych umów cywilnoprawnych z ich producentami. W system e-NOSP może być jednak włączony sprzęt z importu, zarówno ten będący już w wyposażeniu Sił Zbrojnych RP, jak i ten dopiero kupiony w przyszłości, w którym zamawiający może zażyczyć sobie, by dostawca zamontował w nich ten konkretny moduł diagnostyczny.

DZIAŁANIE WYPRZEDZAJĄCE

Elementami systemu e-NOSP są moduły bezpośrednio obsługi przeznaczone dla użytkownika oraz wspierające zarządzanie eksploatacją urządzeń dla poszczególnych szczebli dowodzenia w Siłach Zbrojnych RP. Wykorzystując możliwości teletransmisji danych, w ITWL-u stworzono centralny serwer zintegrowany z systemem Samanta. Do niego są przekazywane dane o użytkowanym sprzęcie. E-NOSP umożliwia ich separację dla gestora, producenta i użytkownika w jednostce. Istnieją również różne poziomy dostępu do informacji. Dla użytkowników została stworzona aplikacja mobilna, którą można zainstalować w laptopach, tabletach i smartfonach. „System zapewnia możliwość obserwowania parametrów eksploatacyjnych i diagnostycznych urządzenia w czasie rzeczywistym bez konieczności przebywania w jego pobliżu. Na poziomie gestora – Szefostwa Techniki Lotniczej Inspektoratu Wsparcia SZRP – można sprawdzić, co dzieje się z wszystkimi wykorzystywanymi w danym momencie urządzeniami w jednostkach na terenie Polski oraz w kontyngentach wojskowych.

Przesyłanie danych przez internet nie jest niczym nowym. Kluczowe pozostaje ich późniejsze przetworzenie, by uzyskać potrzebne informacje. I to właśnie zadanie dla systemu e-NOSP.



Intuicyjna aplikacja graficzna zobrazuje natomiast dokładną ich lokalizację na poszczególnych lotniskach”, wyjaśnia mgr inż. Janusz Niczyj, starszy specjalista z ITWL-u.

E-NOSP działa w czasie rzeczywistym, więc korzystający z serwera użytkownik ma możliwość śledzenia wszystkich parametrów diagnostycznych interesujących go urządzeń. Pozwala mu to zidentyfikować ich stan techniczny. „W klasycznej diagnostyce urządzeń technicznych mamy do czynienia z dwoma stanami – zdalny lub niezdatny do użycia. W systemie e-NOSP pojawia się jeszcze trzeci – przedawaryjny. Dlatego można wycofać z użytkowania urządzenie przed wystąpieniem zagrożenia i zastąpić je innym. System służy do prognozowania, kiedy wystąpi stan niezdatności urządzenia, żeby na przykład wcześniej sprowadzić części zamienne”, wskazuje na jedną z zalet systemu e-NOSP płk Zieja. Dla komórek Szefostwa Techniki Lotniczej Inspektoratu Wsparcia SZRP możliwość wykrycia za pomocą tego systemu stanów przedawaryjnych jest fundamentalną sprawą, gdyż z wyprzedzeniem można będzie planować remonty lub wymianę urządzeń.

PRECYZYJNE MONITOROWANIE

Przesyłanie danych przez internet nie jest niczym nowym. Kluczowe pozostaje ich późniejsze przetworzenie, by uzyskać potrzebne informacje i to właśnie zadanie dla e-NOSP. W wojsku są przygotowywane np. okresowe plany lotów. Z nimi wiąże się wykonanie pewnych usług statków powietrznych. Po ich zakończeniu, dzięki zgromadzonemu przez system danym, można porównać plany z realizacją. „W ten sposób można ocenić, jaki jest poziom wykorzystania konkretnych urządzeń w poszczególnych bazach lotniczych i w razie potrzeby główny inżynier wojsk lotniczych będzie mógł dokonać organizacyjnych przesunięć. Z pewnością po kilku latach użytkowania sys-

tem e-NOSP przyniesie wymierne efekty ekonomiczne”, podkreśla dr Fiszer.

Pojawiła się też ważna opcja w systemie e-NOSP w sferze serwisowania urządzeń naziemnej obsługi statków powietrznych. W tym procesie, ale także w diagnostyce i szkoleniu jest wykorzystywana rozszerzona rzeczywistość z użyciem gogli holograficznych. Technik wykonujący konkretną obsługę, mającą na celu usunięcie uszkodzenia, dostaje do dyspozycji wirtualną instrukcję obsługi oraz trójwymiarowe schematy urządzenia.

Za zgodą gestora, Szefostwa Techniki Lotniczej Inspektoratu Wsparcia SZRP, działanie urządzenia może monitorować także producent, który posiada grupę serwisową. Czynnikiem czasu rzeczywistego w gromadzeniu danych i ich udostępnieniu sprawia, że do dyspozycji są parametry urządzenia w chwili, gdy się je obserwuje. „Planujemy, by za zgodą gestora można było zdalnie nawiązywać łączność z urządzeniem i dokonywać pewnych napraw, np. oprogramowania, bez konieczności wysyłania na miejsce specjalistów”, mówi dr Fiszer. To jest szczególnie ważne podczas misji zagranicznych. Przy czym gestor lub użytkownik musi wówczas zezwolić na użycie nawigacji satelitarnej GPS i nawiązanie łączności przez system z urządzeniem poza Polską.

E-NOSP może funkcjonować niezależnie od systemu informatycznego Samanta. Po dostosowaniu można go używać w innym sprzęcie wojskowym, również wojsk lądowych i marynarki wojennej. W uproszczonej wersji jest natomiast interesującym rozwiązaniem dla firm obsługujących urządzenia naziemne na lotniskach cywilnych. System może być produktem przeznaczonym na eksport, tym bardziej że zespół specjalistów ITWL-u, kierowany przez płk. Mariusza Zieję, zamierza go dalej rozwijać i chce wykorzystywać w nim sztuczną inteligencję. TW



INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa
tel.: +48 261 851 300; fax: +48 261 851 313
www.itwl.pl e-mail: poczta@itwl.pl



Awionika

Uzbrojenie lotnicze

Struktury kompozytowe

Symulacja i modelowanie

Integracja systemów C4ISR

Badania naziemne i w locie

Testy i certyfikacja wyrobów

Bezzałogowe statki powietrzne

Badania paliw i cieczy roboczych

Wspomaganie sterowania eksploatacją

Diagnostyka powierzchni roboczych lotnisk

Systemy diagnostyczne dla techniki lotniczej

Systemy rozpoznania, dowodzenia i szkolenia



RYAN LUCAS / USSOCOM

W poszukiwaniu wspólnego języka

Siły zbrojne USA dla wielu armii świata są niedoścignionym wzorem, mają jednak pewne słabości. Jedną z nich są problemy z ogniową interoperacyjnością, czyli współpracą podczas prowadzenia ostrzału przez siły lądowe, marynarkę wojenną, piechotę morską. Lekarstwem na tę przypadłość może się okazać polski system.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Milion trzysta tysięcy żołnierzy mających do dyspozycji blisko sześć tysięcy czołgów, trzy tysiące samolotów, dwa tysiące śmigłowców, dwadzieścia tysięcy opancerzonych pojazdów i trzysta dużych okrętów wojennych. Siły zbrojne Stanów Zjednoczonych to najpotężniejsza armia na świecie, ustępująca jedynie rosyjskiej pod względem liczby posiadanych głowic atomowych. Ten militarny kolos ma jednak pewne wady i – aby utrzymać światową supremację – musi zmierzyć się z kilkoma problemami.

Źródłem najpoważniejszego z nich jest to, że każdy z rodzajów sił zbrojnych od początku istnienia miał dużą autonomię.

KAŻDY W SWOJĄ STRONĘ

Najjaskrawiej widać to na przykładzie Korpusu Piechoty Morskiej, czyli popularnych marines. Ta formacja na przestrzeni lat stała się w zasadzie armią w armii, przygotowaną do prowadzenia samodzielnych działań na lądzie, morzu i w powietrzu. Posiada własne jednostki nie tylko pancerne





i zmechanizowane, lecz także artyleryjskie, logistyczne i inżynieryjne. Ma do dyspozycji okręty, samoloty i śmigłowce. Ktoś może zapytać: „W czym problem?”. Przecież dzięki takiej autonomii podczas II wojny światowej Amerykanie mogli prowadzić dwa pełnoskalowe konflikty – w Europie (działając siłami wojsk lądowych) i na Pacyfiku (gdzie prym wiodli marines). W czasach dowodzenia za pomocą papierowych map oraz radia rzeczywiście taka szeroka autonomia poszczególnych rodzajów sił zbrojnych mogła być atutem. Obecnie, gdy wymogiem pola walki są operacje połączone, narodowe i wielonarodowe, jest to już poważny problem.

Kiedy pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku w amerykańskiej armii pojawiły się pierwsze zautomatyzowane systemy dowodzenia, a dokładniej artyleryjski Tacfire oraz dowodzenia obroną przeciwlotniczą Missile Monitor, nikt specjalnie się nie zastanawiał nad tym, czy będą one kompatybilne z innymi tego typu produktami, nie tylko tymi używanymi przez sojuszników, lecz także przez wojska innych rodzajów. Nie ma się co dziwić. Wówczas po prostu cieszą się z tak zaawansowanego technologicznie sprzętu, dzięki któremu zarządzanie walką stało się o wiele łatwiejsze. Myślenie o interoperacyjności zostawiano sobie na później.

Konsekwencje takiego podejścia amerykańska armia boleśnie odczuła podczas pierwszej wojny w rejonie Zatoki Perskiej. Okazało się wówczas, że jednostki z tej samej armii

mają problemy z prowadzeniem połączonych operacji. Systemy dowodzenia opracowane dla poszczególnych rodzajów wojsk „nie rozmawiały” ze sobą, ponieważ przy ich budowie brano pod uwagę różne standardy komunikacji. Wojska lądowe swoje urządzenia oparły na VMF – Variable Message Format, lotnictwo – na Link 16 oraz Link 11, marynarka i marines – na Link 22. Co więcej, sojusznicy, z którymi Amerykanie współpracowali, również przez lata rozwijali swoje narodowe standardy komunikacji.

LABORATORIUM CZY POLIGON?

Trzeba przyznać, że choć diagnoza pojawiła się bardzo późno, działania naprawcze cechował duży rozsądek. Amerykanie postanowili bowiem szukać rozwiązań w ramach NATO, a nie na własną rękę. W tym celu zorganizowano w 1995 roku w Niemczech warsztaty interoperacyjności wojsk łączności i informatyki o kryptonimie „Combined Endeavor”. Ich wyniki były, owszem, obiecujące, ale mało konkretne, dlatego rok później USA przeforsowało utworzenie Agencji NATO do spraw Konsultacji, Dowodzenia i Kontroli (NATO Consultation, Command and Control Agency – NC3A). Miała się ona zająć przede wszystkim stworzeniem sojuszniczych standardów w dziedzinie interoperacyjności. W tym celu uruchomiono również CWI, czyli Coalition Warrior Interoperability, żeby NATO mogło testować opracowywane przez państwa członkowskie

KIEDY POD KONIEC LAT PIĘĆDZIESIĄTYCH UBIEGŁEGO WIEKU W AMERYKAŃSKIEJ ARMII POJAWIŁY SIĘ PIERWSZE ZAUTOMATYZOWANE SYSTEMY DOWODZENIA, NIKT SIĘ SPECJALNIE NIE ZASTANAWIAŁ NAD TYM, CZY BĘDĄ ONE KOMPATYBILNE Z INNYMI TEGO TYPU PRODUKTAMI, UŻYWANYMI NIE TYLKO PRZEZ SOJUSZNIKÓW, LECZ TAKŻE PRZEZ WOJSKA INNYCH RODZAJÓW



Od 2012 roku, priorytetem ćwiczeń „Bold Quest” stała się praca nad rozwiązaniami, które zapobiegną atakowaniu wojsk własnych przez lotnictwo i artylerię, czyli sytuacjom „friendly fire”.

rozwiązania teleinformatyczne. Dziś takie konsultacje noszą nazwę CWIX i odbywają się w Polsce.

Amerykanie nie byli jednak do końca zadowoleni z drogi, jaką w sprawie standardów komunikacji dla systemów wsparcia dowodzenia i kierowania walką wybrało NC3A. Oni chcieli wprowadzać zmiany w wymiarze praktycznym, a CWIX zostały pomyślane jako warsztaty, na których testuje się pewne rozwiązania. Nasi sojusznicy natomiast chcieli wprowadzić testować, ale nie w warunkach laboratoryjnych, lecz realnych, poligonowych.

Zgodnie z decyzjami Pentagonu oraz Joint Chiefs of Staff (CJCS), czyli Kolegium Szefów Sztabów, najważniejszego organu dowódczego amerykańskich sił zbrojnych, takie testy zaczęto prowadzić na ćwiczeniach „Bold Quest”. Miały być one przede wszystkim narodowe – amerykańskie, do których zapraszane są tylko wybrane państwa. Do pierwszej edycji w 2003 roku włączono jedynie Wielką Brytanię i Norwegię. W kolejnych latach rozszerzano stopniowo grono uczestników o Australię, Belgię, Kanadę, Danię, Finlandię, Francję, Niemcy, Włochy, Holandię, Norwegię, Szwecję, Wielką Brytanię i Polskę (od 2013 roku jako obserwator, a od 2014 jako pełnoprawny uczestnik), zmieniono również

charakter manewrów. Wcześniej odbywały się raz w roku, a teraz zdecydowano się przyjąć zasadę, że w myśl idei: test – fix – test, „Bold Quest” będzie się odbywał w dwóch transzach, wiosennej i jesiennej – jedna zawsze miała mieć charakter międzynarodowy, a druga narodowy.

LEKARSTWO Z POLSKI

Od 2012 roku, po tym jak nadzór nad ćwiczeniami „Bold Quest” przejął J-6 Sztabu Połączonego (Joint Staff J-6), priorytetem stała się praca nad rozwiązaniami, które zapobiegną atakowaniu wojsk własnych przez lotnictwo i artylerię, czyli sytuacjom „friendly fire”. Co ciekawe, Amerykanie, chcąc znaleźć panaceum na problem wywołany tym, że lotnictwo państw NATO w systemach dowodzenia generalnie korzysta z Link 16, a siły lądowe Sojuszu z miksu narzędzi, bazujących aż na trzech standardach: Friendly Force Information, Variable Message Format oraz NATO Friendly Force Information, nie skoncentrowali się na własnych rozwiązaniach. Urządzeń, które wcielały się w rolę tłumacza między Linkiem-16 a rozwiązaniami stosowanymi na lądzie, czyli serwerów CID (Combat Identification), zaczęli szukać na





TEL DAT

Amerykane chcą podczas jesiennej edycji „Bold Quest” przetestować cały zautomatyzowany system zarządzania walką C3IS Jaśmin.

różnorodnych ćwiczeniach właściwie we wszystkich państwach NATO. Także w Polsce.

„Amerykanie zgłosili się do nas w 2013 roku, po tym, gdy zobaczyli nasz Combat Identification Server Jaśmin na CWIX. Niestety wówczas było już za późno, abyśmy wzięli udział w najbliższych ćwiczeniach »Bold Quest«, ale skorzystaliśmy z zaproszenia i pojawiliśmy się na kolejnej edycji, w 2014 roku”, wyjaśnia dr inż. Henryk Kruszyński, prezes Teldatu, polskiej firmy, która pracę nad CID rozpoczęła w 2008 roku, a gotowy system miała już w 2011 roku. Jego międzynarodowy pierwszy test odbył się w 2012 roku, podczas warsztatów CWIX.

Polski produkt na tle międzynarodowej konkurencji wyróżniają uniwersalność i skalowalność, czyli zdolność do rozbudowy. Co więcej, może być on częścią systemów wsparcia dowodzenia C3IS Jaśmin każdego szczebla: od spieszonego żołnierza, przez systemy przeznaczone dla batalionów i kompanii, aż po ten najwyższy szczebel, czyli rozwiązania dla dowództw brygad, dywizji, korpusów. Co istotne dla wojskowych łącznościowców, może wykonywać połączenia w protokołach przeznaczonych do komunikacji w wąskopasmowych sieciach radiowych BRM (Battlefield Replication Mechanism), zapewniających dużą niezawodność i efektywność komunikacji.

Od 2014 roku na kolejnych edycjach „Bold Quest” polski system został przetestowany właściwie w komunikacji z każdym typem bojowego samolotu używanego przez armie NATO, w tym z amerykańskimi A10, B1, F15, F16, F/A-18 Super Hornet i śmigłowcami Apache oraz europejskimi Eurofighter Typhoon i Dassault Rafale, przeszedł także testy obciążeniowe

podczas operacji ogniowych z jednostkami z wojsk lądowych, marynarką wojenną i piechotą morską USA. I co najistotniejsze, był jednym z nielicznych z całej palety międzynarodowych produktów, które te sprawdziany zaliczyły pozytywnie.

CAŁY SYSTEM POD LUPE

Z powodu epidemii koronawirusa w tym roku odbędzie się tylko jesienna edycja „Bold Quest”, przy czym zagraniczne podmioty będą mogły wziąć w niej udział wyłącznie zdalnie – przy użyciu certyfikowanych sieci łączności. Amerykanie chcą teraz przetestować cały zautomatyzowany system zarządzania walką C3IS Jaśmin. „Będzie sprawdzany, czy właściwie przekazuje dane z systemów śledzenia położenia własnych sił do systemów wsparcia dowodzenia, zapewniając w ten sposób zautomatyzowane zobrazowanie sytuacji wojsk na szczeblu brygady i wyżej. Ponadto przy użyciu systemu JFSS C3IS Jaśmin zostanie przeprowadzona cyfrowo wspomagana misja bezpośredniego wsparcia ogniowego DACAS [Digitally Aided Close Air Support] oraz operacja uderzenia z powietrza w JTAR [Joint Tactical Airstrike Request]”, wyjaśnia Paweł Baturo, dyrektor Departamentu Rozwoju Technologicznego Teldatu.

Od 2014 roku amerykańska armia intensywnie testuje polski system Jaśmin. Widzi w nim jedno z najbardziej zaawansowanych na świecie rozwiązań teleinformatycznych zapewniających współpracę systemów wsparcia dowodzenia opartych na różnych protokołach komunikacji. Czy to on rozwiąże problemy Amerykanów z interoperacyjnością, pokaże przyszłość. ■

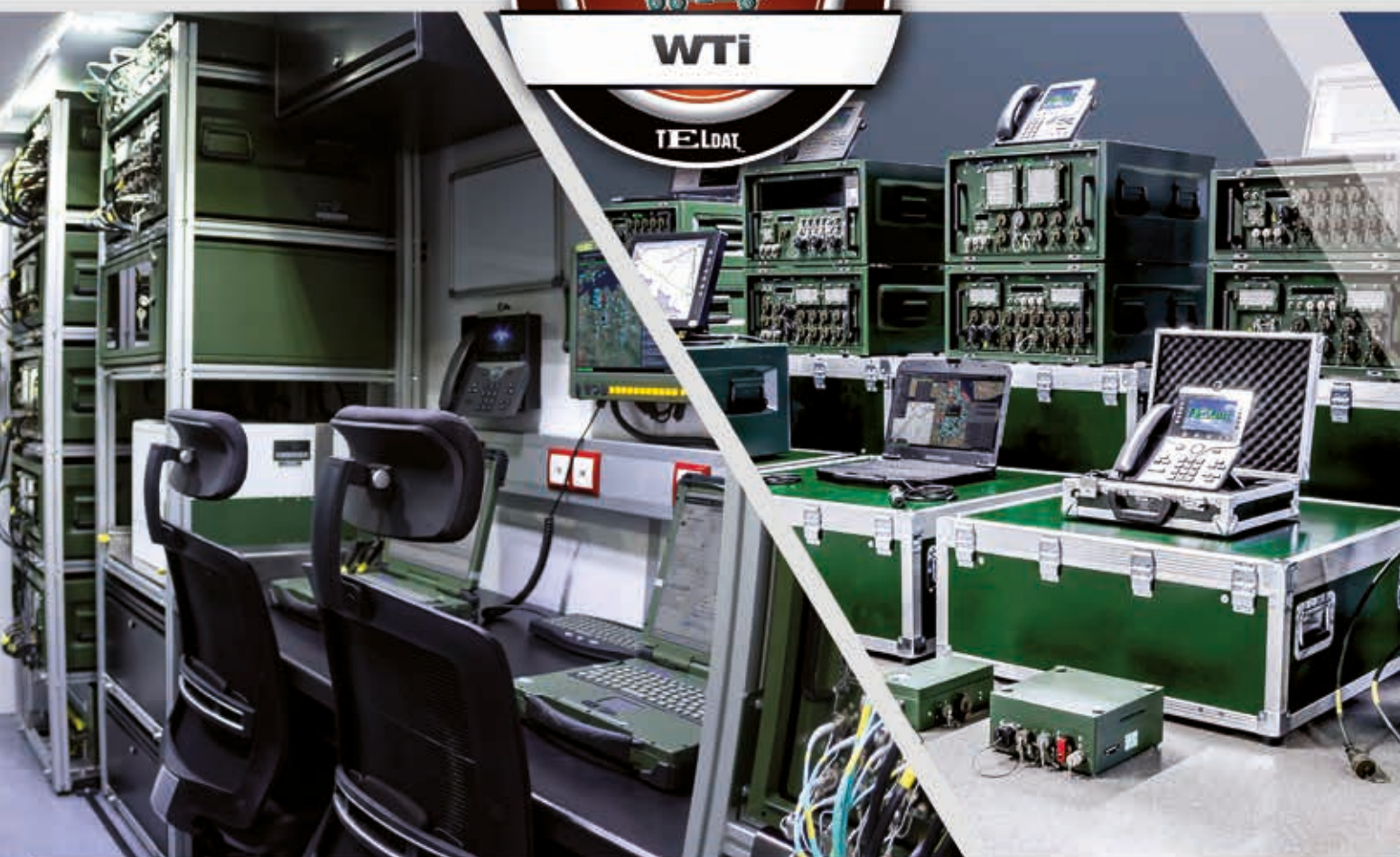
TEL DAT



Węzły Teleinformatyczne
w wersji kontenerowej



Węzły Teleinformatyczne
w wersji przenośnej



www.TELDAT.com.pl

Innowacyjne i wysokowydajne duże zbiory wojskowych rozwiązań ICT (sprzętowych i programowych) zapewniające nowoczesną, sieciową i bezpieczną infrastrukturę teleinformatyczną dla systemu dowodzenia i łączności SZ RP

Opracowane na podstawie kilkunastoletniego doświadczenia z wdrażania, eksploatacji i doskonalenia węzłów teleinformatycznych JAŚMIN, także na teatrach działań stabilizacyjno-wojskowych

TEL DAT
Cicha 19-27
85-650 Bydgoszcz

tel.: +48 52 341 97 00
fax: +48 52 341 97 40
e-mail: teldat@teldat.com.pl



PROMOCJA WRZESIEŃ 2020

GRUPA WB **FLYEYE**

Sprawdzony bojowo system bezzałogowy dla Wojska Polskiego

FlyEye to bezzałogowy system powietrzny, którego najbardziej rozpoznawalnym elementem są lekkie, startujące z ręki i lądujące automatycznie bezzałogowe samoloty wielozadaniowe. Rozwiązanie zostało opracowane przez spółkę Flytronic z Gliwic, wchodzącą w skład GRUPY WB. System był wykorzystywany w warunkach bojowych przez Siły Zbrojne RP podczas misji zagranicznych.

System FlyEye to produkt w stu procentach polski i wytwarzany w całości w kraju. Wszystkie prawa intelektualne do niego ma GRUPA WB, której współwłaścicielem jest Polski Fundusz Rozwoju. Oznacza to pełną kontrolę państwa nad produkowanym na Śląsku zaawansowanym rozwiązaniem, stworzonym przez rodzimych inżynierów. FlyEye może być wykorzystywany do zadań rozpoznania obrazowego, akustycznego, radiolokacyjnego, pomiarowego i sygnaturowego, także jako latający przekaźnik radiowy oraz wyspecjalizowany środek transportu małych i wrażliwych ładunków.

CHARAKTERYSTYKA

System FlyEye składa się z naziemnej stacji kontroli lotu, stacji analizy danych, anten różnego rodzaju, kilku bezzałogowych platform latających z różnym wyposażeniem (takim jak głowice obserwacyjne, zestawy mikrofonów lub radioprzekaźniki, zwiększające nawet stukrotnie zasięg łączności radiowej) oraz trenażera ze zdolnością do syntezy wideo. Może on być przewożony na pojazdach lub transportowany przez dwuosobową obsługę w specjalnie zaprojektowanych plecakach.

Bezzałogowy samolot o masie startowej 11 kg startuje z ręki operatora i może wykonywać loty na wysokościach przekraczających 5000 m n.p.m. Nie wymaga żadnej dodatkowej infrastruktury, może zostać użyty w dowolnym miejscu i czasie. Po wykonaniu misji automatycznie ląduje w wyznaczonym miejscu.

Wchodzące w skład systemu bezzałogowce mogą operować w dzień i w nocy, nawet w skrajnie niesprzyjających warunkach atmosferycznych, przy silnym wietrze, wysokich i niskich temperaturach oraz wysokiej wilgotności. FlyEye działa podczas zakłóceń lub w sytuacji braku dostępu do systemu nawigacji satelitarnej GPS. Bezzałogowiec może latać po zaplanowanej trasie, być kierowany w trybie ręcznym lub działać automatycznie w trybie konwoju, gdzie patroluje teren i wykrywa zagrożenia dla nadzorowanych pojazdów.

FLYEYE W POLSCE

Wielozadaniowy FlyEye znajduje się w wyposażeniu wojsk specjalnych, wojsk lądowych i – od niedawna także wojsk obrony terytorialnej. Został wielokrotnie sprawdzony – w kraju oraz w operacjach poza granicami państwa. System jest cały czas rozwijany, trwa proces jego udoskonalania.



GRUPA WB

GRUPA WB zbiera doświadczenia i wprowadza kolejne funkcjonalności, dopasowując FlyEye'a nawet do najbardziej wyśrubowanych wymagań użytkowników.

System opracowano, biorąc pod uwagę szczególne wymagania wojsk raketowych i artylerii, dlatego charakteryzuje się niezwykle dokładnością w wyznaczaniu miejsca położenia celów. Użycie własnych, zaawansowanych głowic optoelektronicznych, w połączeniu z unikatowym algorytmem transmisji obrazu z kamer dziennych i nocnych (termowizyjnych), pozwoliło na uzyskanie niezwyklej precyzji w namierzaniu obiektów do ataku oraz ewentualnej korekcji ognia.

FlyEye został przez GRUPĘ WB zintegrowany z systemem zarządzania walką TOPAZ. Umożliwia to natychmiastowe przekazanie obrazu z systemu bezzałogowego do dowolnych pojazdów Wojska Polskiego, w tym wozów bojowych lub samobieżnych zestawów artyleryjskich i raketowych.

Wposażenie optoelektroniczne bezzałogowców pomaga w precyzyjnym ustaleniu położenia geograficznego obserwowanego miejsca. Dokładne koordynaty wraz z obrazami terenu są natychmiast w czasie rzeczywistym przekazywane do stacji kontroli i analizy lub systemu zarządzania walką TOPAZ.

SUKCES ZA GRANICĄ

FlyEye odniósł sukces nie tylko w kraju, opracowane przez GRUPĘ WB bezzałogowce zostały bowiem dostarczone także do użytkowników poza granicami Polski. Tam również wykorzystywano je bojowo podczas działań w warunkach walki elektronicznej w styczności z siłami przeciwnika, nie odnotowując żadnych strat podczas operacji.

Jakość bezzałogowych rozwiązań GRUPY WB została doceniona przez Agencję Wsparcia i Zamówień Obronnych NATO (NATO Support and Procurement Agency – NSPA). Dzięki temu zainteresowane państwa będą mogły kupić system FlyEye za pośrednictwem tej instytucji.

Warto dodać, że FlyEye jest jedynym opracowanym w Polsce zaawansowanym systemem wojskowym, za który wzięła odpowiedzialność NSPA. Agenda NATO wprowadziła go do swojego portfolio i oferuje na rynku uzbrojenia. Jest to nobilitacja polskiego produktu i potwierdzenie jego najwyższej jakości.

FLYEYE DLA SŁUŻB PAŃSTWOWYCH

Dostarczone do Straży Granicznej systemy używane są do codziennego nadzoru nad granicami kraju, trafiły także do polskich instytucji związanych z bezpieczeństwem państwa. Choć FlyEye został stworzony dla sił zbrojnych, zgodnie ze ścisłymi wymaganiami wojska i we współpracy z użytkownikiem, to okazał się jednak tak uniwersalny, że jest z powodzeniem wykorzystywany do poszukiwania zaginionych osób, wykrywania ognisk pożarów oraz nadzoru i sprawdzania linii energetycznych.

FlyEye'a charakteryzuje możliwość prowadzenia działań w trudnych warunkach atmosferycznych, podczas których loty samolotami załogowymi są obarczone dużym ryzykiem i mogą stanowić zagrożenie dla pilotów. Zastosowanie precyzyjnych danych z głowicy obserwacyjnej pomaga w mierzeniu odległości do jednostek ratowniczych, gaśniczych lub poszukiwawczych. Daje to możliwość lepszego wykorzystania sił i środków oraz zmniejszenia zagrożenia osób zaangażowanych w działania, na przykład w sytuacji osaczenia przez ogień.

W 2020 roku operatorzy wojsk obrony terytorialnej używali FlyEye do pomocy strażakom w akcjach ratowniczo-gaśniczych bezcennych przyrodniczo obszarów Biebrzańskiego Parku Narodowego. W przeciwieństwie do samolotów załogowych, bezzałogowce wyposażone w kamery termowizyjne mogły przekazywać obraz również podczas lotów wykonywanych po zmierzchu. ■

ARMIA

/ WOJSKA LĄDOWE



KRAB UDERZA Z DALEKA

Jest wyposażona w 155-milimetrowe działo zdolne wyrzucać **sześć pocisków na minutę i razić cele oddalone nawet o 40 km**, a także w systemy maskujące i ostrzegające przed atakiem przeciwnika. O atutach najpotężniejszej haubicy polskiej armii opowiadają żołnierze.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

ŁUKASZ ZALESIŃSKI



P

ięćdziesięciotonowy kolos stanął przed halą garażową. Jesteśmy nieopodal Sulechowa, w bazie należącej do 5 Lubuskiego Pułku Artylerii. Silnik pracuje na jałowym biegu, a ja obchodzę pojazd dookoła. Haubica Krab już na pierwszy rzut oka robi wrażenie. 15 m długości, blisko cztery wysokości, stalowe gąsienice, do tego potężne 155-milimetrowe działo. Zaglądam do wnętrza. Ciasno. Pierwszy przedział jest przeznaczony dla czterech osób. Tuż przy górnym wlocie siedzi dowódca załogi, nieco poniżej – celowniczy. Po lewej stronie miejsce dla dwóch ładowniczych.

„To wariant na czas wojny. Podczas codziennej eksploatacji i ćwiczeń do prawidłowego funkcjonowania haubicy wystarczy jeden”, przyznaje st. kpr. Tomasz Łech, dowódca załogi. Jest jeszcze kierowca. Jego stanowisko mieści się z przodu. Aby się tam dostać, trzeba przejść kilka kroków wąskim korytarzykiem – a raczej się przecisnąć. Ograniczone miejsce to szczegół. Dla artylerzysty zaś chleb powszedni. „Tak było w danach, tak było w goździkach, tam gdzie wcześniej służyłem”, przyznaje kapral. „Ale czy te haubice można w ogóle porównywać? Tak naprawdę dzieli je cała epoka”.

CEL, PAL

Rozmawiamy więc, ale żeby się usłyszeć, musimy lekko podnosić głos. Cudów nie ma. Tysiąckonny silnik Diesla nawet podczas postoju musi robić hałas. Dla załogi jednak nie stanowi to większego problemu. „Korzystamy z systemu łączności wewnętrznej Fonet, zainstalowanego w hełmofonach. Został on zaprojektowany tak, by tłumić hałas dochodzący z zewnątrz”, wyjaśnia kpr. Łech. Poza tym obieg kluczowych informacji w dużej części odbywa się drogą elektroniczną. Dowódca ma przed sobą monitor terminala. „Spływają na niego informacje pochodzące od dowódcy plutonu – współrzędne celu oraz wyliczone przez system nastawy działa. Potem dane te wędrują do celowniczego, który ze swojego pulpitu steruje wszystkimi elementami systemu wieżowego”, tłumaczy dowódca załogi. W razie potrzeby może obracać, podnosić i opuszczać lufę, uruchamia też układ ładowania amunicji. „Wnętrze haubicy pomieści zapas 40 pocisków. Są tak skonstruowane, że nie ma-

ją łusek. Ładowniczy pobiera je z magazynu i umieszcza na hydraulicznym ramieniu, a ono posyła pocisk do lufy”, wyjaśnia st. kpr. Łech. Równocześnie ładuje się zapłonnik. Kiedy wszystko jest już przygotowane, następuje strzał. Czterdziestokilogramowy pocisk potrafi razić cele oddalone o 40 km. „Możecie śledzić, czy strzał był udany?”, dopytuję. „Jeżeli dystans jest tak duży, to nie. Ocena efektów ognia to już sprawa dowódców korzystających ze środków rozpoznania”.

Tymczasem krab może nie tylko razić przeciwnika, lecz także skutecznie bronić się przed jego atakiem. Przede wszystkim haubica jest wyposażona w wielkokalibrowy karabin maszynowy kalibru 12,7 mm. Obsługuje go jeden z ładowniczych. Do tego na pancerzu zostały zamontowane czujniki, które w razie potrzeby zaalarmują załogę, że nieprzyjaciel właśnie namierza pojazd przez laserowy celownik. „To bardzo czuła aparatura. Może zareagować nawet na promień emitowany przez wskaźnik wykorzystywany do prezentacji. Dlatego jeśli nie ćwiczymy, czujniki są zasłonięte”, podkreśla towarzyszący nam pplk Przemysław Strykowski, dowódca 2 Dywizjonu Artylerii Samobieżnej, która ma w wyposażeniu kraby.

Kiedy rozlega się alarm, na zewnątrz zostają wyrzucone granaty dymne. Pojazd ginie w szarym obłoku, a załoga zyskuje czas, by wycofać go w bezpieczne miejsce. Krab ma także system przeciwpożarowy. Jeśli na skutek awarii bądź trafienia nieprzyjacielskim pociskiem we wnętrzu pojawi się ogień, kierowca jednym przyciskiem uruchamia gaśnice, które zalewają pojazd pianą.

POCISK NA WYSOKOŚCIACH

Na razie to tyle. Pora na własne oczy zobaczyć choć ułamek możliwości nowej haubicy. Załoga wskakuje do wnętrza. Trzaskają drzwiczki wjazdu, silnik zwiększa obroty, a pojazd z impetem rusza naprzód, by po chwili wykonać zwrot niemal w miejscu. Asfaltowe płyty pozostają jednak nienaruszone. „Gąsienice kraba są zabezpieczone gumowymi nakładkami. Ciężar pojazdu rozkłada się na tyle równomiernie, że haubica wywiera na podłoże nacisk mniejszy niż tir. Dzięki temu bez większego problemu może się poruszać po publicznych dro-

Obieg kluczowych informacji w dużej części odbywa się drogą elektroniczną. Dowódca ma przed sobą monitor terminala, gdzie spływają współrzędne celu oraz wyliczone przez system nastawy działa.



Haubica wyposażona w silnik o mocy 1000 KM jest w stanie poruszać się na prostej drodze z prędkością nawet 60 km/h.

KRAB MOŻE NIE TYLKO RAZIĆ PRZECIWNIKA, LECZ TAKŻE SKUTECZNIE BRONIĆ SIĘ PRZED JEGO ATAKIEM

gach”, zaznacza mjr Marcin Stajkowski, rzecznik 5 Pułku Artylerii. Tak było chociażby kilka miesięcy temu, kiedy kraby pokonały sześciokilometrowy odcinek z bazy na rampę kolejową w Sulechowie, skąd ruszyły na poligon. „W dalsze miejsca z reguły jednak przewożymy je koleją bądź na zestawach niskopodwoziowych”, tłumaczy rzecznik.

Kiedy haubica znika za zakrętem, my pakujemy się do samochodu. Ponownie zobaczymy się na położonym nieopodal placu ćwiczeń. Właśnie tam załogi krabów zgrywają się, testują łączność, utrwalają procedury związane z prowadzeniem ognia. „Czasami ćwiczą pojedynczo, czasami całą baterią. Tutaj mogą trenować praktycznie wszystko, z wyjątkiem samego



strzelania”, podkreśla ppłk Strykowski. Tak więc załoga już na stanowiskach, po sygnale krab ponownie rusza przed siebie, rozbryzgując wokół fontanny piachu. Jego prędkość z każdą chwilą rośnie, a możliwości ma spore. Na prostej drodze potrafi poruszać się z prędkością nawet 60 km/h, w terenie przygodnym, takim jak tu – o połowę wolniej.

Haubica dojeżdża do linii lasu, zatrzymuje się, celowniczy zaś automatycznie zwalnia rygiel, który podczas jazdy przytwierdzał lufę do pancerza. Długie na przeszło 8 m działo wędruje w górę. „Podczas strzelań lufę można podnieść pod kątem ponad 45 stopni. Dzięki temu pocisk jest w stanie przelecieć ponad drzewami czy innymi przeszkodami, nawet jeśli te znajdują się w bezpośrednim sąsiedztwie haubicy. Kiedy jest prowadzony ostrzał na długie dystanse, prze-
mieszcza się na wysokości przekraczającej 15 km”, zaznacza ppłk Strykowski. Celowniczy obraca działem, po czym zostaje ono opuszczone, zaryglowane, a pojazd rusza dalej. Procedura jest powtarzana kilkakrotnie. Wreszcie krab wraca na miejsce, z którego wyruszył. Ciekawe? Owszem. „Proszę jednak pamiętać, że w warunkach bojowych haubica nigdy nie działa sama”, mówi dowódca dywizjonu.

TYSIĄC KONI POD PANCERZEM

Kraby wchodzą w skład baterii. Każda liczy osiem haubic. Do tego jest wyposażona w trzy wozy dowodzenia (jeden przypisany dowódcy baterii i dwa dowódcom plutonów) oraz dwa wozy amunicyjne. Trzy baterie tworzą dywizjonowy moduł ogniowy Regina. Całością kieruje dowódca dywizjonu, który na polu walki również ma własny wóz. Tak właśnie jest w 5 Pułku.

„Pierwsze kraby trafiły do nas dwa lata temu. Przyjęcie ich było poprzedzone szkoleniem, które zorganizował producent, czyli Huta Stalowa Wola. Musieliśmy też pozyskać do dywizjonu żołnierzy”, wspomina ppłk Strykowski. Nowe pojazdy sukcesywnie zastępowały samobieżne haubice Goździk wcielone do służby jeszcze na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. „Różnice między nimi są znaczące. Począwszy od kalibru działa – 122 mm w goździkach, 155 mm w krabach, przez zasięg – odpowiednio 15 i 40 km, aż po wyposażenie w elektronikę i moc silnika, która w hau-
bicy starszego typu wynosi 200, podczas gdy w naszym ostatnim nabytku 1000 KM”, wylicza dowódca 2 Dywizjonu.

A jak nowe baterie działają na polu walki? Wszystko rzecz jasna rozpoczyna się od zebrania informacji o potencjalnym celu. „Mogą one spłynąć ze źródeł zewnętrznych, ale też zostać pozyskane za pomocą własnych środków rozpoznania. Dywizjon korzysta z pracy sekcji obserwatorów ognia połączonego, bezzałogowych statków powietrznych oraz wskazań radaru rozpoznania artyleryjskiego Liwiec”, wylicza ppłk Strykowski. Dane są wprowadzane do systemu zarządzania walką Topaz, a ten wylicza nastawy dla haubicy. Następnie rozkazy płyną w dół – od dowódcy dywizjonu, przez dowódcę baterii, plutonu, aż po załogę bądź załogi wybranych haubic.

Jeśli w pole wyjeżdża tylko jedna bateria, podejmowanie decyzji rozpoczyna się od poziomu jej dowódcy. „Dzięki pełnej automatyzacji wszystko to zajmuje sekundy”, podkreśla podpułkownik. Przydzielenie zadania konkretnym haubicom ułatwia jeszcze to, że dzięki systemowi GPS dowódcy wyższych szczebli doskonale orientują się w położeniu poszczególnych pojazdów. Wskazane haubice zajmują pozycje i przygotowują się do otwarcia ognia. „Z reguły nastawy wprowadzane są do systemu w sposób całkowicie zautomatyzowany. Ale celowniczy może również namierzyć cel metodą półautomatyczną, za pomocą joysticka, lub analogowo, kręcąc korbkami”, wyjaśnia dowódca 2 Dywizjonu. Krab w ciągu minuty jest zdolny wystrzelić sześć pocisków. „Haubica na swojej pozycji nie powinna jednak pozostawać dłużej niż dwie minuty. Załoga musi się liczyć z tym, że podczas prowadzenia ostrzału przeciwnik będzie ją namierzał. Dlatego po wykonaniu zadania należy jak najszybciej przenieść się w inne miejsce”, podkreśla ppłk Strykowski.

Jeśli w pole wyjeżdża tylko jedna bateria, podejmowanie decyzji rozpoczyna się od poziomu jej dowódcy. „Dzięki pełnej automatyzacji wszystko to zajmuje sekundy”, podkreśla podpułkownik. Przydzielenie zadania konkretnym haubicom ułatwia jeszcze to, że dzięki systemowi GPS dowódcy wyższych szczebli doskonale orientują się w położeniu poszczególnych pojazdów. Wskazane haubice zajmują pozycje i przygotowują się do otwarcia ognia. „Z reguły nastawy wprowadzane są do systemu w sposób całkowicie zautomatyzowany. Ale celowniczy może również namierzyć cel metodą półautomatyczną, za pomocą joysticka, lub analogowo, kręcąc korbkami”, wyjaśnia dowódca 2 Dywizjonu. Krab w ciągu minuty jest zdolny wystrzelić sześć pocisków. „Haubica na swojej pozycji nie powinna jednak pozostawać dłużej niż dwie minuty. Załoga musi się liczyć z tym, że podczas prowadzenia ostrzału przeciwnik będzie ją namierzał. Dlatego po wykonaniu zadania należy jak najszybciej przenieść się w inne miejsce”, podkreśla ppłk Strykowski.

LUFĄ KU MORZU

Załogi krabów z Sulechowa mają za sobą trzy wizyty na poligonach. „Pierwsza wiązała się z testem wieńczącym szkolenie u producenta. Potem jeszcze dwukrotnie wyjeżdżaliśmy do Drawskiego Pomorskiego”, wspomina dowódca 2 Dywizjonu. Tam artylerzyści razili cele oddalone o 12 km. Oczywiście też strze-
bicy starszego typu wynosi 200, podczas gdy w naszym ostatnim nabytku 1000 KM”, wylicza dowódca 2 Dywizjonu.



Ppłk PRZEMYSŁAW STRYKOWSKI, dowódca 2 Dywizjonu Artylerii Samobieżnej: „Załoga musi się liczyć z tym, że podczas prowadzenia ostrzału przeciwnik będzie ją namierzał. Dlatego po wykonaniu zadania należy jak najszybciej przenieść się w inne miejsce”.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI (2)

St. kpr. TOMASZ ŁECH, dowódca załogi: „Kraba od wcześniejszych haubic dzieli cała epoka”.



SUPERHAUBICE

Historia tego projektu sięga drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Wówczas Polacy kupili od Wielkiej Brytanii licencję na budowę systemu wieżowego AS-90 „Braveheart”. Podwozie dla nowej haubicy miała skonstruować firma Bumar Łabędy. Na skutek różnego rodzaju zawirowań to się jednak nie udało. Rozwiązaniem problemu okazał się zakup w Korei Południowej licencji na produkcję podwozia wykorzystywanego w konstrukcji dział samobieżnego K9 Thunder. Polacy wspólnie z koreańskimi partnerami przebudowali je i rozwinęli na własne potrzeby. Pierwszy krab na nowym podwoziu został zaprezentowany przez Hutę Stalowa Wola latem 2015 roku. Wkrótce prototypowe egzemplarze trafiły do polskiej armii. ■

Pierwszy krab na nowym podwoziu został zaprezentowany przez Hutę Stalowa Wola latem 2015 roku.



STRZELANIA W USTCE MAJĄ JUŻ ZA SOBĄ ŻOŁNIERZE 11 MAZURSKIEGO PUŁKU ARTYLERII Z WĘGORZEWA. JEST TO PIERWSZA JEDNOSTKA, KTÓRA CZTERY LATA TEMU ZACZĘŁA UŻYTKOWAĆ KRABY

lanie na dystansie kilometra z wykorzystaniem celowników optycznych oraz prowadzenie ognia z pokładowych karabinów. To jednak zaledwie wstęp do kolejnych zadań.

„Jesienią wybieramy się na poligon w Ustce, gdzie można strzelać w kierunku morza, nawet na odległość 40 km. Przy okazji przeprowadzimy pomiary związane choćby z torem lotu pocisków. Wszystko to pomoże w przyszłości oddać podobne strzały na poligonie lądowym. Tam jest to o wiele bardziej skomplikowane, ponieważ pocisk będzie musiał przelecieć ponad publicznymi drogami, które przecinają tereny zarządzane przez wojsko”, tłumaczy podpułkownik.

Tymczasem strzelania w Ustce mają już za sobą żołnierze 11 Mazurskiego Pułku Artylerii z Węgorzewa. Jest to pierwsza jednostka polskiej armii, która zaczęła użytkować kraby. Testowe egzemplarze pojawiły się tam już cztery lata temu. „Przeskok był ogromny. Ze świata analogowego przeszliśmy w cyfrowy. Od tego czasu staramy się strzelać tak

często, jak to tylko możliwe: w Toruniu, Orzyszu, Drawsku, Żaganiu. Do tego w różnych konfiguracjach: dwiema bateriami, trzema... W odniesieniu do nowego sprzętu trening to sprawa kluczowa”, podkreśla ppłk Mateusz Kujawski, dowódca 2 Dywizjonu Artylerii Samobieżnej, który wchodzi w skład węgorszewskiego pułku. Nad Bałtykiem jego podwładni strzelali już na odległość 33 km. Kilka miesięcy temu mocno zaznaczyli też swoją obecność na ćwiczeniach „Anakonda”, gdzie wspierali ogniem okręty marynarki wojennej oraz lotnictwo.

Do wspomnianych dwóch jednostek, które korzystają z krabów, wkrótce dołączy trzecia – 23 Śląski Pułk Artylerii z Bolesławca. W lipcu pierwsi służący w nim żołnierze rozpoczęli ćwiczenia pod okiem ekspertów zebranych przez Hutę Stalowa Wola. Kilka dni temu zaliczyli strzelania na poligonie w Nowej Dębie. Do końca 2024 roku polskie wojsko ma otrzymać łącznie blisko 120 krabów. ■

Jak odzyskać giganta?

Z Pawłem Galkiem o służbie w natowskiej jednostce na Sycylii i zadaniach bezzałogowych statków powietrznych Global Hawk RQ-4D rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.

Po dekadzie służby w 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej przeniósł się pan do natowskiej jednostki lotniczej. Skąd taka rewolucyjna zmiana?

Rzeczywiście większość służby wojskowej spędziłem w 17 WBZ. Z nią wyjechałem na misję do Afganistanu, brałem też udział w wielu ciekawych ćwiczeniach. Uczestniczyłem w konferencjach i reprezentowałem brygadę na arenie międzynarodowej, m.in. podczas szkoleń w Macedonii, Chorwacji czy w Niemczech. To wszystko sprawiło, że chciałem się rozwijać, zdobywać nowe umiejętności. Zasmakowałem także w służbie w środowisku wielonarodowym.

Służył pan na Wzgórzach Golan i w Afganistanie. To misje ukształtowały pana jako żołnierza?

Tak, choć ta pierwsza misja nie była stricte bojowa, bo wypełnialiśmy tam zadania obserwacyjno-rozjemcze i dbaliśmy o stabilizację w regionie buforowym między Syrią a Izraelem, to nauczyła nas wiele, jeśli chodzi o sposób patrolowania, poruszania się w terenie czy współpracę w środowisku międzynarodowym. Afganistan to już zupełnie inna historia. Służba pod Hindukuszem była bardzo intensywna i zweryfikowała moje umiejętności. Regularnie przeżywalismy ostrzały bazy, wiele razy mieliśmy kontakt ogniowy w czasie patroli. A 2 czerwca 2011 roku zginął dowódca drużyny z mojej kompanii chor. Jarosław Maćkowiak. Kilka tygodni później rosomak, którym jechałem, wyleciał w powietrze na minie pułapce. Na szczęście wtedy nic poważnego nikomu się nie stało. Dlatego to właśnie misje ukształtowały mnie jako przyszłego

go podoficera, jako dowódcę i znacząco wpłynęły na to, jak później podchodziłem do szkolenia żołnierzy. Zrozumiałem wówczas, jak ważna jest ich kreatywność. Przekonałem się też, że powinni być wszechstronnie wyszkoleni, tak aby w pododdziałach była zamienność funkcji.

Dlaczego wybrał pan służbę w Sojusznym Komponentcie Sił Rozpoznawczych z Powietrza [NATO Allied Ground Surveillance Force] w bazie Sigonella na Sycylii.

W tej jednostce natowskiej były niskie etaty podoficerskie, a tylko na takie stanowiska mogłem aplikować. Poza tym Sigonella dawała mi szansę na naukę czegoś zupełnie nowego, służbę w pionierskiej jednostce, wyposażonej w unikatowy sprzęt.

Ma pan na myśli drony rozpoznawcze Global Hawk RQ-4D?

Tak, te potężne, ważące niemal 4 t maszyny mogą wykonywać lot bez przerwy przez 30 godzin na wysokości do 18 tys. m. Są ogromne, rozpiętość ich skrzydeł przekracza 35 m. Ale najważniejsze jest to, że są wyposażone w bardzo mocny silnik i najwyższej jakości sensory, które pozwalają rejestrować obraz w dzień i w nocy w kilku różnych trybach. Nie tylko wykonują bardzo dokładne zdjęcia, lecz także potrafią np. wyszukiwać ruchome obiekty, określać kierunek ich przemieszczania i prędkość, identyfikują również uzbrojenie. Są w dużym stopniu autonomiczne, programowane za pomocą komputerów, więc podczas lotu nie prowadzi ich operator. Gdyby np. doszło do zerwania łączności, to

ARCH. PRYWATNE



Ostatnie dwa lata plut. Paweł Galek poświęcił na pracę nad dokumentacją z jasnymi wytycznymi dotyczącymi działań, które trzeba podjąć, by utraconą maszynę odzyskać i zabezpieczyć miejsce zdarzenia.





dron i tak będzie wykonywał misję. Ciekawe jest to, że global hawk świetnie sobie radzi przy złej pogodzie. Może latać nad burzami, ulewami, a nawet tornadami. Zresztą NASA właśnie do badania tornad wykorzystuje global hawki.

Gdzie te maszyny latają i w jakim celu?

Mogę jedynie powiedzieć, że nasze drony latały nad Syrią, Turcją i Grecją. Teraz koncentrujemy się nad wybrzeżem Afryki, gdzie szczególną uwagę zwracamy na ruch uchodźców w kierunku Europy. Loty zawsze wykonuje się na zapotrzebowanie państw członkowskich Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Nie jest pan operatorem bezzałogowca, lecz specjalistą od tzw. crash recovery. Czy do nowych zadań można było przygotować się w Polsce?

Żeby rozpocząć służbę na Sycylii, musiałem spełnić pewne kryteria, np. mieć doświadczenie bojowe, ukończone szkolenia z SERE [Survival, Eva-

sion, Resistance, Escape] i posługiwać się biegle językiem angielskim. Nie mogłem zaś w żaden sposób przygotować się do obowiązków związanych z obsługą dronów, bo baza na Sycylii jako jedyna w Europie dysponuje bezzałogowcami rozpoznawczymi Global Hawk RQ4D. Dlatego wszystkie kursy przygotowujące mnie do pracy z tymi maszynami przeszedłem już na miejscu.

Czym w ogóle zajmują się tacy specjaliści?

Naszym podstawowym zadaniem jest odzyskiwanie uszkodzonych lub zestrzelonych bezzałogowców, a także ich części. Bierzymy też udział w planowaniu misji rozpoznawczych i jesteśmy w gotowości w czasie ich trwania, by w razie jakiegś awarii od razu ruszyć po nasz sprzęt.

Global hawk to kolos, waży kilka ton. To chyba spore wyzwanie?

Dowodzę zespołem crash recovery, który w zależności od potrzeb liczy od kilku do kilkudziesięciu żołnierzy. Tworzą go specjaliści z różnych dziedzin,



WIZYTÓWKA

PLUT. PAWEŁ GALEK

Zasadniczą służbę zaczął w 16 Dywizji Zmechanizowanej, a potem kontynuował ją w 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej. Dwukrotnie brał udział w misjach poza granicami kraju: w 2006 na Wzgórzach Golan i w 2011 w Afganistanie. Wielokrotnie był nagradzany i wyróżniany. Został m.in. wybrany podoficerem 2018 roku w Sigonelli, a w 2020 roku uzyskał tytuł najlepszego podoficera młodszego w całym NATO. ■



ARCH. PRYWATNE

Te potężne, ważące niemal 4 t maszyny mogą wykonywać lot bez przerwy przez 30 godzin na wysokości do 18 tys. m. Są ogromne, rozpiętość ich skrzydeł przekracza 35 m.

np. nawigacji, uzbrojenia, awioniki, systemów paliwowych czy mechaniki, ale naszym zadaniem nie jest naprawianie uszkodzonego drona, lecz jak najszybsze przetransportowanie go do bazy. W rejon nieplanowanego lądowania lub katastrofy lecimy dużymi samolotami transportowymi. Do dyspozycji mamy mechaniczne oraz elektryczne narzędzia do cięcia metalu i kompozytów, gaśnice, pneumatyczne poduszki, wyciągarki, kompresory, a nawet dźwig, który podniesie 26-tonowy ładunek, oraz koparko-ładowarki. Moi żołnierze są wyposażeni w odpowiedni sprzęt do ochrony indywidualnej: detektory skażeń i promieniowania, kombinezony chroniące przed promieniowaniem, aparaty oddechowe z filtrami, które pozwalają funkcjonować w atmosferze skażonej płonącym kompozytem.

Czy zespół, którym pan dowodzi, ruszył już kiedyś po global hawk?

Bezzałogowiec jeszcze nigdy nas nie zawiodł, więc wszystkie nasze działania miały dotąd charakter jedynie treningowy.

Kilka tygodni temu dowódca NATO i wojsk amerykańskich w Europie gen. Tod Wolters wyróżnił pana tytułem najlepszego podoficera młodszo Sojuszu Północnoatlantyckiego m.in. za stworzenie instrukcji dotyczącej odzyskiwania utraconych bezzałogowców rozpoznawczych. Dlaczego jest to takie ważne?

Gdyby doszło do katastrofy, zestrzelenia lub po prostu nieplanowanego lądowania poza terenem jednostki wojskowej, musimy odzyskać utracony sprzęt. Global hawk wart jest miliony dolarów, ale głównie chodzi o to, że posiada dane wrażliwe i nie możemy pozwolić, by trafiły one w niepowołane ręce. Jednak zanim ja ze swoim zespołem wyruszę z Sycylii po drona, ktoś na miejscu zdarzenia musi go zabezpieczyć. Moim zadaniem, jako lidera zespołu crash recovery, jest doradzanie służbom cywilnym, które na miejscu zdarzenia prowadzą akcję ratunkową.

Trzeba zatem działać błyskawicznie.

Tak, i nie możemy pozwolić, by rozbity dron leżał kilka godzin i czekał na mnie i moich żołnierzy. Dlatego ostatnie dwa lata poświęciłem na pracę nad dokumentacją z jasnymi wytycznymi dotyczącymi działań, które trzeba podjąć, by utraconą maszynę odzyskać i zabezpieczyć miejsce zdarzenia.

Wyobraźmy sobie, że straciliście dron. Co się dzieje dalej?

Jesteśmy przygotowani na wiele scenariuszy, jeszcze zanim on wystartuje z Sycylii. Znamy trasę przelotu, więc aktywujemy poszczególne służby w wybranych krajach. W czasie powietrznej misji zwiadowczej wszyscy są w gotowości. Gdyby doszło do wypadku, to w pierwszej kolejności do akcji ruszyłyby lokalne służby. Dzięki temu zespół crash recovery ma czas, by dotrzeć na miejsce zdarzenia.

Czego jeszcze dotyczy instrukcja, którą pan przygotował?

Zasadnicza jej część dotyczy koordynacji służb wojskowych i cywilnych w poszczególnych krajach. Zebraliśmy w jednym dokumencie dane kontaktowe, skrócone słowniczki w różnych językach, a także kryptonimy i słowa kluczowe, czyli wszystko, co może ułatwić komunikację w sytuacjach awaryjnych. Omówione zostały także etap prac technicznych oraz warunki bezpieczeństwa, jakie trzeba spełnić, gdy np. dojdzie do wycieku paliwa, pożaru statku powietrznego. Poza tym instrukcja zawiera wskazówki na temat demontażu skrzydeł, sposobu załadunku maszyny na pokład samolotu transportowego i wreszcie tego, co się dzieje z maszyną, gdy już trafi do Sigonelli. Mamy bardzo dokładne wytyczne. Teraz czas, by sprawdzić, jak zadziałają w wymiarze międzynarodowym.

Kiedy pierwszy test współdziałania?

Treningi miały się odbyć w tym roku, ale ze względu na pandemię koronawirusa musieliśmy zmodyfikować plany. Nie chcieliśmy angażować służb cywilnych poszczególnych krajów, które i tak miały mnóstwo pracy związanej z COVID-19. Mam jednak nadzieję, że w przyszłym roku zweryfikujemy przygotowane procedury. ■



MASKPOL

**Kamizelki kuloodporne
dopasowane do każdego zadania**

KAMIZELKA KWM-02

KAMIZELKA KKZ-01

www.maskpol.com.pl

 **PGZ**
POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA



Patrole na linii

Na misji w Kosowie polscy żandarmi zgrywają się z żołnierzami z innych państw podczas patroli i ćwiczeń, bo współpraca wielonarodowa wymaga ujednolicenia procedur dotyczących taktyki, łączności czy logistyki.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Gdyby doszło do zamieszek, jesteśmy gotowi do interwencji i przygotowani na różne scenariusze. Jeśli protestujący tłum użyje wobec sił KFOR [Kosovo Force] koktajli Mołotowa, nasza odpowiedź musi być stanowcza i szybka, a jednocześnie zgodna z obowiązującymi nas przepisami”, zaznacza por. Michał Mochtak, zastępca dowódcy kompanii manewrowej Żandarmerii Wojskowej. W XLII zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Kosowie służy 31 żołnierzy Oddziału Specjalnego ŻW z Mińska Mazowieckiego (cała kompania liczy około 120 osób).

Kosowo, zamieszkałe przez mniejszość serbską i kosowskich Albańczyków, ciągle jest niespokojnym regionem – stąd obecność w tym kraju międzynarodowych sił KFOR, działających pod auspicjami NATO. Od ponad 20 lat służą w nich także polscy żołnierze.

MINY NA GRANICY

Między Kosowem a Serbią nie ma prawnie ustanowionej granicy. Została wyznaczona administracyjna linia graniczna i żołnierze kompanii manewrowej kontrolują pas szero-



Jednym z elementów ćwiczeń z kontroli nad tłumem są zajęcia z cyklu fire phobia. Rzucane są wtedy niemal pod nogi koktajle Mołotowa, żeby żołnierze musieli przejść przez ścianę ognia.



MATEUSZ ADAMOWICZ (2)



TRZYSTU POLAKÓW

Na XLII zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Kosowie służą głównie żołnierze 1 Batalionu Kawalerii Powietrznej z Leżnicy Wielkiej, Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej z Mińska Mazowieckiego oraz brygad logistycznych z Opola i Bydgoszczy. Główne zadania

mandatowe wykonuje kompania manewrowa OSŻW, a pozostałe jednostki wspierają jej działania. PKW liczy około 300 żołnierzy i cywilów. Dowódcą jest ppłk Maciej Bańkowski, który w kraju dowodzi 7 Batalionem Kawalerii Powietrznej w Tomaszowie Mazowieckim.

kości 25 m po obu jej stronach. „Patrolujemy ten rejon z policją kosowską lub armią serbską, a czasem także razem z żołnierzami z innych państw. Bywa, że również nocą”, mówi por. Mochtak.

Ze statystyk wynika, że takie działania przynoszą efekty i z roku na rok spada liczba incydentów, czyli naruszeń strefy granicznej, m.in. przez nielegalnych imigrantów. St. szer. Robert Bielec, kierowca samochodu BRDM w plutonie zmotoryzowanym kompanii manewrowej ŻW, służył na XXXVII zmianie KFOR. Gdy dziś porównuje obecne Kosowo z tym sprzed kilku lat, twierdzi, że jest bezpieczniej. „Dotychczas nie było zamieszek ani incydentów. Nikt do nas nie strzelał”, wyjaśnia. „Nasza misja ma charakter stabilizacyjny, ale nadal musimy zwracać uwagę na materiały wybuchowe, bo ciągle zdarza się, że odnajdujemy je podczas patroli”, dodaje por. Michał Mochtak.

MOZAIKA W BAZIE

W położonej niedaleko Kosowskiej Mitrowicy bazie Novo Selo najczęściej jest Węgrów (około 400), ale służą tam także Polacy, Ukraińcy, Słoweńcy, Austriacy, Brytyjczycy, Grecy i Amerykanie. To niewielka placówka w porównaniu z Camp Bondsteel, główną amerykańską bazą wojskową KFOR, leżącą na południu Kosowa, niedaleko Prisztiny. Novo Selo ma dwa lądowiska dla śmigłowców, siłownię (teraz zamkniętą

z powodu pandemii koronawirusa), stołówkę (z której żołnierze pobierają posiłki na wynos) oraz sklepy (działają, ale jednorazowo mogą w nich przebywać maksymalnie trzy osoby). Żeby obejść bazę dookoła, trzeba byłoby pokonać 2,5 km. To z tego miejsca każdego dnia wyjeżdżają na patrol żołnierze kompanii manewrowej ŻW.

„Dni są do siebie podobne. Jedziemy na północ i sprawdzamy, czy nikt nie narusza kosowsko-serbskiej granicy oraz czy osoby wywożące z lasu drewno mają odpowiednie pozwolenia”, mówi plut. Paweł Kryszczak, dowódca drużyny w plutonie zmotoryzowanym kompanii manewrowej ŻW. Przed każdym wyjazdem st. szer. Robert Bielec przygotowuje pojazdy, które wyruszą na patrol. Jak twierdzi, podróż na północ Kosowa to spore wyzwanie: „To ciężki teren, na wysokości 1800 m n.p.m. są kiepskie drogi”. Czasem kilka ostatnich kilometrów do punktu docelowego trzeba przejść pieszo. Inni żołnierze dodają, że w Kosowie po deszczu drogi zmieniają się w bagniste trakty. Twierdzą też, że wysoka temperatura, duże zapylenie powietrza oraz słabej jakości drogi to najczęstsze przyczyny awarii honkerów, którymi poruszają się Polacy.

Operacyjnie kompania manewrowa podlega wielonarodowemu batalionowi, w którego skład wchodzi także oddziały amerykański i turecki. Tworzą ją trzy plutony zmotoryzowane oraz po jednym łączności i transportowym. Jej żołnierze, ➔

czyli żandarmi z Mińska Mazowieckiego, nie tylko wyjeżdżają na patrole, lecz także szkolą lokalne siły policyjne, prowadzą działania interwencyjne, konwojują transporty specjalne, zapewniają ochronę VIP-om.

RAMIĘ W RAMIĘ

Międzynarodowe patrole są organizowane w ramach sojuszniczej współpracy. I często padają na nich pytania: dlaczego tak to robicie? Jak się to robi u was? Por. Mochtak nie podaje konkretnych przykładów, bo nie może zdradzać procedur działania. Chętnie zaś opowiada o wspólnych szkoleniach. „Abyśmy mogli razem z Amerykanami uczestniczyć w patrolu z wykorzystaniem śmigłowców Sikorsky UH-60 Black Hawk, musieliśmy odbyć odpowiednie szkolenie. Chodziło o to, aby poznać amerykańskie procedury związane z desantowaniem ze śmigłowców oraz transportowaniem ładunków podczepionych do statku powietrznego. Gdy lecimy na patrol, nasze wyposażenie często nie mieści się do śmigłowca. Musimy wiedzieć, jak je sprawnie zamontować na linie, a potem z niej zdjąć”, tłumaczy por. Mochtak.

Jako zastępca dowódcy kompanii manewrowej, por. Mochtak uczestniczy w codziennych odprawach batalionu amerykańskiego oraz w dowództwie KFOR. Planuje także działania podległych plutonów. Zgłasza się również do wyjazdów na patrole, bo chce wiedzieć, na jakie problemy natrafiają żandarmi w terenie. Z takich obserwacji wzięła się m.in. propozycja skierowana do dowódcy wielonarodowego batalionu amerykańskiego ppłk. Kyle’a Akersa, aby przy granicy częściej wykorzystywać śmigłowce, bo patrol jadący drogą jest zbyt widoczny.

ZDUSIĆ OGIEŃ W ZARODKU

Jednym z ważniejszych szkoleń kompanii manewrowej na misji w Kosowie są zajęcia z umiejętności utrzymywania kontroli nad tłumem (Crowd and Riot Control – CRC). W każdej chwili może bowiem dojść do zamieszek wśród mniejszości serbskiej oraz kosowskich Albańczyków. „Musimy trenować, bo nigdy nie wiadomo, kiedy zostaniemy skierowani na interwencję”, mówią żołnierze. Węgrzy zorganizowali ćwiczenia, podczas których żandarmi mogli poznać procedury nieco inne niż te obowiązujące żołnierzy na co dzień. Techniki uspokajania tłumu polegają na manifestowaniu siły, ale niekoniecznie na jej użyciu. Należy zachowywać się pewnie, iść równym, zwartym krokiem, wydawać głośne komendy i natychmiast je wykonywać.



PRISZTINA, stolica i największe miasto Kosowa

LEONHARD NIEDERWIMMER / PIXABAY

KOSOWO, ZAMIESZKAŁE PRZEZ MNIEJSZOŚĆ SERBSKĄ I KOSOWSKICH ALBAŃCZYKÓW, CIĄGŁE JEST NIESPOKOJNYM REGIONEM – STĄD OBECNOŚĆ W TYM KRAJU MIĘDZYNARODOWYCH SIŁ KFOR, DZIAŁAJĄCYCH POD AUSPICJAMI NATO

„Trening z CRC jest jednym z elementów zintegrowanego międzynarodowego szkolenia dotyczącego stanu gotowości operacyjnej. Ma ono na celu usprawnienie oraz ujednolicenie działań prowadzonych wspólnie w rejonie Republiki Kosowa”, wyjaśnia sierż. Mateusz Adamowicz, rzecznik XLII zmiany PKW KFOR.

Jednym z elementów ćwiczeń z utrzymywania kontroli nad tłumem są zajęcia z cyklu fire phobia. Rzucane są wtedy niemal pod nogi koktajle Mołotowa, żeby żołnierze musieli przejść przez ścianę ognia. Węgrzy dawali wskazówki, co robić: trzymać nogi razem oraz zasłonić tarczą drogi oddechowe. Takie przejście trwa zaledwie kilka sekund. Żołnierz, na którym zaczyna palić się mundur, może jednak wpaść w panikę. Dla plut. Pawła Kryszczaka to było pierwsze takie szkolenie. „Teraz już wiem, co mam robić w takiej sytuacji”, mówi i dodaje, że mocno tupał nogami i machał tarczą, aby rozproszyć płomień. Trzeba tak postępować do czasu, aż wypali się benzyna albo ktoś ugasi ogień. „Ruch powoduje, że płomień nie parzą”, tłumaczy plutonowy. Przy pokonywaniu ściany ognia chodzi o to, by nie dopuścić do zapalenia się munduru. Jeśli jednak żołnierzowi idącemu w pierwszym szeregu nie uda się

tego uniknąć, interweniuje kolega z kolejnego.

SZTURMOWANIE BARYKADY

Nacją wiodącą w szkoleniu dotyczącym swobodnego przemieszczania się wojsk (Freedom of Movement Detachment) była Ukraina. Trening z żołnierzami jednostki inżynieryjno-saperskiej ukraińskiego kontyngentu miał na celu zgranie sił operacyjnych z wojskami inżynieryjnymi, które są pozbawione ochrony. „Podczas ćwiczeń działaliśmy w jednej kolumnie pojazdów: oni udrażniali nam drogę, a my ich osłanialiśmy”, wyjaśnia por. Mochtak. Dzięki wspólnemu szkoleniu żołnierze kompanii manewrowej dowiedzieli się również, jak powstrzymać ataki niezadowolonej ludności, zabezpieczać główne drogi przemieszczania kolumn wojsk oraz usuwać przeszkody. Plut. Paweł Kryszczak, dowódca drużyny w plutonie zmotoryzowanym, opowiada, że wtedy nauczył się, co robić, gdy szpalier żołnierzy uzbrojonych w tarcze dochodzi do przeszkody, a ciężki sprzęt rozjeżdża barykadę. „Ukraińcy zwrócili nam uwagę na to, że najpierw pies musi sprawdzić, czy nie jest ona zaminowana”. „To szkolenie pomogło nam w ujednoliceniu procedur. Przyglądali nam się obserwatorzy innych wojsk NATO stacjonujących w Kosowie”, twierdzi por. Mochtak i dodaje: „Misja jest najlepszym miejscem do takich ćwiczeń”. ■

11 WRZEŚNIA
GLIWICE

BILETY: EVENTIM.PL



**MINUTOR
ENERGIA**

**ARMIA
FIGHT NIGHT**

8

**SYLWESTER
MILLER**

**ŁUKASZ
STANEK**

**MARCIN
KRAKOWIAK**

**JACEK
BEDNORZ**

**KALZMARCZYK
VS. KEPA**



Arena Gliwice

TVP

SPORT

WYŻSZA SZKOŁA RATOWANIA ŻYCIA

„Military Doctor” to pierwszy poważny sprawdzian dla przyszłych lekarzy wojskowych. Muszą udowodnić, że zdobytą w czasie studiów wiedzę potrafią wykorzystać na prawdziwym polu walki.

MICHAŁ ZIELIŃSKI



Coraz rzadszy dym powoli odsłania sylwetki żołnierzy. W wyniku odniesionych obrażeń większość z nich leży bezwładnie na ziemi. Na pobojowisku, niczym duchy, poruszają się jedynie pojedyncze postaci, które pochylają się nad poszkodowanymi i sprawdzają ich stan zgodnie z procedurami TCCC (Tactical Combat Casualty Care – taktyczno-bojowa opieka nad rannymi na polu walki). Wszystkie czynności wykonują błyskawicznie, niemal odruchowo. Każdy otrzyma pomoc, ale priorytet mają żołnierze z najcięższymi obrażeniami, jeżeli tylko można im pomóc.

Jeszcze kilka minut wcześniej nic nie wskazywało na tak dramatyczny obrót sytuacji. Jeden z pojazdów patrolu najechał na improwizowane urządzenie wybuchowe (Improvised Explosive Device – IED), w wyniku czego sześciu żołnierzy zostało ciężko rannych. Chwilę później się okazało, że ładunek był tylko przynętą. Wysłany na pomoc pluton QRF (Quick Reaction Force – siły szybkiego reagowania) dostał się pod ogień moździerzy, obrażenia odniosło kolejnych kilku żołnierzy. Medycy musieli zatem stawić czoła zdarzeniu masowemu, w którym liczba rannych zdecydowanie przekracza możliwości zespołu. Wymaga to błyskawicznego działania oraz podejmowania kluczowych decyzji, od których zależy życie kolegów z pododdziału, pod dużą presją.

Chociaż jest to tylko scenariusz przygotowany na potrzeby ćwiczeń „Military Doctor 2020”, medycy podchodzą do swoich działań bardzo poważnie. Wszyscy to studenci-podchorążowie, którzy właśnie ukończyli piąty rok studiów w Kolegium Wojskowo-Lekarskim Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. „Głównym celem szkolenia jest zapoznanie podchorążych z pracą medyków na różnych poziomach ewakuacji, od pola walki po placówki medyczne poziomu pierwszego i drugiego. Ćwiczymy także elementy wydłużonej opieki nad poszkodowanymi, obrony przed bronią masowego rażenia oraz zarządzania ewakuacją”, tłumaczy kpt. Anita Podlasin, szef szkolenia i zarazem wykładowca Cyklu Symulacji Medycznej Pola Walki w Wojskowym Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi.

Wszystkie przygotowane scenariusze rozgrywają się w bardzo realistycznych warunkach, z użyciem pozoracji odzwierciedlającej zarówno eksplozje, jak i odniesione obrażenia. Część urazów oraz wynikających z nich powikłań jest symulowana na różnego rodzaju zaawansowanych fantomach. Mogą one symulować np. zatrzymanie oddechu, zmianę ciśnienia tętniczego czy krwawienie oraz reagować na leki. „Zależy nam na tym, żeby nasi podopieczni



Po udrożnieniu dróg oddechowych, zata-mowaniu krwotoków oraz zabezpieczeniu urazów głowy i klatki piersiowej poszkodowani są gotowi do ewakuacji.



Czterooosobowa drużyna czeka na śmigłowiec.

ZDARZA SIĘ, ŻE ŁAŃCUCH EWAKUACJI MEDYCZNEJ ZOSTAJE PRZERWANY LUB JEST ONA NIEDOSTĘPNA ZE WZGLĘDU NA IZOLACJĘ POLA WALKI – WTEDY MEDYCY UDZIELAJĄCY POMOCY ŻOŁNIERZOM SĄ ZDANI WYŁĄCZNIE NA SIEBIE

MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)

w kontrolowanych warunkach doświadczali tego, z czym mogą zetknąć się w przyszłości”, podkreśla kpt. Podlasin.

Każdą czynność wykonywaną przez studentów obserwuje zespół instruktorów z WCKMed oraz z amerykańskiego batalionu medycznego (421st Multifunctional Medical Battalion). Za wierne odwzorowanie realiów pola walki odpowiadają zaś żołnierze z 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej oraz 25 Brygady Kawalerii Powietrznej.

DECYZJE W KRYTYCZNYCH SYTUACJACH

Po udrożnieniu dróg oddechowych, zata-mowaniu krwotoków oraz zabezpieczeniu urazów głowy i klatki piersiowej poszkodowani są gotowi do ewakuacji. Wiele z nich zostało oznaczonych jako czerwoni, co jest równoznaczne z tym, że ich życiu zagraża niebezpieczeństwo i muszą jak najszybciej trafić do placówki medycznej poziomu pierwszego. Tam zespół lekarzy oraz ratowników medycznych oceni stan rannych żołnierzy oraz ustabilizuje ich funkcje życiowe.

„Opieka nad poszkodowanymi w placówce medycznej poziomu pierwszego przebiega trzyetapowo. Zaczynamy od segregacji rannych, w czasie której najbardziej doświadczony lekarz lub ratownik medyczny podejmuje decyzje dotyczące kolejności udzielanej pomocy. Następnie w sali opatrunkowej dwa zespoły medyczne równolegle wykonują za-

biegi stabilizujące funkcje życiowe pacjentów, w tym drobne zabiegi chirurgiczne. Trzeci etap odbywa się w pomieszczeniu, w którym poszkodowani pod opieką personelu oczekują na dalszą ewakuację”, tłumaczy kpt. dr Dorota Łęgocka-Bartczak z WCKMed. Dodaje przy tym, że w ciągu doby placówka może przyjąć nawet 80 pacjentów. Jednocześnie przez cały czas musi być gotowa na przeniesienie w każde wskazane miejsce.

„Podczas »Military Doctor 2020« naszym zadaniem jest przygotowanie przyszłych lekarzy wojskowych do podejmowania szybkich i, przede wszystkim, trafnych decyzji dotyczących stanu pacjenta. Podczas segregacji muszą zdecydować, czy ranny ma trafić na salę opatrunkową, czy może poczekać na pomoc w sali segregacji”, zaznacza kpt. dr Łęgocka-Bartczak. Na tym jednak nie kończą się wyzwania, którym muszą sprostać podchorążowie. „Uczymy ich, jak postępować z najtrudniejszymi przypadkami medycznymi. Muszą zwracać uwagę na kluczowe rzeczy, takie jak sprawdzanie poprawności założonych staż i opatrunków. Zarazem podchorążowie na bieżąco zdają meldunki z liczby oraz stanu pacjentów”, dodaje oficer.

Na potrzeby ćwiczeń częścią placówki medycznej poziomu pierwszego jest punkt dekontaminacji dla ofiar ataku chemicznego, radiologicznego lub biologicznego. W przypadku poszkodowanych bronią masowego rażenia udzielenie





Drużyny transportują poszkodowanych do śmigłowca przy użyciu składanych noszy. Potem następuje ewakuacja do placówki poziomu drugiego.



Podchorążowie w placówce poziomu drugiego muszą przełożyć wiedzę medyczną z ostatnich pięciu lat na praktykę i procedury wykonywane przy pacjencie.

MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)

NAWET JEŻELI W PRZYSZŁOŚCI STUDENCI MEDYCYNY WOJSKOWEJ NIGDY NIE TRAFIĄ NA POLE WALKI, DZIĘKI TAKIM ĆWICZENIOM BĘDĄ W PEŁNI ROZUMIEĆ ROLĘ KAŻDEGO MEDYKA, Z KTÓRYM PRZYJDZIE IM WSPÓŁPRACOWAĆ

pomocy wymaga nie tylko specjalistycznej wiedzy, lecz także odpowiedniego wyposażenia, w tym kombinezonu ochronnego FOO-1 oraz maski przeciwgazowej MP5. Tak przygotowani podchorążowie muszą wejść do skażonej strefy, zaopatrzyć rannych oraz przetransportować ich do punktu kontrolno-rozdzielczego, gdzie przed dalszą pomocą zostaną poddani dezynfekcji.

„Już na miejscu skażenia udziela się specjalistycznej pomocy, m.in. odcina się drogi oddechowe od trucizny specjalnymi kapturami. W wypadku skażeń biologicznych wykorzystujemy także nosze izolacyjne”, mówi kpt. Łukasz Romaniuk, wykładowca Cyklu Obrony Przed Bronią Masowego Rażenia i Epidemiologii Wojskowej WCKMed. W zależności od rodzaju ataku podczas dekontaminacji stosuje się różnego typu odkażalniki. Nie wszystkie z nich są neutralne dla organizmu, ale w takiej sytuacji priorytetem

jest pozbycie się skażenia. Jeśli mamy do czynienia z substancją parzącą, trzeba także zwracać uwagę na ułożenie ciała poszkodowanego, tak żeby podczas jej splukiwania wywoływała jak najmniej obrażeń wtórnych.

WSPÓLNY JEZYK

Najciężej poszkodowani trafiają bezpośrednio do placówki medycznej poziomu drugiego. W tym celu najczęściej używa się śmigłowca MEDEVAC, który ze względu na mobilność może bezpośrednio z pola walki szybko przetransportować rannych na większe odległości. Na miejscu czeka na nich zespół specjalistów oraz sprzęt umożliwiający zaawansowaną diagnostykę, prowadzenie intensywnej terapii oraz wykonywanie zabiegów chirurgicznych. Jest to także pierwszy punkt w systemie zabezpieczenia medycznego sił zbrojnych, gdzie podczas leczenia stosuje



Kpt. ANITA PODLASIN, szef szkolenia WCKMed: „Głównym celem szkolenia jest zapoznanie podchorążych z pracą medyków na różnych poziomach ewakuacji, od pola walki po placówkę medyczną poziomu pierwszego i drugiego”.

się świeżą krew pełną, chociaż obecnie sugeruje się, aby podawać ją jak najwcześniej.

„Podchorążowie trafiający do placówki poziomu drugiego muszą przełożyć wiedzę medyczną z ostatnich pięciu lat na praktykę i procedury wykonywane przy pacjencie. Żeby to zrobić dobrze, muszą potrafić się komunikować”, wyjaśnia mjr lek. Wojciech Stańczak, kierownik Cyklu Medycyny Ratunkowej i Katastrof z WCKMed. Jako lekarz specjalista chorób wewnętrznych i reumatologii, przez ponad dziesięć lat zdobywał doświadczenie na misjach, w szpitalnych oddziałach ratunkowych oraz w pogotowiu. Podczas ćwiczeń „Military Doctor 2020” nie tylko na bieżąco dzielił się swoją wiedzą ze studentami, lecz także nierzadko wchodził w skład tworzonych przez nich zespołów. „Lekarze muszą kolektywnie stawiać diagnozy, płynnie przekazywać sobie informacje oraz zespołowo określać główne zagrożenia i sposób terapii. Po to stworzono zespoły urazowe, żeby podzielić obowiązki i w ten sposób przyspieszać pracę, ale nie da się tego osiągnąć bez zgrania”, podkreśla mjr Stańczak. Żeby pracować efektywnie, wszyscy muszą znać się niczym rodzina. Po skończonych studiach podchorążowie będą musieli przejść ten proces na nowo, ale dzięki doświadczeniom z tych ćwiczeń osiągną taki stan znacznie szybciej.

Wpływ na karierę przyszłych lekarzy wojskowych ma także pomoc amerykańskich medyków, z którymi niemal na pewno spotkają się na ćwiczeniach oraz misjach w Polsce i za granicą. Podczas „Military Doctor 2020” po raz pierwszy wspólnie z polskimi instruktorami oceniali oni pracę zespołów urazowych oraz dzielili się swoimi obserwacjami i doświadczeniami. „Współpraca układa się bardzo dobrze. Nasza wiedza i wyposażenie są na porównywalnym poziomie. Amerykanie mają jednak trochę inny system szkolenia. Ich podejście do dydaktyki w połączeniu z możliwością szlifowania medycznego języka angielskiego to dla podchorążych kolejne cenne doświadczenie”, tłumaczy mjr Stańczak.

PROCESY ZACHODZĄCE W KOMÓRCE

Zdarza się, że łańcuch ewakuacji medycznej zostaje przerwany lub jest ona niedostępna ze względu na izolację pola walki, a wtedy medycy udzielający pomocy żołnierzom są zdani wyłącznie na siebie. W takiej sytuacji muszą poradzić sobie w każdych warunkach, niezależnie od tego, czy będzie to zniszczony budynek, las, czy opuszczona stodoła. Muszą być też przygotowani na to, że wszystkie czynności ratujące życie będą wykonywać przy ograniczonym oświetleniu lub nawet w całkowitym zaciemnieniu. Właśnie tak ekstremalnie trudne warunki były odzwierciedlane podczas zajęć z przedłużonej opieki medycznej nad poszkodowanym (Prolonged Field Care).

„W realnych sytuacjach wojskowi medycy muszą być gotowi, żeby sprawować opiekę nad rannymi nawet do 72 godzin. Na potrzeby ćwiczeń skracamy ten czas do ponadtrzygodzinnych scenariuszy, w trakcie których staramy się wprowadzić jak najwięcej procedur TCCC i medycyny ratunkowej. Każdy z nich to historia poszkodowanych

z różnymi obrażeniami, wymagającymi odmiennego podejścia”, mówi mjr lek. Grzegorz Lewandowski, kierownik Cyklu Medycyny Polowej, Chirurgii i Interny Polowej w WZKMed. Tak jak w realnych sytuacjach, studenci podczas zajęć są zasypywani masą informacji, dzięki którym ustalają właściwą terapię. Muszą nie tylko tamować krwotoki, utrzymywać drożność dróg oddechowych, zaopatrywać rany klatki piersiowej, lecz także kontrolować temperaturę ciała poszkodowanego, stosować płynoterapię i farmakoterapię, walczyć z bólem. Wszystkie te czynności, łącznie z podawaniem leków, odbywają się w czasie rzeczywistym. Stawiane przed nimi zadania nie sprowadzają się tylko do wykonania kaniulacji naczyń krwionośnych czy wkłuc doszypikowych, ale również do bardziej zaawansowanych technik ratowania życia. To jednak zaledwie część wyzwań, które się przed nimi stawia.

„Studenci uniwersytetu medycznego muszą rozumieć, co dzieje się z pacjentem na poziomie komórkowym. Wiedzę typową dla szpitala klinicznego przenosimy bezpośrednio na przedłużoną opiekę nad poszkodowanym na polu walki. Dzięki temu podchorążowie rozumieją wszystkie procesy zachodzące w organizmie człowieka i czują się pewnie w najtrudniejszych warunkach”, tłumaczy mjr lek. Lewandowski. Żeby mimo zmęczenia utrzymać pełną kontrolę nad stanem rannych podczas przedłużonej opieki medycznej, wszystkie dane na temat konkretnego pacjenta zapisuje się na specjalnych kartach. Dzięki zanotowanym informacjom wiemy, co – krok po kroku, minuta po minucie – działo się z naszym pacjentem i jakie procedury medyczne zostały zastosowane. Potem z pełną historią choroby może zostać on przekazany w ręce innego medyka lub wyewakuowany do placówki medycznej czy szpitala.

Wymienione działania są koordynowane przez specjalną komórkę medyczną działającą przy stanowisku dowodzenia. Jej funkcjonowanie można porównać do cywilnej dyspozytorni, chociaż wszystkie przeprowadzane czynności opierają się na procedurach obowiązujących w NATO. Podchorążowie nie tylko muszą poznać ich działanie w praktyce, lecz także zrozumieć, w jaki sposób na przeprowadzaną ewakuację wpływa sytuacja taktyczna. „Najpierw sprawdzamy znajomość znaków taktycznych na mapie oraz składanie meldunków sytuacyjnych. Następnie podchorążowie samodzielnie kierują zabezpieczeniem medycznym. Przyjmują i przetwarzają informacje płynące z pola walki oraz decydują o sposobie ewakuacji”, wyjaśnia mjr Roman Dziuba, kierownik Cyklu Taktyki i Szkolenia Ogólnowojskowego łódzkiego Centrum.

Nawet jeżeli w przyszłości studenci medycyny wojskowej nigdy nie trafią na pole walki, dzięki takim ćwiczeniom jak „Military Doctor 2020” będą w pełni rozumieć rolę każdego medyka, z którym przyjdzie im współpracować. Niezależnie od tego, czy będzie to ratownik medyczny, pielęgniarz, czy lekarz armii USA. Znacznie szybciej znajdą wspólny język i skupią się na tym, co w ich misji jest najważniejsze – na ratowaniu ludzkiego życia. ■



Skoki spadochronowe do wody wykonują przede wszystkim żołnierze pododdziałów rozpoznawczych i zabezpieczenia desantowania oraz instruktorzy spadochronowi 6 Brygady Powietrznodesantowej.

ORZEŻWIAJĄCY DESANT

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Przez kilkadziesiąt sekund szybują w powietrzu, by finalnie, tuż nad powierzchnią wody wysunąć się z upręży spadochronu i wylądować w jeziorze. Takie desantowanie sprawia żołnierzom wielką przyjemność, ale jest bardzo wymagające technicznie.

Wczesnym rankiem ponad 120 żołnierzy 6 Brygady Powietrznodesantowej stanęło na zbiórce na zrztowisku Lipowa niedaleko Bielska-Białej. Wszyscy w umundurowaniu, wojskowym obuwiu i w hełmach czekali na desantowanie do oddalonego o kilka kilometrów Jeziora Żywieckiego. „Jest piękna pogoda, delikatny wiatr i ciepła woda. Zapowiada się bardzo dobry dzień!”, mówił tuż przed swoim pierwszym skokiem do wody sierż. Daniel Lewiński. Czy jest zdenerwowany? „Obawy są przed każdym skokiem. Teraz jednak skupiam się na tym, by we właściwy

sposób przygotować taśmy spadochronowe do lądowania w wodzie i w odpowiednim momencie wysunąć się z upręży. Mimo pewnego niepokoju bardzo się cieszę. Od dawna chciałem to zrobić, ale ze względu na różne obowiązki nie było to możliwe. Dziś w końcu moje marzenie się spełni”.

TRENING NA SUCHO

Żołnierze 6 Brygady Powietrznodesantowej – przede wszystkim ci z pododdziałów rozpoznawczych, zabezpieczenia desantowania, instruktorzy oraz wybrani z innych brygadowych pododdziałów – skoki do wody zwykle wyko-

nują raz w roku. Używają do tego spadochronów sterowanych AD-2000 oraz AD-95, tzw. pieczarek. Jak wyjaśnia mjr Damian Piechulski, szef sekcji zabezpieczenia spadochronowo-desantowego 6 Brygady, tego typu szkolenie jest niezbędne, by żołnierze wiedzieli, jak się zachować np. podczas nieplanowanego lądowania w wodzie. „Jako spadochroniarze musimy umieć wykonać zadanie w różnym terenie”, dodaje.

Desantowanie było poprzedzone cyklem treningów w jednostkach wojskowych. Przede wszystkim żołnierze musieli zdać egzamin pływacki. W mundurze i butach pływali na dystansach 50 m



SEBASTIAN BRZEZINA / 6 BPD

W ciągu dwóch dni skoki ze spadochronem do Jeziora Żywieckiego wykonało 123 żołnierze.

na powierzchni wody i 25 m pod nią. Mieli także trening w ośrodku szkolenia naziemnego, gdzie utrwalali kolejno wszystkie czynności, jakie należy wykonać po opuszczeniu śmigłowca. Instruktorzy przypominali im komendy, które potem, tuż przed skokiem, żołnierze usłyszą na pokładzie sokoła. „Trening w ośrodku szkolenia naziemnego odbywa się przed każdym desantowaniem, także tym do wody. Przed tymi specjalnymi skokami instruktorzy drobiazgowo przypominają ćwiczącym wszystkie zasady, uczą procedur awaryjnych. Te skoki są bardzo trudne technicznie, bo żołnierze muszą się nauczyć, jak we właściwy sposób i w odpowiednim momencie wysunąć się z uprząży spadochronu”, tłumaczy mjr Ireneusz Stasiński, oficer prasowy 6 BPD.

Spadochronu trzeba się pozbyć tuż przed dotknięciem nogami powierzchni wody. Gdy zrobi się to zbyt późno lub w ogóle nie robi, czasza może pociągnąć skoczka po wodzie. Istnieje też

ryzyko, że zaplące się on w linki spadochronu, co może doprowadzić nawet do utonięcia. „Nad bezpieczeństwem lądujących w wodzie spadochroniarzy czuwa wielu ludzi – ratownicy czy nurkowie, ale w pierwszej kolejności to oni sami muszą zadbać o swoje bezpieczeństwo i właściwie wykonać zadanie”, mówi instruktor spadochronowy plut. Tomasz Jarosz.

Podoficer, który wykonał 480 skoków, wyjaśnia, że do desantowania do wody przygotowują się nie tylko skoczkowie, lecz także wszyscy ci, którzy dbają o zabezpieczenie takiego szkolenia. Dlatego na kilka tygodni przed planowanymi ćwiczeniami w rejonie wybranego jeziora odbywa się rekonesans. „Sprawdzamy kierunek podejścia śmigłowca czy wielkość grupy skoczków, którzy wykonają zadanie. Do tego dopasowujemy liczbę ratowników, łodzi motorowych, które będą zabezpieczać zrzut na powierzchni wody. Ustalamy także zasady współpracy z beskidzkim oddziałem Wodnego

Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego i policją”, mówi plut. Jarosz. Wyjaśnia, że spadochroniarze muszą dokładnie sprawdzić brzeg i upewnić się, że z wody nie wystaje np. fragment skały lub konar, które mogłyby zagrozić bezpieczeństwu skoczków podczas lądowania. Na żołnierzy lądujących w wodzie czekają zaś nurkowie z 6 Batalionu Dowodzenia 6 BPD oraz spadochroniarze z innych jednostek.

NA GŁĘBOKĄ WODĘ

Rozmowy przerywa dźwięk śmigłowca. Z lecącego 400 m nad powierzchnią wody sokoła wyskakują pierwsi żołnierze. Niesieni przez spadochrony o małej sterowności AD-95 kilkadziesiąt sekund szybują w stronę tafli jeziora. Ci, którzy skok wykonują ze spadochronem AD-2000, desantują się z wysokości 1000 m. Wszyscy bezbłędnie uwalniają się z uprząży na chwilę przed nurkowaniem. „Kilkanaście sekund po ich lądowaniu jesteśmy już przy skoczku. Każda



SEBASTIAN BRZEZINA / 6 BPD



MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK

NUREK W GOTOWOŚCI

Szkolenie nad Jeziorem Żywieckim przechodzili nie tylko spadochroniarze, lecz także nurkowie z 6 Batalionu Dowodzenia 6 Brygady Powietrznodesantowej. Żołnierze doskonalili swoje umie-

jętności z nawigacji przy złej widoczności oraz z prowadzenia prac inżynierskich pod wodą, zwiadu nurkowego, rozpoznania obiektów hydrotechnicznych, a także samoratownictwa w sytuacjach awaryj-

nych. Schodzili na głębokość do 20 m. Wykonali też desant do wody tzw. metodą kropelkową, czyli wyskakiwali ze śmigłowca W-3 Sokół pozostającego w zawisie tuż nad powierzchnią wody. ■

z łodzi podbiera innego żołnierza. Pomagamy im wejść na pokład, a potem wspólnie wciągamy mokrą czaszę spadochronu”, mówi st. chor. sztab. Tomasz Jaskier, dowódca plutonu nurków, a w czasie zrzutu tzw. dyżurny środków pływających.

„W realnym działaniu każdy ze spadochroniarzy musiałby sam dopłynąć do brzegu. Na treningu dbamy jednak o ich bezpieczeństwo, więc każdego wylawiamy z wody i transportujemy na brzeg”, dodaje. Kilkanaście minut później na niebie widać kolejne czasze spadochronów, potem kolejne i kolejne...

O przeżyciach w czasie swojego debiutu opowiada sierż. Daniel Lewiński: „Na komendę instruktora pokładowego przygotowaliśmy się do desantu. Chwilę później ustawiłem się na burcie i gdy zapaliło się zielone światło, instruktor klepnął mnie w plecy, dając w ten sposób sygnał do skoku. Nie było czasu ani na myślenie, ani na emocje. Skupiłem się po prostu na tym, by po-

prawnie wykonać zadanie”. Podoficer tłumaczy, że w czasie opadania musiał odpowiednio połuźnić uprząż, odpiąć spadochron zapasowy, taśmy udowe i piersiową, a w ostatnim momencie unieść ręce do góry, by uwolnić się ze spadochronu. „Chyba nie do końca zdawałem sobie sprawę z tego, jak duże jest to wyzwanie. Nie można się spóźnić nawet o kilka sekund”, dodaje żołnierz. Gdy wpadł do wody, uruchomiła się samopompująca kamizelka, która wyciągnęła go na powierzchnię. „To było najlepsze uczucie: ponownie złapać oddech”, śmieje się podoficer.

DELIKATNE ŁADOWANIE

Taki trening, choć trudny, sprawia spadochroniarzom wiele frajdy. „To niezwykle przyjemny skok. Poza tym woda wiele wybacza. Ładowanie jest o wiele delikatniejsze niż to na twardym zrzutowisku”, wyjaśnia st. szer. Marcin Krzystoń z dowództwa 6 Brygady, który desantował się w ten sposób już czwarty

raz. Mjr Damian Piechulski, szef sekcji zabezpieczenia spadochronowo-desantowego 6 BPD, dodaje zaś, że każdy skok ma określoną specyfikę i swoje wymagania, więc trudno je wartościować. „Żołnierz, by uzyskać tytuł skoczka spadochronowego, musi wykonać dwa skoki bez oporządzenia, potem z bronią i kolejno z pełnym wyposażeniem oraz w nocy. Dodatkowo niektórzy desantują się do wody. Wtedy nie mamy zasobników, lecz kamizelki ratunkowe”, mówi oficer i dodaje: „W powietrzu jesteśmy zdani tylko na siebie. Trzeba działać automatycznie, pewnie i mimo stresu postępować zgodnie z przyjętymi procedurami. Podczas mojego pierwszego skoku do wody też się denerwowałem. Adrenalina rosła, ale udało mi się opanować emocje i wszystko zakończyło się szczęśliwie”.

W czasie tego szkolenia wiatr, który początkowo wiał z prędkością 2 m/s przybrał na sile do 11 m/s. Dla bezpieczeństwa żołnierzy skoki przerywano i wznowiono następnego dnia. ■



MUZEUM WOJSK LĄDOWYCH w Bydgoszczy

ul. Czerkaska 2, 85-641 Bydgoszcz
tel. 261 41-20-26, fax 261 41-23-31

www.muzeumwl.pl

Znajdź nas na Facebooku 

Oddział w Toruniu

ul. Sobieskiego 24-28, 87-100 Toruń

tel. 261 43-24-66

fax 261 43-24-65

Oddział we Wrocławiu

ul. Obornicka 108, 50-961 Wrocław

tel. 261 65-74-23, 261 65-74-24





BARDZO
WAŻNA PODCZAS
SZKOLENIA BYŁA
WSPÓŁPRACA
Z SOJUSZNIKAMI,
BO NA „POSEJDONIE”
STAWILI SIĘ AMERYKANIE,
BRYTYJCZYCY I RUMUNI
Z BATALIONOWEJ GRUPY
BOJOWEJ NATO, KTÓRA STA-
CJONUJE NA MAZURACH

Posejdon uderza spod wody

Zawiszacy trenują walkę wręcz w wodzie. Kilka dni szkolenia to za mało, aby zrobić z żołnierza wojownika, ale wystarczająco dużo, aby pomóc mu w nabraniu pewności siebie.

MAGDALENA MIERNICKA

Środek lata, Mazury. Jeziołem Kisajno nieśpiesznie płyną łódki, na których opalają się turyści. Z każdą godziną słońce świeci coraz mocniej i robi się coraz bardziej gorąco. Mimo tego na plaży Ośrodka Szkolenia Wodnego w Giżycku pojawiają się kolejni żołnierze. Zazwyczaj to w tym miejscu rozpoczynają zajęcia z WF-u. Tym razem plan jest inny, choć żaden z wojskowych chyba do końca nie zdaje sobie z tego sprawy. Bo wszystko zaczyna się jak zwykle.

NAUKA OD POCZĄTKU

Krótką rozgrzewka, potem żołnierze rozpoczynają ćwiczenia w parach. Najpierw trening zadawania ciosów, obrony przed duszeniem czy wykorzystania broni podczas starcia z przeciwnikiem. Potem przychodzi czas na działania w większych grupach. Żołnierze trenują różne scenariusze, każdy z nich po kolei jest dowódcą patrolu, odpowiada za zabezpieczenie danego sektora, w końcu otrzymuje zadanie zaatakowania danej sekcji. To, czy napastnika uda się powstrzymać, zależy od szybkiej reakcji dowódcy zespołu, a także czasu, w jakim jego polecenia wykonają żołnierze. Wojskowym te zadania zdają się nie sprawiać problemu. Można odnieść wrażenie, jakby to była dla nich niemal rutyna. Trudno się dziwić, żołnierze 15 Brygady Zmechanizowanej ćwiczą podobne działania w zasadzie podczas każdego porannego rozruchu.

Jednak wszystko nagle się zmienia, kiedy pada rozkaz: „Do wody marsz!”. Wydaje go mjr Tomasz Dembiński, zastępca dowódcy dywizjonu artylerii samobieżnej z Orzysza. Oficer niedawno został laureatem Buzdygana, nagrody przyznawanej przez miesięcznik „Polska Zbrojna”. Jury doceniło go właśnie za stworzenie innowacyjnego programu taktycznego szkolenia z walki w bliskim kontakcie.

Jeden z opracowanych przez niego kursów to właśnie odbywający się na Mazurach „Posejdon”. Na czym polega? „Koncentrujemy się przede wszystkim na technikach walki, samoobrony, posługiwania się bronią. Na początku trenujemy te elementy na lądzie, ale kiedy żołnierze je opanują, przenosimy się do wody. Wówczas często się okazuje, że nauka zaczyna się od początku”, zdradza instruktor.

Dlatego najważniejsze są podstawy. Najpierw żołnierze muszą się wykazać świetną kondycją – robią pompki, przysiady z rękoma uniesionymi na wysokość głowy, by w końcu zacząć bieg. Jego meta znajduje się na pomoście. Aby ją przekroczyć, trzeba oczywiście skoczyć do wody. A potem... jest już tylko trudniej. Zajęcia rozpoczynają się na niewielkiej głębokości, która jednak z każdym kolejnym etapem szkolenia się zwiększa. Początkowo kursanci uczą się zadawania i odpierania ciosów, by w końcu przejść do regularnej walki. Podczas finału każdy z nich ma ze sobą broń, za pomocą której w odpowiedni sposób musi unieszkodliwić przeciwnika, oczywiście bez oddania strzału. Jak się okazuje, to wcale nie jest proste zadanie.



Płk DARIUSZ DRÓŻDŻ, zastępca dowódcy 15 BZ:

„To dla nich nie tylko możliwość udziału w dość nietypowym w wojsku kursie, ale również odskocznia od codziennych obowiązków służbowych. Zdarzały się sytuacje, że żołnierz, który służył w pododdziale czołgów, zdobył nowe umiejętności i dzięki temu mógł trafić na wolne stanowisko do kompanii rozpoznawczej”.

POKONYWANIE BARIER

„Woda to czynnik, który w tym wypadku wywołuje stres. Chociaż wszyscy żołnierze umieją pływać, często zamiast na działaniach taktycznych, koncentrują się na tym, aby przeciwnik ich nie podtopił. Wykonania zadania nie ułatwia nasiąknięty wodą, ciężki mundur”, mówi instruktor. „A tu chodzi o to, aby działać szybko i skutecznie. Żołnierze zamiast odpierać ciosy czy atakować, jeszcze na lądzie koncentrują się na tym, aby nie wpaść do wody, często trzymając się kurczowo przeciwnika, podczas gdy powinni z nim walczyć”, wyjaśnia Dembiński. Szer. Mateusz Sepczyński, uczestnik





Początkowo kursanci uczą się zadawania i odpierania ciosów, by w końcu przejść do regularnej walki. Podczas finału każdy z nich ma ze sobą broń, za pomocą której w odpowiedni sposób musi unieszkodliwić przeciwnika, oczywiście bez oddania strzału.

zająć, przyznaje, że to właśnie wykonanie zadania wymagającego skoku do wody najbardziej go zaskoczyło. „Rzeczywiście trzeba się przełamać, bo obawa, że zrobi się krzywdę któremuś z kolegów, była spora, a przecież podczas szkolenia nie o to chodzi. Ale po jakimś czasie każde kolejne ćwiczenie stało się fajniejsze”, mówi.

„Takie szkolenia to coś zupełnie nowego, tu pokonujemy bariery, strach, możemy na własnej skórze przekonać się, jak taka walka w wodzie wygląda i dzięki temu lepiej się do niej przygotować”, dodaje kpr. Rafał Świrydowicz. Mjr Dembiński podkreśla, że taki właśnie jest cel tego kursu. „Kilka dni to za mało, aby zrobić z żołnierza wojownika, ale wystarczająco dużo, aby pomóc mu nabrać pewności siebie”, zaznacza.

Żołnierze, którzy wzięli udział w szkoleniu „Posejdon”, na co dzień służą w pododdziałach rozpoznawczych, a także na etatach strzelców wyborowych. „Prowadzenie takich działań w wodzie to dla mnie coś nowego, ale bardzo ważnego. W końcu powinniśmy być przygotowani na każdą sytuację”, mówi kpr. Damian Wołyniec. „Zazwyczaj operujemy w lesie, ale nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. Musimy brać pod uwagę każdą ewentualność, także taką, że w kryzysowym momencie będziemy zdani na siebie, bo na przykład zostaniemy odizolowani od grupy lub nasze pojazdy ulegną awarii. Musimy wiedzieć, jak sobie wówczas radzić, i być pewni, że możemy polegać na sile własnych mięśni”, dodaje st. szer. Patryk Pycza.

ZASADY GRY SIĘ ZMIENIAJĄ

Wojskowi zwracają uwagę na to, że podczas szkolenia bardzo ważna była także współpraca z sojusznikami, bo na „Posejdonie” stawili się Amerykanie, Brytyjczycy i Rumuni z Batalionowej Grupy Bojowej NATO, która stacjonuje na Mazurach. Żołnierze z US Army podkreślają, że udział w takim kursie także dla nich był nowym, a jednocześnie bezcennym doświadczeniem. „To świetne zajęcia. Sztuki walki trenuje się na lądzie, a kiedy trzeba prowadzić takie działania w wodzie, wszystko się zmienia”, mówi st. szer. Jay Vozquez. Wtórnie mu sierz. Charles Pfferrer. „Teraz wiem, że ten, kto nie trenował walki w wodzie, tak naprawdę nie ma o niej pojęcia. Zasady gry się wtedy zmieniają”, żartuje.

Kurs „Posejdon” to niejedyny tego typu przedsięwzięcie organizowane w 15 Brygadzie Zmechanizowanej. W jednostce wdrożono cały system innowacyjnych szkoleń. Każdy zawi-

szak musi ukończyć kurs „Spartan”, podczas którego żołnierze trenują strzelanie dynamiczne, a także „Navigator”, umożliwiający szlifowanie umiejętności związanych z orientacją w terenie. Żołnierze z Piętnastej mają też możliwość trenowania walki wręcz podczas „Wariorra” czy udzielania pierwszej pomocy na kursie „Tactical Medic”. Pododdziały rozpoznawcze uczą się również walki nożem w trakcie szkolenia „Harpun”, a ochrony zabezpieczania VIP-ów na kursie „Pretorian”. Stałym punktem w programie jest mordercze szkolenie „Wilk”, w czasie którego weryfikowane są zdolności przywódcze kandydatów na podoficerów.

KUŹNIA WOJOWNIKÓW

Płk Dariusz Dróżdż, zastępca dowódcy brygady, podkreśla, że wszystkie szkolenia cieszą się wśród żołnierzy bardzo dużym zainteresowaniem. „To dla nich nie tylko możliwość udziału w dość nietypowym w wojsku kursie, ale również odskocznia od codziennych obowiązków służbowych. Zdarzały się sytuacje, że żołnierz, który służył w pododdziale czołgów, zdobył nowe umiejętności i dzięki temu mógł trafić na wolne stanowisko do kompanii rozpoznawczej”, mówi. Udziałem w szkoleniach są też zainteresowani żołnierze z innych jednostek. Jednak z powodu specyfiki zajęć, grupy kursantów nie mogą być zbyt duże. Czasem nawet zawiszcacy muszą ustawiać się w kolejce, aby wziąć w nich udział. To jeden z powodów, dla których w jednostce cały czas są przygotowani kolejni instruktorzy.

Kto może dołączyć do tego grona? Mjr Dembiński podkreśla, że przede wszystkim trzeba wykazać się doskonałą znajomością zagadnień omawianych podczas poszczególnych szkoleń. Ale to nie wystarczy. „To, że ktoś odnosi sukcesy na zawodach w walce wręcz czy strzeleckich, nie oznacza, że sprawdzi się na tym stanowisku. Uprawianie tego sportu to nie to samo co działania bojowe. Tu nie ma miejsca na honorową postawę czy zadawanie ciosów określonych w regulaminie. Trzeba wykorzystać każdy najsłabszy punkt przeciwnika, aby ocalić swoje życie”, mówi. Dodaje także, że ważne jest podejście merytoryczne. „Trzeba umieć przekazać wiedzę innym”, zaznacza.

Kursy są organizowane w jednostce cyklicznie. Żołnierz, który ukończy wszystkie, otrzyma tytuł Full Spectrum Warrior, ale jak dotąd nie może się nim poszczycić żaden z zawiszcaków. ■

SZER. SYLWESTER MILLER



Data i miejsce urodzenia: 31 października 1992 roku, Nisko.

W wojsku służy od:
1 lipca 2016 roku.

Zajmowane stanowisko:
ładowniczy czołgu Leopard 2A5
w 2 Batalionie Czołgów
w 1 Warszawskiej Brygadzie
Pancernej.

EDUKACJA WOJSKOWA:

służba przygotowawcza w 3 Batalionie Drogowo-Mostowym w Chełmnie.

ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM, BO:

zachętili mnie do tego koledzy żołnierze. A ponieważ lubię wyzwania, to postanowiłem spróbować!

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:

jest związane ze sportami walki. Jako zawodnik MMA, na koncie mam już dziewięć zwycięstw (i trzy porażki). Jestem trzykrotnym mistrzem Polski służb mundurowych, trzykrotnym medalistą mistrzostw Polski w walce w bliskim kontakcie i czterokrotnym mistrzem 16 Dywizji Zmechanizowanej.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

rok 2016 i rozpoczęcie służby w 1 Warszawskiej Brygadzie Pancernej.

NAJLEPSZA BRÓŃ:

karabinek AKMS.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBA MI SIĘ:

wszystko, zwłaszcza biało-czerwona flaga, którą noszę na ramieniu.



JEŚLI CHODZI O WOJSKO, TO NIC BYM NIE ZMIENIAŁ, MOJA SŁUŻBA DAJE MI DUŻO SATYSFAKCJI

HOBBY:



sport



sztuki walki



gry komputerowe



muzyka



kuchnia



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. PAWEŁ BEDNARCZYK



SZKOLENIE Z DYSTANSEM

Co najmniej trzy lata musi szkolić się żołnierz, żeby zostać strzelcem wyborowym. Ten czas pozwala na osiągnięcie perfekcji w strzelaniu długodystansowym, ale też w posługiwaniu się każdym rodzajem broni.

PIOTR RASZEWSKI

Wydaje się, że specjalizacja strzelca wyborowego jest bardzo wąska, tymczasem wymaga ona wielu umiejętności z różnych dziedzin. „Strzał, precyzja, opanowanie – to wszystko jest bardzo ważne. Równie istotne są umiejętności przenikania, maskowania w terenie, organizowania punktów obserwacyjnych i strzeleckich, skrytego wycofania. Dlatego w naszej brygadzie stawiamy na szkolenie strzelców wyborowych”, przyznaje por. Jakub Szynklar, oficer prasowy 19 Lubelskiej Brygady Zmechanizowanej.

Specjaliści z 19 LBZ kształcą się cyklicznie na specjalnych zgrupowaniach, w których biorą udział żołnierze z wszystkich

pododdziałów brygady i jednostek wchodzących w skład 18 Dywizji Zmechanizowanej. „Chcemy, by nasi strzelcy wyborowi byli przygotowani wszechstronnie. Zależy nam na wieloaspektowych szkoleniach, dzięki którym później poradzą sobie w sytuacjach, gdy przyjdzie im się zmierzyć z nieoczekiwanymi okolicznościami. Prowadzimy te zajęcia na najwyższym poziomie, dlatego zgłaszają się na nie chętni także z innych jednostek”, zaznacza por. Szynklar.

Podtrzymywanie zdolności bojowych drużyn strzelców wyborowych to przede wszystkim praca na strzelnicach długodystansowych, dążenie do osiągnięcia najwyższego



DOWÓDZTWO LUBELSKIEJ JEDNOSTKI ZA- DBAŁO O TO, BY SZKOLENIE Z BRONI KRÓTKIEJ CZY KARABINKA SZTURMO- WEGO BYŁO PROWADZONE PRZEZ SPECJALI- STÓW NAJWYŻ- SZEJ KLASY, CZĘSTO BYŁYCH OPERATORÓW JEDNOSTEK SPECJALNYCH



stopnia precyzji przez – jak mówią sami strzelcy – potwierdzanie i weryfikację mapy balistycznej karabinu czy tabeli nastaw w zmiennych warunkach atmosferycznych. Matematyczne obliczenia, jakie muszą wtedy wykonać, odgrywają bowiem niezwykle ważną rolę. Strzelanie na długich dystansach to przede wszystkim szybkie i precyzyjne przeliczanie wszelkich parametrów, takich jak wysokość, ciśnienie, gęstość powietrza czy uwarunkowania terenowe.

„To żmudny i niełatwy trening, wymagający wytrzymałości, cierpliwości i zdolności analitycznych, zwłaszcza że podczas tych szkoleń staramy się nie używać dalmierzy, wiatromierzy czy kalkulatorów balistycznych. Żołnierze jedynie obserwują to, co dzieje się na przedpolu, i na tej podstawie oddają strzały. Nie chcemy, by byli zdani tylko na nowoczesny sprzęt, choć oczywiście muszą umieć go obsługiwać. Zależy nam jednak przede wszystkim na tym, by mogli wykonać zadanie bez względu na to, czy są zaopatrzeni w elektronikę”, wyjaśnia ppłk Hubert Trusiuk, dowódca 19 Batalionu Zmechanizowanego z Chełma, którego jednym z pododdziałów jest drużyna strzelców wyborowych.

Instruktorzy starają się, by wszystkie ćwiczenia podczas takich zgrupowań były wykonywane w warunkach maksymalnie oddających specyfikę działania na polu walki. Dlatego obowiązkowym elementem szkolenia snajperskiego są tzw. dobówki. W tym zadaniu ogień otwierają dopiero co

najmniej po 30 godzinach od rozpoczęcia działania. Wcześniej jest wyczerpujący marsz na orientację. Żołnierz pokonuje około 30 km bez przerwy, bo nie ma czasu na bytowanie. „Jeżeli po takim wysiłku potrafi pierwszym strzałem z karabinu wyborowego prowadzić ogień do celu oddalonego o 800 m, to jest dla mnie zadowalający wynik. Podobny sprawdzian trzeba zaliczyć z karabinkiem szturmowym, czyli naszą bronią zasadniczą, z której strzelcy powinni potrafić prowadzić celny ogień nawet na 400–500 m”, przyznaje dowódca chełmskiego batalionu.

SAKO, A MOŻE BERYL

Szkolenia snajperskie prowadzi się właśnie z użyciem karabinków szturmowych, ale też broni krótkiej, bo są one podstawowym wyposażeniem każdego żołnierza, także strzelca wyborowego. „Taki trening zawsze był dla nas normą. Zresztą każdy kandydat na strzelca wyborowego rozpoczyna szkolenie od ćwiczeń z bronią krótką czy karabinkami szturmowymi. Dla młodych żołnierzy to także pierwszy etap selekcji, na którym jesteśmy w stanie stwierdzić, czy dana osoba ma predyspozycje, by w przyszłości zostać strzelcem wyborowym. Niemniej jednak w czasie służby musimy te umiejętności stale podtrzymywać na najwyższym poziomie”, tłumaczy ppłk Trusiuk. Dlatego w czasie regularnych szkoleń żołnierze nie ograniczają się tylko do



INSTRUKTORZY STARAJĄ SIĘ, BY WSZYSTKIE ĆWICZENIA BYŁY WYKONYWANE W WARUNKACH MAKSYMALNIE ODDAJĄCYCH SPECYFIKĘ DZIAŁANIA NA POLU WALKI

karabinów wyborowych i oprócz Sako TRG M10, TRG-22 i Bor (Alex) używają pistoletów WIST-94 i karabinków Beryl.

Takie urozmaicone szkolenia pozwalają na wszechstronny rozwój strzelców wyborowych. „Łączymy dwie różne umiejętności”, dodaje ppłk Trusiuk. „Długi dystans daje nam spory komfort w działaniu. Możemy pracować dużo wolniej, a przez to znacznie precyzyjniej. Mamy czas, by poprawić swoją pozycję, czy się wycofać. Pistoletu używa się natomiast przede wszystkim na dystansie do 3 m. Żołnierz w ciągu 10 s nieraz zużywa dwa magazynki. Bez szybkiej reakcji i perfekcyjnego strzelania w strefy niewrażliwe nie jesteśmy w stanie wyłączyć przeciwnika z walki”, przekonuje.

BACKUP SNAJPERA

Jak przyznają strzelcy wyborowi, bardzo przydaje im się takie szkolenie. „Broni krótkiej używamy w wielu sytuacjach, chociażby tak nieoczywistych, jak atak zwierzyny na naszym stanowisku. Nie możemy przecież z takiego powodu dać się zdemaskować przeciwnikowi. Z kolei karabinek szturmowy przydaje się wtedy, gdy zajmujemy stanowiska w budynkach czy pomieszczeniach. Zadania, do których jesteśmy wyznaczani, najczęściej wykonujemy z bronią snajperską, ale zawsze mamy przy sobie pistolet czy karabinek szturmowy, bo one pomagają nam dostać się do miejsca, z którego będziemy prowadzić ogień na długim dystansie. To taki nasz backup, ale skuteczny jedynie wtedy, gdy będziemy tej broni używać nie tylko szybko, ale i perfekcyjnie”, wyjaśnia ppłk Hubert Trusiuk.

Dlatego dowództwo lubelskiej jednostki zadbało o to, by szkolenie z broni krótkiej czy karabinka szturmowego prowadzone było przez specjalistów najwyższej klasy, często byłych operatorów jednostek specjalnych. „To gwarantuje nam odpowiedni poziom takich ćwiczeń”, mówi por. Jakub Szyndlar. Odpowiedni, biorąc pod uwagę uwarunkowania i wymagania, z jakimi mierzą się żołnierze, gdy

wyjeżdżają w strefę działań wojennych. Strzelcy wyborowi coraz częściej są wsparciem dla różnego rodzaju konwojów czy ochrony VIP-ów. Wspierają też działania piechoty, bo są jej częścią.

„Nowoczesny model szkolenia i położenie większego nacisku na posługiwanie się różnymi rodzajami broni wpływa również na rozwinięcie innych cech u żołnierzy”, zwraca z kolei uwagę jeden z instruktorów, który doskonalił umiejętności wojskowych z lubelskiej jednostki z posługiwania się karabinkiem szturmowym i bronią krótką. Strzelcy wyborowi zazwyczaj wykonują zadanie, przybierając pozycję, do której się wcześniej przygotowują. Zdarzają się jednak sytuacje, że muszą szybko zareagować. Ponadto działają oni w dwuosobowych zespołach, w których jeden żołnierz pełni zazwyczaj funkcję obserwatora, powinni więc wzajemnie się ubezpieczać.

„Dlatego duży nacisk położyliśmy na ćwiczenia w ruchu – trenowaliśmy strzelania przy zmianie pozycji, z przemieszczaniem się z jednego punktu do drugiego, do kilku celów z pozycji zastałych. Takie szkolenie wyrabia nie tylko szybkostrzelność, lecz także opanowanie w sytuacjach dynamicznych i stresowych. Trzeba bowiem pamiętać, że specyfika działania strzelców wyborowych polega na tym, że jedna jedyna okazja, by osiągnąć cel, pojawia się nagle i tylko na chwilę”, przyznaje Tomasz Laskowski, były operator Jednostki Wojskowej GROM.

Szkolenie strzelców wyborowych w lubelskiej brygadzie prowadzone jest od momentu jej powstania. Instruktorzy zaznaczają, że cały czas jest modyfikowane o kolejne nowe ćwiczenia, by nie tylko urozmaicać trening, ale przede wszystkim go unowocześniać. „Staramy się brać udział w różnego rodzaju zawodach, takich jak »Sniper's Mission«, »Tactical Polish Sniper«, »Longshot« czy »Long Range Mykita«, m.in. po to, by poznać nowinki strzeleckie. Jeśli uznamy, że są pożyteczne, staramy się je wpleść w nasz trening”, przekonuje dowódca 19 Batalionu Zmechanizowanego z Chełma. ■

Ppłk HUBERT TRUSIUK, dowódca 19 Batalionu Zmechanizowanego:
„Każdy kandydat na strzelca wyborowego rozpoczyna szkolenie od ćwiczeń z bronią krótką czy karabinkami szturmowymi. Dla młodych żołnierzy to także pierwszy etap selekcji, na którym jesteśmy w stanie stwierdzić, czy dana osoba ma predyspozycje, by w przyszłości zostać strzelcem wyborowym”.



TOMASZ ZDZIKOT

Kuźnia ekspertów

Realia współczesnego pola walki znacznie się zmieniły w stosunku do tych, z jakimi wcześniej miały do czynienia całe pokolenia żołnierzy. Nic zatem dziwnego, że edukacja wojskowych i cywilnych kadr stała się jednym z priorytetów Ministerstwa Obrony Narodowej. Powyższemu celowi ma też służyć stworzenie Eksperskiego Centrum Szkolenia Cyberbezpieczeństwa. Na znakomicie wykształconych i stale podnoszących swoje kompetencje ludziach muszą bowiem opierać się wszelkie działania związane z rozwojem tej domeny.

Problemem wszystkich sektorów i branż, zarówno w Polsce, jak i poza jej granicami, jest pozyskanie do pracy i służby wysoko kwalifikowanych kadr. Deficyt specjalistów do spraw cyberbezpieczeństwa w skali całego świata ocenia się nawet na blisko 3 mln osób. W Polsce, według szacunkowych danych, brakuje ich około 10 tys. Biorąc pod uwagę globalny charakter problemu oraz realia rynku pracy, na którym o stosunkowo ograniczone grono ekspertów rywalizują wszystkie podmioty z sektora prywatnego i publicznego, najlepszym z pomysłów jest samodzielne wykształcenie i doskonalenie kadr. Na tym założeniu od początku opierały się wszystkie działania związane z programem CYBER.MIL.PL. Znakomitym jego uzupełnieniem będzie Eksperskie Centrum Szkolenia Cyberbezpieczeństwa.

Zatwierdzona przez ministra Mariusza Błaszczaka w lipcu 2020 roku koncepcja konstytucyjnej ośrodek odpowiedzialny za koordynowanie i organizowanie szkoleń specjalistycznych z takich dziedzin, jak cyberbezpieczeństwo, kryptologia i IT. Specyfika służby i pracy w strukturach resortu wymaga, aby odpowiadały one określonym wymogom – oprócz względów merytorycznych istotne jest także bezpieczeństwo procesu szkolenia oraz dostęp do urządzeń, technologii i wiedzy, którą posiadają nieliczni. Oczywiście jest zatem, że Centrum będzie działało w ścisłej współpracy z Narodowym Centrum Bezpieczeństwa Cyberprzestrzeni, którego dyrektor pełni jednocześnie funkcję pełnomocnika MON-u ds. utworzenia wojsk obrony cyberprzestrzeni.

Co do sposobu działania, Centrum powinno wykorzystywać wszelkie możliwości stwarzane przez nowoczesne metody kształcenia. Szczególnie w dobie pandemii trudno wyobrazić sobie efektywne funkcjonowanie takiej placówki bez rozbudowanej platformy e-learningowej i innych metod edukacji zdalnej. Organizowanie ćwiczeń to z kolei wyzwanie związane z zaprojektowaniem, budową i utrzymaniem laboratoriów, w tym cyberpoligonu, który będzie służył do treningów i gier wojennych.

Nieodzowna jest także rozbudowana współpraca międzynarodowa. Tradycje, zasoby infrastrukturalne i kadra dydaktyczna, a także międzynarodowe sukcesy informatyczne predestynują Polskę wręcz do odgrywania roli edukacyjnego hubu w tej dziedzinie. Funkcjonują u nas już dwa akredytowane przez NATO centra eksperckie – do spraw kontrwywiadu w Krakowie i policji wojskowych w Bydgoszczy – które podejmują aktywności związane ze sferą cyberbezpieczeństwa. Prężnie działają też natowskie Cooperative Cyber Defence Centre of Excellence w Tallinie, Strategic Communications CoE w Rydze, a także europejskie Countering Hybrid Threats CoE w Helsinkach. Rozpoznając istniejące w skali Europy zasoby, łatwiej będzie wpisać polskie Centrum w szerszy krajobraz cyberbezpieczeństwa.

TOMASZ ZDZIKOT jest ekspertem do spraw cyberbezpieczeństwa. Był wiceministrem obrony narodowej oraz pełnomocnikiem ministra obrony narodowej do spraw bezpieczeństwa cyberprzestrzeni.

MILITARIA

/ PRZEGLĄD



LINUS SVENSSON / SAAB

LOT ZA OCEAN

**Brazylia zamierza
unowocześnić swe lotnictwo
bojowe, wyposażając je w nowe myśliwce.**

TADEUSZ WRÓBEL





początkiem lipca 2020 roku w Brazylii rozpoczęła się produkcja opracowanego przez firmę Saab samolotu wielozadaniowego Gripen NG, który jest zaliczany do generacji 4++. W 2014 roku Szwedzi podpisali umowę na dostawę lotnictwu wojskowemu tego południowoamerykańskiego państwa 36 maszyn. Niewykluczone, że Brazylia zwiększy w przyszłości zamówienie na gripena, być może ten myśliwiec wybiorą także inne kraje regionu.

NOWY PRZYZCÓLEK

Produkcja szwedzkich samolotów ruszyła w mieście São Bernardo do Campo, gdzie w zakładzie Saab Aeronáutica Montagens powstają elementy płatowca Gripen E, czyli jednomiejscowej wersji odrzutowca. Początkowo będą tam robione przednia część kadłuba i stożek ogonowy, z czasem jednak wytwarzanie części ma być rozszerzone o keson skrzydła, hamulce aerodynamiczne i tylną część kadłuba, a także jego przód dla dwumiejscowej wersji Gripen F.

Saab Aeronáutica Montagens jest pierwszym zakładem poza Szwecją, który produkuje podzespoły do tego myśliwca. „Opierając się na teoretycznym i praktycznym szkoleniu brazylijskich inżynierów i monterów przeprowadzonym w firmie Saab w Linköpingu, byliśmy w stanie przygotować wysoko wykwalifikowaną obsługę linii produkcyjnej w Saab Aeronáutica Montagens, według tych samych standardów, które mamy w naszej fabryce w Szwecji”, oświadczył Jonas Hjelm, szef Saab Aeronautics. Zgodnie z przewidywaniami od 2015 do 2021 roku przeszkolenie w Szwecji odbędzie w sumie ponad 350 pracowników różnych brazylijskich firm zaangażowanych w program gripena. Na razie tylko w samym Saab Aeronáutica Montagens jest zatrudnionych ponad 70 osób, ale w 2024 roku pracowników ma być około 200. Wytwarzane przez nich części kadłuba trafią do fabryki Embraera w Gavião Peixoto oraz Saaba w Linköpingu, gdzie będzie się odbywać montaż gripenów.

Zgodnie z umową podpisaną w 2014 roku osiem odrzutowców – cztery gripeny E i tyleż sa-

mo w wersji F – miało być wyprodukowanych i zmontowanych w Szwecji, a reszta maszyn, w tym cztery dwumiejscowe, w fabryce Embraera. Plan się jednak zmienił i według tego nowego w Szwecji zostanie zbudowanych i zmontowanych 13 samolotów, a już montaż kolejnych ośmiu, które powstaną w Europie, będzie przeprowadzony w Brazylii. Od początku do końca w tym kraju powstanie tylko 15 z 36 gripenów.

Zakład zajmujący się budową struktur płatowca to niejedyna inwestycja Saaba w Brazylii. W 2016 roku w fabryce Embraera w Gavião Peixoto zostało otwarte biuro projektowo-rozwojowe Gripen Design and Development Network, które stanowi centrum rozwoju technologicznego myśliwca w tym kraju. Docelowo GDDN ma zatrudniać około 280 inżynierów.

Tym samym Embraer, brazylijski gigant lotniczy znany głównie z wytwarzania regionalnych samolotów pasażerskich, poszerzy ofertę produkcyjną o nowoczesne, naddźwiękowe odrzutowce bojowe. Transfer technologii sprawi, że Brazylia jako jedyna na kontynencie południowoamerykańskim będzie zdolna do produkcji maszyn tej klasy. Otwartość Szwedów na współpracę w sferze przemysłowej, obok dobrej ceny i niskich kosztów utrzymania gripena, była kluczowa w osiągnięciu ostatecznego sukcesu na tym obiecującym rynku – prawdopodobnie 36 zamówionych samolotów to początek brazylijskich zakupów.

WYBOISTA DROGA

Proces wyboru nowego samolotu wielozadaniowego dla brazylijskich sił powietrznych był długi i obfitował w zwroty akcji niczym w latynoskiej telenoweli. Szybkiemu zakończeniu nie sprzyjały wewnętrzne rozgrywki polityczne. Zwykle nowy prezydent nie czuł się w obowiązku kontynuować tego, co rozpoczął jego poprzednik. Pojawiały się rozbieżności między kręgami politycznymi a wojskowymi odnośnie do typu samolotów. Na to nakładały się problemy gospodarczo-finansowe Brazylii.

Program F-X rozpoczęto w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku i dotyczył wówczas zakupu 36 maszyn, którymi chciano zastąpić



JONAS HJELM, szef Saab Aeronautics: „Opierając się na teoretycznym i praktycznym szkoleniu brazylijskich inżynierów i monterów przeprowadzonym w firmie Saab w Linköpingu, byliśmy w stanie przygotować wysoko wykwalifikowaną obsługę linii produkcyjnej w Saab Aeronáutica Montagens, zgodnie z tymi samymi standardami, które mamy w naszej fabryce w Szwecji”.

Masa paliwa 3400 kg
(bez zbiorników podwieszanych)

Uzbrojenie stałe
działo Mauser BK27
kalibru 27 mm (wersja E)

Długość 15,2 m (wersja F 15,9 m)

Powierzchnia skrzydeł
25,5 m²

Rozpiętość skrzydeł 8,62 m

Liczba podwieszeń 10

Silnik RM16
Maksymalny
ciąg 98 kN

Maksymalna
masa startowa
16 500 kg

Wysokość 4,72 m

Pułap
16 000 m

Zasięg operacyjny

Prędkość maksymalna 2 Ma

NAJNOWSZY SAMOŁOT SAABA OFERUJE WIĘKSZE MOŻLIWOŚCI OPERACYJNE

NIŻ W MYŚLIWCACH
STARSZEJ WERSJI,
KTÓRYCH UŻYTKOW-
NIKAMI SĄ SIŁY PO-
WIETRZNE SZWECJI,
CZECH, WĘGIER,
TAJLANDII I AFRYKI
POŁUDNIOWEJ

francuskie myśliwce Mirage III. Gdy w 2003 roku prezydentem Brazylii został Luiz Inácio Lula da Silva, plan pozyskania nowych bojowych odrzutowców odłożono na czas nieokreślony. Jednocześnie przyjęto rozwiązanie przejściowe, kupując tuzin eksfrancuskich myśliwców Mirage 2000.

Innym posunięciem było uruchomienie programu modernizacji myśliwców F-5E/F Tiger II. Pierwsze 42 samoloty kupione w Stanach Zjednoczonych – w tym sześć dwumiejscowych F-5B – trafiły do brazylijskiego lotnictwa w latach 1975–1976. W 1988 roku otrzymało ono następne 22 F-5E i cztery dwumiejscowe F-5F, które odkupiono od US Air Force. W 2000 roku rozpoczęto program modernizacji myśliwców, który miał objąć 46 maszyn, w tym trzy F-5F. Prace zlecono Embraerowi i izraelskiemu Elbitowi. Jednocześnie Brazylijczycy szukali dodatkowych samolotów za →

SAAB AERONÁUTICA MONTAGENS Z BRAZYLII JEST PIERWSZYM ZAKŁADEM POZA SZWECJĄ, KTÓRY WYTWARZA PODZESPOŁY DO GRIPENA

granicą i w 2007 roku odkupili od Jordanii osiem F-5E i trzy F-5F. Modernizacja, której ostatecznie poddano 57 myśliwców, zakończyła się w 2014 roku.

Tymczasem w 2007 roku zapadła decyzja o wznowieniu programu wyboru bojowego odrzutowca nowej generacji. Uruchomiono go w roku następnym jako projekt F-X2, ale nie było łatwo. Na następnej, szerokiej liście potencjalnych kandydatów znalazły się: rosyjski Suchoj Su-35, francuski Dassault Rafale, szwedzki Saab Gripen NG, europejski Eurofighter Typhoon oraz amerykańskie Lockheed Martin F-16BR i Boeing F/A-18E/F Super Hornet.

W październiku 2008 roku ogłoszono krótką listę, na której były samoloty Gripen, Rafale i Super Hornet. Jako że prezydent Lula da Silva utrzymywał dobre relacje z władzami Francji, za faworyta w rywalizacji o brazylijski kontrakt uchodził odrzutowiec z tego kraju. 7 września 2009 roku, w dniu święta niepodległości, ogłoszono nawet, że Brazylia będzie negocjować zakup 36 maszyn Rafale.

Jednak ta zapowiedź nie miała dalszego ciągu, bo przeciwko opcji francuskiej było wielu oficerów lotnictwa. W styczniu 2010 roku pojawiła się informacja, że w raporcie dotyczącym wyboru przyszłego samolotu najlepiej został oceniony gripen NG, na co miały wpływ jego cena oraz koszty operacyjne i utrzymania. Co gorsze dla prezydenta, do mediów przeciekła informacja, że od wojskowych zażądano zmian w dokumencie, w którym najgorzej wypadł rafale. Wszystko to oraz problemy ekonomiczne sprawiły, że finalna decyzja nie zapadła do końca drugiej kadencji Lula da Silvy. Na początku rządów jego następczyni, Dilma Rousseff (objęła urząd w 2011 roku), wydawało się, że do gry mogą wrócić Amerykanie, jednak ostatecznie w 2013 roku Brazylia potwierdziła wybór gripena. Kontrakt na dostawę 36 myśliwców podpisano z firmą Saab 27 października 2014 roku. Jego wartość wyniosła 39,3 mld koron szwedzkich (około 5,4 mld USD).

Pierwszy gripen E z puli mającej powstać w Szwecji został oficjalnie przekazany brazylijskim siłom powietrznym we wrześniu 2019 roku, ale na razie pozostaje w Europie. Z kolei w Brazylii pierwszy odrzutowiec będzie zmontowany w 2021 roku, a ostatnie z 36 samolotów będą przekazane jej lotnictwu w 2024 roku.

SZWEDZKA JAKOŚĆ

Samolot Saaba najnowszej generacji oferuje większe możliwości operacyjne niż myśliwce starszej wersji, których użytkownikami są Szwecja, Czechy, Węgry, Tajlandia i Afryka Południowa. Gripen NG jest od nich większy i ma większą masę startową. Silnik General Electric F414G (RM16) zapewnia mu zdolność supercruise, czyli samolot może osiągnąć prędkość ponaddwukrotną bez stosowania dopalacza. Maszyna ma większe zbiorniki paliwa niż gripen C/D i przenosi więcej uzbrojenia (ma dziesięć podwieszeń zamiast ośmiu) i co ważne, także broń już używaną w lotnictwie Brazylii, np. kierowane pociski rakietowe powietrze–powietrze krótkiego zasięgu A-Darter i średniego zasięgu Derby. Można też pod nią podwiesić zasobnik celowniczy Litening III. Poza tym gripen NG ma nowoczesny radiolokator ES-05 Raven z funkcją aktywnego skanowania elektronicznego i system pasywnego wykrywania celów w podczerwieni IRST Skyward-G.

Szwedzkie odrzutowce bojowe wprowadzą do brazylijskich sił powietrznych nową jakość, ponieważ F-5, choć przeszły głęboką modernizację, pozostają myśliwcami drugiej generacji. Co więcej, według rocznika „World Air Force 2020” jest ich zaledwie 47. To zbyt mało jak na piąty co do wielkości kraj świata, o powierzchni ponad 8,5 mln km². Do kontroli przestrzeni powietrznej Brazylijczycy wykorzystują zatem także 55 poddźwiękowych odrzutowców AMX i 93 śmigłowe maszyny Super Tucano, z których część stanowi jednomiejscowa wersja uderzeniowo-rozpoznawcza. Na szczęście nie grozi im konflikt zbrojny z sąsiadami, którzy też nie należą do lotniczych potęg. ■

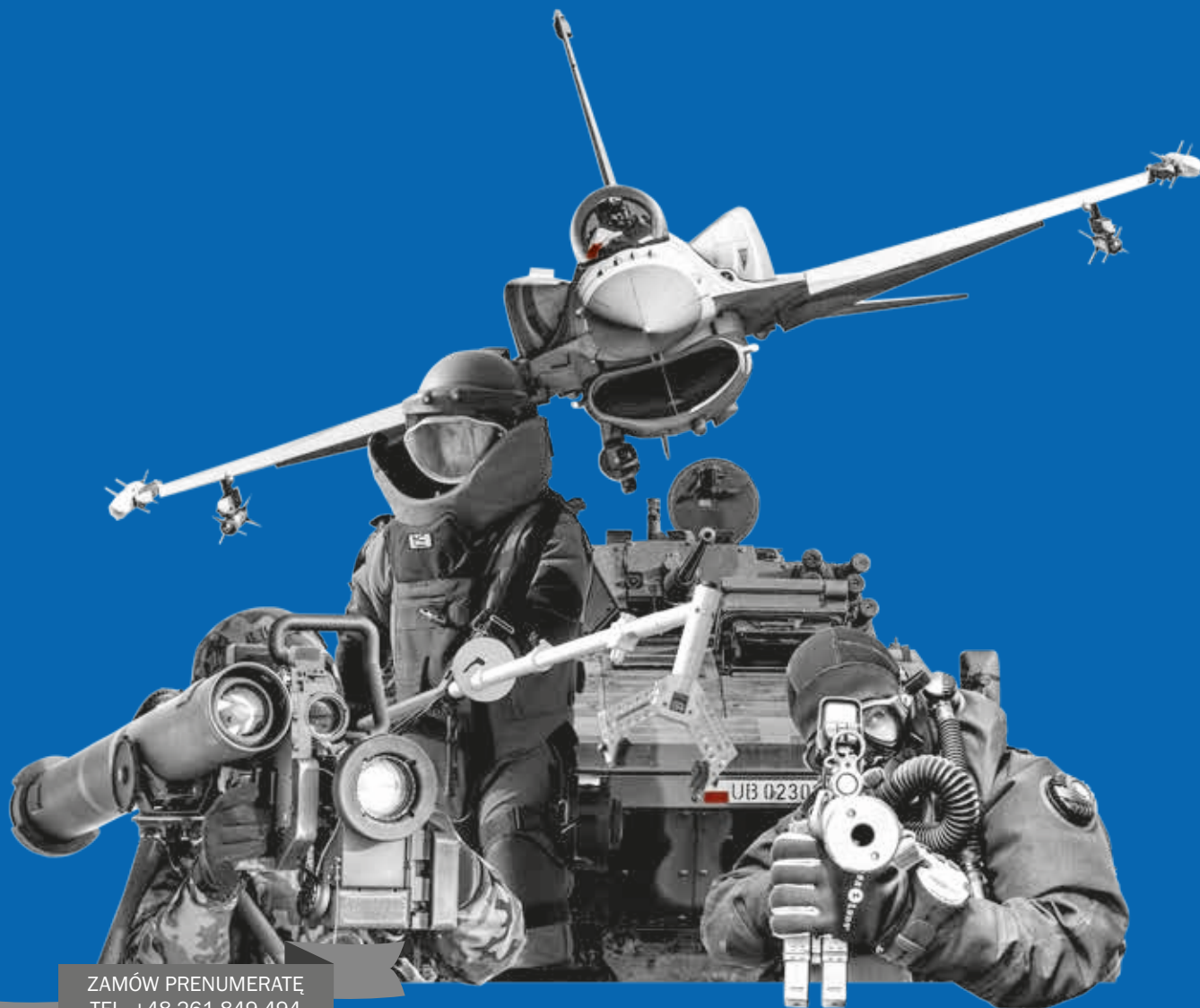


F-5, choć przeszły głęboką modernizację, pozostają myśliwcami drugiej generacji. Dlatego szwedzkie odrzutowce bojowe wprowadzą do brazylijskich sił powietrznych nową jakość.

POLSKA-ZBROJNA.PL

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 849 494

WOJSKO
POLSKIE

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy

Dynamiczna ewolucja

W czasach, gdy część państw decyduje się na redukcję budżetów obronnych, Australia chce zrobić wszystko, aby uniknąć cięć w tej sferze.

RAFAŁ CIASTOŃ

Australijczycy mają jedną z najnowocześniejszych flot świata. Na zdjęciu okręty Royal Australian Navy: HMA Ships „Sirius”, „Arunta”, „Stuart”, „Hobart” i „Canberra”

Australia dostrzega potrzebę dostosowania polityki obronnej do niezwykle dynamicznie zmieniającego się regionalnego środowiska bezpieczeństwa. Wyłanianie się Chin jako nowego, co najmniej regionalnego, mocarstwa coraz wyraźniej prowadzi do tarć w relacjach z dotychczas dominującymi w obszarze Indo-Pacyfiku Stanami Zjednoczonymi. Canberra trzeźwo ocenia ryzyko wynikające z narastającej rywalizacji, kierując się przy tym własnymi interesami. Dlatego tamtejszy rząd w lipcu 2020 roku opublikował dwa ważne dokumenty strategiczne – „Defence Strategic Update” dotyczy ogólnej oceny środowiska bezpieczeństwa, a „Force Structure Plan” odnosi się do modernizacji sił zbrojnych.

PLANOWANIE NA LATA

Jednym z priorytetów, jeśli chodzi o inwestycje w sprzęt, będzie marynarka wojenna, co nie powinno dziwić w wypadku tego de facto wyspiarskiego kraju. Co prawda Australijczycy mają jedną z najnowocześniejszych flot świata, ale w regionie Indo-Pacyfiku to zdecydowanie za mało. Narzucone przez Chiny tempo zbrojeń morskich jest takie, że trudno im dotrzymać kroku.

ROYAL AUSTRALIAN NAVY

UNOWOCZEŚNIANIE MARYNARKI WOJEN- NEJ MA W AUSTRALII CHARAKTER KOMPLE- MENTARNY, BO WOJ- NA MORSKA NIE JEST DOMENĄ TYLKO TEGO RODZAJU SIŁ ZBROJNYCH

Tymczasem marynarka wojenna to bardzo techniczny rodzaj sił zbrojnych i jej modernizacja musi rozkładać się w czasie. I trzeba przyznać, że Australia może stanowić wzorzec dla wielu państw, ponieważ jej długofalowe podejście do programów modernizacyjnych nie jest niczym nowym. Wystarczy wspomnieć, że zgodnie z podjętą cztery lata temu decyzją o pozyskaniu 12 okrętów podwodnych typu Shortfin Barracuda ostatnie jednostki serii zostaną dostarczone w drugiej połowie lat czterdziestych.

Dlatego już teraz rząd w Canberze zakłada, że w najbliższej dekadzie na zbrojenia przeznaczy równowartość 187 mld dolarów amerykańskich, a budżet obronny wzrośnie z 29 do 51 mld. Na potrzeby programów morskich zostanie skierowanych aż 28% funduszy modernizacyjnych, czyli o 4% więcej niż na siły powietrzne i aż 8% więcej niż na wojska lądowe.

ZDOLNOŚĆ RAŻENIA

W przyszłości australijskie siły zbrojne mają w mniejszym stopniu skupiać się na działaniach ekspedycyjnych, a coraz większą wagę przykładają do możliwości operowania na rozległych akwenach Indo-Pacyfiku. Powinny również uzyskać nowe zdolności w dziedzinie odstraszania, ale w rozszerzonej formule. Dlatego potencjał bojowy sił zbrojnych, w tym marynarki wojennej, zostanie rozbudowany do takiego poziomu, że ewentualny atak na Australię będzie oznaczał dla przeciwnika konieczność poniesienia znacznych strat materialnych i osobowych.

Floty nie czeka gwałtowna rewolucja, lecz raczej dynamiczna ewolucja. Należy się jednak spodziewać, że w kilku dziedzinach niektóre zdolności wzrosną wręcz skokowo, a niektóre pojawiają się po raz pierwszy. Dotyczy to chociażby systemów rażenia dalekiego zasięgu zarówno celów nawodnych, jak i lądowych. Dotychczas Canberra nie potrzebowała takiego sprzętu, ale wkrótce może on okazać się niezbędny do konfrontacji z chińskimi systemami przeciwookrętowymi i obrony powietrznej, ułożonymi np. na sztucznych wyspach Morza Południowochińskiego.

Skoro mowa o obronie powietrznej, to również jej zasięg będzie musiał zostać zwiększony. Długotrwałe utrzymywanie zespołów floty na morzu wiąże się z koniecznością wzmocnienia logistyki i transportu morskiego. Zagrożenie ze strony okrętów podwodnych wymusza z kolei inwestycje w systemy służące do ich zwalczania. Australijczycy muszą też odtworzyć zdolności w dziedzinie walki minowej, żeby zapewnić bezpieczeństwo statkom na morskich liniach komunikacyjnych.

Plany pozyskania systemów uzbrojenia o większym niż dotychczas zasięgu są podyktowane tym, że Pekin skupił się na zdobyciu tzw. zdolności antydo-
stępowych A2/AD (Anti Access/Area Denial). Jest to zresztą jedno z największych wyzwań, z jakim przychodzi się mierzyć zarówno Stanom Zjednoczonym, jak i państwom regionu Indo-Pacyfiku. Ewentualne przełamanie antydo-
stępowej bańki czy choćby tylko efektywne odstraszanie przeciwnika będzie zależało właśnie od zdolności rażenia na dalekich dystansach.

SERIA INWESTYCJI

Jeśli chodzi o konkretne klasy i typy okrętów, Canberra zamierza modernizować swoje jednostki, ale też stopniowo wprowadzać do służby nowe. Zapadły już decyzje o budowie nowych okrętów podwodnych. Z kolei trójkę niszczycieli typu Hobart, które trafiły do marynarki w latach 2017–2020, planuje się sukcesywnie modernizować, przede wszystkim w kontekście obrony powietrznej. Co więcej, już myśli się tam o pozyskaniu ich następców, co ma nastąpić po ukończeniu budowy dziewięciu planowanych fregat typu Hunter (te z kolei zastąpią osiem używanych obecnie jednostek typu ANZAC). Oczywiście Canberra nie zamierza budować wyłącznie dużych jednostek uderzeniowych – w planach jest także kupno 12 małych okrętów patrolowych typu Arafura, sześciu typu Cape, a także minowych, wsparcia logistycznego i amfibijnych. Planuje również kupić śmigłowce zwalczania okrętów podwodnych i systemy bezzałogowe.

Unowocześnianie marynarki wojennej ma w Australii charakter komplementarny, bo wojna morska nie jest domeną tylko tego rodzaju sił zbrojnych. Ważną rolę do odegrania w niej mają również lotnictwo i wojska lądowe. Samoloty myśliwskie uzbrojone w pociski rakietowe dalekiego zasięgu czy wyrzutnie pocisków rakietowych będą wykonywać zadania zarówno zwalczania celów nawodnych, jak i te polegające na tworzeniu tzw. akwenów kontestowanych, na których jednostki ewentualnego przeciwnika będą wystawione na ciągłe zagrożenie.

Mimo tych ambitnych planów Canberra zdaje sobie sprawę z własnych ograniczeń. Chińska obecność w państwach Azji i Oceanii rośnie i czternasta gospodarka świata nie może konkurować pod tym względem z drugą (Chiny). Dlatego Australia, podobnie zresztą jak Stany Zjednoczone, chce rozbudowywać relacje sojusznicze i partnerskie z państwami regionu. „Defence Strategic Update” wymienia w tym kontekście przede wszystkim Japonię, Indie i Indonezję, choć każde z tych państw łączy inne relacje z Chinami i nie wszystkie odbierają chińską ekspansję jako bezpośrednie źródło zagrożenia. ■



LATAJĄCY NISZCZYCIEL

Tureckie drony Bayraktar-TB2 pierwotnie miały służyć głównie do zwiadu i rozpoznania. Z czasem zmieniła się jednak specyfika ich działań, a nawet zyskały nieoficjalne miano niszczycieli pancyrów.

TOMASZ OTŁOWSKI

Wiosna 2020 roku w Libii okazała się gorąca nie tylko ze względu na rekordowo wysokie temperatury. Atmosferę w kraju skutecznie podgrzało też gwałtowne nasilenie starć na frontach wojny domowej, trwającej już od niemal sześciu lat. Oddziały libijskich sił zbrojnych wiernych Rządowi Porozumienia Narodowego (RPN) z Trypolisu – wyposażone w tureckie uzbrojenie oraz wzmocnione przez najemników werbowanych w Syrii za pieniądze Ankarę – przeszły na przełomie marca i kwietnia tego roku do zmasowanej kontrofensywy na przedmieściach stolicy kraju. Po tygodniach ciężkich walk, w maju formacje Libijskiej Armii Narodowej (LAN), dowodzonej przez charyzmatycznego marszałka polnego Khalifę Haftara, od roku oblegające stolicę kraju, zostały zmuszone do odwrotu. Z dnia na dzień stawało się coraz bardziej oczywiste, że LAN poniosła w tej odsłonie wojny w Libii sromotną klęskę. I to właśnie wtedy, 19 i 20 maja, siły marszałka Haftara oraz sprzymierzonych z nim rosyjskich na-

jemników z kompanii Wagnera doznały największego upokorzenia – w ciągu zaledwie 20 godzin utraciły w zachodniej i centralnej Libii aż dziewięć mobilnych zestawów obrony przeciwlotniczej typu Pancyr-S1. Te nowoczesne rosyjskie systemy uzbrojenia, reklamowane m.in. właśnie jako niszczyciele dronów, same padły ofiarą bezzałogowych pojazdów latających (unmanned aerial vehicle – UAV), wykorzystywanych przez siły RPN. Skutecznymi zabójcami pancyrów okazały się tureckie drony bojowe typu Bayraktar-TB2, od kilku lat znajdujące się w wyposażeniu sił zbrojnych Turcji.

UZBROJONY ZWIADOWCA

Bayraktar-TB2 to bezzałogowy pojazd latający klasy MALE (Medium-Altitude Long-Endurance, czyli dron operujący na średnich wysokościach, o długim czasie działania). Jego pierwotną funkcją były zadania zwiadowcze i rozpoznawcze. Uzbrojony dodatkowo w przeciwpancerne rakiety powietrze–ziemia, stał się jednak groźną bronią, zwłaszcza tam,



Wspólne zdjęcie załogi tureckiej firmy Baykar wraz z gotowym dronem Bayraktar TB2.

BAYRAKTARY-TB2
PO RAZ PIERWSZY
ZOSTAŁY UŻYTE
W LATACH 2015–
2016 W TUREC-
KICH OPERACJACH
W SYRII I IRAKU,
WYMIERZONYCH
GŁÓWNIE W LO-
KALNE SIŁY
KURDYJSKIE,
A W MNIEJSZYM
ZAKRESIE RÓW-
NIEŻ W PAŃSTWO
ISLAMSKIE

BAYHALLUK

gdzie z różnych przyczyn nie można użyć klasycznych narzędzi walki powietrznej.

Bezzałogowiec Bayraktar-TB2 został opracowany i skonstruowany przez konsorcjum Kayle Baykar. Pierwsze projekty pojawiły się już w latach 2007–2009, ale ostatecznie prace nad systemem zostały sfinalizowane w 2012 roku. Dwa lata później pierwsze egzemplarze bayraktarów trafiły do sił zbrojnych Republiki Turcji. Dzisiaj Turcy dysponują już około 200 egzemplarzami tego bezzałogowca. Kilkanaście maszyn kupił Katar, a w marcu 2020 roku 12 dronów tego typu znalazło się również w wyposażeniu sił zbrojnych Ukrainy.

MANEWRY Z RAKIETAMI

Konstrukcję drona Bayraktar-TB2 tworzy lekkie nadwozie samonośne ze zintegrowanym odwróconym usterzeniem motylkowym na dwuramiennym ogonie. Benzynowy silnik spalinyowy o mocy 100 KM, znajdujący się pomiędzy belkami ogona, zasila dwuśmigłową śrubę napędową o zmiennym skoku i umożliwia pojazdowi rozwinięcie prędkości przelotowej do około 130 km/h (maksymalnie, w krótkim czasie, do 200 km/h). Zapas paliwa (300 l) umożliwia przebywanie w powietrzu do 20 godzin. Najbardziej optymalna wysokość, na jakiej operują bayraktary, sięga około 7 km, choć rekord to aż 9 km. Zasięg łączności z jednostką sterującą na ziemi wynosi 300 km, ale jest uzależniony od topografii i warunków atmosferycznych.

Maszyna ma 6,5 m długości, a rozpiętość skrzydeł wynosi 12 m. Wykonana jest z aluminium oraz z lekkich kompozytów opartych na włóknie węglowym i kevlarze, co sprawia, że jej całkowita masa nie przekracza 650 kg. Do standardowego wyposażenia drona należy głowica elektrooptyczna z dwiema kamerami (dzienną i termowizyjną), dalmierzem laserowym i laserowym wskaźnikiem celów. W wersji bojowej bayraktar może również przenosić rakietę przeciwpancerną powietrze–ziemia. Pierwotnie były to rodzime tureckie pociski typu UMTAS, wyposażone w kumulacyjne głowice tandemowe i naprowadzane na cel wiązką lasera lub obrazowaniem w podczerwieni. Ze względu na swą masę (ponad 37 kg) drony zabierały na pokład tylko jedną taką raketę, po której odpaleniu stawały się bezbronne. Roketsan, turecki producent broni, podjął się więc zadania opracowania specjalnej miniaturowej wersji pocisków, o mniejszych rozmiarach i wadze. Efektem tych prac stała się seria inteligentnej mikroamunicji, przeznaczonej specjalnie dla tureckich dronów bojowych. Pociski te – nazwane MAM (Mini Akıllı Mühimmat, inteligentna mikroamunicja) – opracowano w dwóch wersjach: MAM-L (głowica termobaryczna, czyli paliwowo-powietrzna) oraz MAM-C (z kumulacyjną głowicą przeciwpancerną klasy HEAT lub odłamkowo-burzącą). Dzięki niewielkim rozmiarom tych rakiet (waga około 20 kg, długość 1 m) drony Bayraktar-TB2 mogą obecnie przenosić po dwie rakietę klasy MAM. Najczęstszą konfiguracją, stosowaną





MAM-L/-C

- szerokość: 7 cm
- długość: 97 cm
- masa: 6,5 kg
- rodzaje głowic: przeciwpancerna, zapalająca, termobaryczna, odłamkowo-burząca
- napęd: silnik na paliwo stałe zasięg: 8 km
- naprowadzanie: półaktywne laserowe lub GPS
- zapalnik: uderzeniowy lub zbliżeniowy

BAYHALUK



KLUCZEM DO EFEKTYWNOŚCI BAYRAKTARÓW OKAZAŁO SIĘ ICH WSPÓŁDZIAŁANIE Z INNYM NOWYM TURECKIM WYNAŁAZKIEM MILITARNYM – SYSTEMEM WALKI ELEKTRONICZNEJ KORAL

przez Turków zarówno w Syrii, jak i w Libii, jest układ MAM-L plus MAM-C. Zapewnia to maszynie odbywającej lot bojowy znacznie szersze spektrum działania. Dron wyposażony w rakiety o różnych typach głowic bojowych może bowiem zwalczać zarówno cele opancerzone, jak i atakować obiekty czy umocnienia naziemne wroga oraz jego siłę żywą.

System kontroli lotu bayraktara umożliwia autonomiczne prowadzenie procedur kołowania, startu, nawigacji w locie, lądowania i parkowania. W trakcie długotrwałego lotu lub zawisu dron może być przełączony w tryb półautomatyczny. Aktywność operatorów z centrali sterowania niezbędna jest za to w czasie procedury bojowej – do selekcji celów, ich identyfikacji i odpalenia rakiet zawsze jest potrzebny człowiek. Operatorzy sterują dronami z nowoczesnego mobilnego centrum kontroli, znajdującego się w kontenerze umieszczonym na platformie samochodu ciężarowego. Centrala taka może nadzorować działania trzech maszyn jednocześnie.

WSPARCIE POŁA WALKI

Bayraktary-TB2 po raz pierwszy zostały użyte w latach 2015–2016 w tureckich operacjach w Syrii i Iraku, wymierzonych głównie w lokalne siły kurdyjskie, a w mniejszym zakresie również w Państwo Islamskie (IS). Drony te działały wówczas przede wszystkim jako platformy zwiadowcze i rozpoznawcze, a także jako powietrzne środki namierzania celów i koordynacji prowadzenia ognia dla ciężkiej artylerii tureckiej, ostrzeliwującej cele w północnej Syrii z terytorium Turcji. Wraz z upływem czasu bayraktary coraz częściej były włączane jednak do bezpośrednich działań bojowych, właśnie jako platformy bliskiego powietrznego wsparcia pola walki (close air support – CAS). W warunkach wojny w Syrii tureckie dro-

ny często przeprowadzały też uderzenia o charakterze izolacji powietrznej pola walki (battlefield air interdiction – BAI), atakując głębsze tyły sił przeciwnika z jego logistyką, zapleczem szkoleniowym, bazami itd. Coś, czego otwarcie nie mogły – z przyczyn politycznych i strategicznych – robić samoloty tureckich sił powietrznych, przeprowadzały skrycie, lecz równie skutecznie, drony typu Bayraktar-TB2.

Dopiero jednak turecka interwencja w Libii (rozpoczęta formalnie w grudniu 2019 roku) pokazała pełnię operacyjnych zdolności bojowych bezzałogowców produkowanych przez konsorcjum Kayle Baykar. To właśnie w jej trakcie tureckie drony bojowe udowodniły swą przydatność jako maszyny wykonujące zadania typu CAS, w rezultacie przyczyniając się do sukcesu sił zbrojnych wiernych rządowi w Trypolisie. Jest przy tym oczywiste, że bayraktary-TB2 w służbie RPN są obsługiwane nie przez Libijczyków, lecz przez tureckich „ekspertów i doradców” wojskowych. Pełny cykl wyszkolenia operatorów dronów bojowych to długotrwały i skomplikowany proces, i jak pokazują doświadczenia Ukraińców z ich bayraktarami, należy go liczyć raczej w miesiącach, a nie w tygodniach.

Tureckie drony Bayraktar-TB2 odniosły swe największe sukcesy w Libii, zyskując nawet nieoficjalne miano niszczycieli pancyrów (Pantsir’s busters), dzięki daleko idącemu zaangażowaniu Ankary w libijską wojnę. Kluczem do efektywności tych dronów okazało się jednak w dużej mierze ich współdziałanie z innym nowym tureckim wynalazkiem militarnym – systemem walki elektronicznej Korale. Zdaniem wielu ekspertów to właśnie dzięki użyciu go Turcy byli w stanie tak bardzo „ośłupić” rosyjskie systemy obrony przeciwlotniczej, że stały się one łatwym i bezbronnym celem dla bayraktarów. ■

MOBILNY ZESTAW KORAL, zamontowany na podwoziu samochodu ciężarowego 8x8 – wdrożony do służby zaledwie przed czterema laty – umożliwia zagłuszenie i „oślepienie” wszelkiego typu radarów przeciwnika w promieniu do 300 km.

NIEBO NAD BRYTANIA

WYSTAWA CZASOWA

80. ROCZNICA BITWY O WIELKĄ BRYTANIĘ



wernisaż: 15.09.2020

Muzeum Sił Powietrznych w Dęblinie, ul. Lotników Polskich 1
www.muzeumsp.pl



Organizatorzy wystawy



CENTRALNA
BIBLIOTEKA
WOJSKOWA



FUNDACJA HISTORYCZNA
LOTNICTWA POLSKIEGO

Stowarzyszenie
Polska Niepodległa
oddział w Łańcucie

Partner medialny

**POLSKA
ZERKA**

**HISTORIA
POLSKA
ZERKA**

SILNIK Z PRĄDEM

Napędy hybrydowe to przyszłość wojskowej motoryzacji. Armia chce łączyć klasyczne, napędzane paliwem silniki z konstrukcjami zasilanymi prądem przede wszystkim z powodów taktyczno-operacyjnych.

KRZYSZTOF
WILEWSKI



SHUTTERSTOCK, PK/DZIAŁ GRAFICZNY

Ze względu na zdominowanie w XX wieku rynku samochodowego przez pojazdy napędzane ropą i jej pochodnymi wydaje się nieprawdopodobne, że w drugiej połowie XIX stulecia przyszłość motoryzacji widziano w innych typach napędu – parowym i elektrycznym. Zanim bowiem w 1885 roku Carl Benz zaprezentował światu Benz Patent-Motorwagen Nummer 1, czyli pierwszy na świecie produkowany seryjnie samochód napędzany czterosuwowym silnikiem benzynowym, skonstruowanym przez Gottlieba Daimlera, 60 lat wcześniej amerykański wynalazca Thomas Davenport zbudował powóz (bo trudno tę konstrukcję nazywać autem) napędzany silnikiem elektrycznym czerpiącym prąd z ogniw galwanicznych Volty. Co ciekawe, ludzkość wówczas nie знаła jeszcze żarówki, a prąd wiele osób uważało za interesujący, dziwny, ale mało użyteczny wynalazek.

KOSZTOWNA KONSTRUKCJA

W ślady Davenporta poszło wielu wynalazców, którzy szukali elektrycznych silników do napę-

dzania powozów, a później samochodów. Dlaczego? Powodów było kilka. Silniki parowe, a później napędzane paliwami płynnymi, były konstrukcjami skomplikowanymi, wymagającymi wielu rozwiązań wspomagających, chociażby łagodzących drgania motoru. Nie były także proste w obsłudze. Silnik elektryczny zaś nie miał tych wad, przy tym był znacznie mniejszy i gwarantował dobrą dynamikę. Nic zatem dziwnego, że pod koniec XIX wieku taksówkarze z Berlina, Paryża, Nowego Jorku czy Moskwy chętnie korzystali z elektrycznie napędzanych karet, które, rozwijając prędkość 15 km/h, mogły pokonać około 50 km bez wymiany ogniw.

Co sprawiło, że XX wiek został zdominowany przez pojazdy spalinowe? Odpowiedź jest prosta: pieniądze. Silniki elektryczne, mimo wielu zalet, były konstrukcjami kosztownymi. Nieźle radziły sobie na rynku, gdy za konkurencję miały tylko ręcznie budowane motory napędzane ropą. Kiedy jednak przyszła era masowej produkcji, zapoczątkowana przez Henry'ego Forda, ich zakup stał się nieopłacalny. Ostatecznie o przegranej

Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy świadkami wielkiego powrotu elektrycznych napędów do świata motoryzacji.

POTRZEBA JESZCZE WIELE PRACY, ABY POWSTAŁY KONSTRUKCJE NIEZAWODNE I ODPORNE NA USZKODZENIA

przesądziła wydajność, i to nie ta, która przekłada się na kilometry pokonane w godzinę. W 1899 roku Camille Jenatton zbudował bowiem elektryczny pojazd o nazwie La Jamais Contente, czyli pierwsze auto na świecie, które osiągało prędkość ponad 100 km/h. Tutaj chodziło o zasięg. Samochody o napędzie elektrycznym mogły pokonać kilkadziesiąt kilometrów, a te spalinowe – kilkaset.

POWRÓT PO LATACH

Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy teraz świadkami wielkiego powrotu elektrycznych napędów do dziedziny motoryzacji. Dziś chyba każdy większy koncern samochodowy ma w swojej ofercie albo planuje w najbliższych latach wprowadzić do produkcji auta w nie wyposażone. Wojsko na całym świecie przez długi czas przypatrywało się z dystansem modzie na zmniejszanie pojemności silników oraz używanie tych będących połączeniem napędów elektrycznych i spalinowych. Wiele jednak wskazuje na to, że w najbliższych latach do służby trafią pierwsze hybrydy. Najprawdopodobniej liderem w tej dziedzinie będzie armia amerykańska.

US Army, czyli amerykańskie wojska lądowe, a konkretniej działające na ich zlecenie Biuro ds. Szybkiej Możliwości i Technologii Krytycznych (Rapid Capabilities and Critical Technologies Office), na początku lipca 2020 roku podpisało umowę z firmą BAE Systems na zainstalowanie w bojowych wozach piechoty Bradley hybrydowego napędu elektrycznego (Hybrid Electric Drive). Jak podkreślają przedstawiciele Pentagonu, dzięki temu nie tylko zostaną zwiększone możliwości jezdne transportera – jego zasięg, prędkość, właściwości terenowe – ale przede wszystkim ilość i moc wytwarzanej przez wóz energii elektrycznej. Bradleye bierze się bowiem pod uwagę jako nośniki laserowej broni, a ta ma spore zapotrzebowanie na prąd. Projekt ten pozwoli ocenić, jakiej mocy lasery można byłoby zasilać z hybrydowego układu napędowego.

Inny amerykański projekt to opracowanie w 100% elektrycznej konstrukcji na bazie Joint Light Tactical Vehicle, czyli pojazdów, którymi teraz w siłach zbrojnych USA zastępuje się wysłużone HMMWV. Przedstawiciele tamtejszej armii podkreślają, że największą zaletą elektrycznego napędu ma być skrytość jego pracy i możliwość znaczącego zmniejszenia wymiarów pojazdu (planuje się umieścić go w kołach).

Nad napędami elektrycznymi bądź hybrydowymi dla różnego typu pojazdów wojskowych pracują nie tylko inżynierowie z USA. To jest tendencja powszechna niemal na całym świecie. Trzy lata temu pod egidą Europejskiej Agencji Obrony (European Defence Agency) uruchomiono program badawczo-rozwojowy HybriDT (Hybrid Drive Trains for military purpose), do którego przystąpiły: Austria, Finlandia, Francja, Włochy, Holandia, Słowenia i Szwecja, mający zaowocować rekomendacjami hybrydowych rozwiązań przydatnych w wojsku. Podobny projekt badawczy samodzielnie rozpoczęła Wielka Brytania.

RODZIME PRÓBY

W Polsce prace nad wojskowymi hybrydami lub elektrykami prowadzą zarówno firmy, jak i instytucje naukowo-badawcze. Pięć lat temu na Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego w Kielcach konsorcjum, którego liderem była Politechnika Śląska, a tworzyły je również Przemysłowy Instytut Automatyki i Pomiarów oraz Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Urządzeń Mechanicznych, zaprezentowało gąsienicowy wszędolaz, napędzany elektryczno-spalinowym układem napędowym.

Czy przyszłość wojskowej motoryzacji należy zatem do prądu? Tak, ale nie w perspektywie najbliższych miesięcy. Potrzeba jeszcze wiele pracy, aby powstały niezawodne i odporne na uszkodzenia konstrukcje, jakich oczekuje armia. ■

Krok do silniejszej armii

Niedawne pogorszenie i tak napiętych już stosunków z Chinami sprawiło, że Indie szybko podjęły decyzję o nowych zamówieniach broni.

T A D E U S Z W R Ó B E L

Po krwawych starciach z 15 czerwca 2020 roku w dolinie Gawlan, w regionie Ladakh, na spornym odcinku granicy z Chinami, określanym jako „linia faktycznej kontroli” (Line of Actual Control), Indie postanowiły przyspieszyć zakupy niektórych systemów uzbrojenia i sprzętu wojskowego. W komunikacie resortu obrony wydanym po posiedzeniu Rady Zamówień Obronnych (Defence Acquisition Council – DAC) pod przewodnictwem ministra obrony Rajnatha Singha, które odbyło się 2 lipca, zapowiedziano, że umowy zostaną podpisane w ciągu sześciu miesięcy, a dostawy rozpoczną się w ciągu roku.

LOTNICTWO NA PIERWSZYM MIEJSCU

Za priorytet uznano wzmocnienie potencjału bojowego sił powietrznych. Dlatego głównym beneficjentem zaaprobowanych transakcji będzie koncern lotniczo-obronny Hindustan Aeronautics Limited (HAL) – z firmą zostanie podpisana umowa na dostawę 12 samolotów wielozadaniowych Su-30 MKI (do tej pory nabyto ich 272). Licencyjna produkcja rosyjskich maszyn z wcześniejszych zamówień zakończyła się w marcu tego roku. Wartość nowego kontraktu wyniesie 10,73 tys. koti (liczebnik w języku sanskryckim oznaczający 10 mln), czyli równowartość około 1,43 mld dolarów. Informacje o zakupie dodatkowych samolotów, które mają zastąpić maszyny utracone w różnych incydentach, pojawiały się w mediach jeszcze przed starciami w Gawlan, podobnie jak o oferowanych przez Moskwę myśliwcach MiG-29. Rosja dostarczy Indiom 21 używanych samolotów, a także zmodernizuje 59 już posiadanych przez hinduskie siły powietrzne, co będzie kosztować 7148 koti (992 mln dolarów).

Wzmoczone napięcie w stosunkach z Chinami będzie miało też wpływ na przyszłość przetargu na 114 samolotów wielozadaniowych. Miesiąc przed starciami w Gawlan pojawiły się doniesienia, że Indie rozważają jego anulowanie i zwiększenie zakupów krajowej konstrukcji myśliwców Tejas, których za-

mówiono 40 w wersji Mk I, a w planie są jeszcze 83 Mk IA. W obecnej sytuacji rezygnacja z zagranicznych odrzutowców wydaje się jednak wątpliwa. Tym bardziej że od lat pojawiają się informacje o planowanej przez Indie rozbudowie lotnictwa bojowego, ponieważ jego liczebność jest nieadekwatna do potrzeb obronnych. Wyliczono, że brakuje jeszcze około 250 samolotów, docelowo w strukturach sił powietrznych powinny być też 42 eskadry. Na początku 2020 roku było ich 28, z czego 12 miało Su-30MKI, sześć – jaguary, trzy – MiG-29, trzy

– samoloty Mirage 2000, trzy – leciwe MiG-21 i jedna – tejasy. W tym roku zaplanowano rozformowanie dwóch eskadr z samolotami MiG-21, jednocześnie tworzone są trzy nowe jednostki. W kwietniu w Sulur, w stanie Tamilnadu, aktywowano 18 Eskadrę z odrzutowcami Tejas Mk I. Z kolei w Thanjavur, w tym samym stanie, będzie stacjonowała 222 Eskadra z Su-30MKI, a w Ambala w stanie Harijana – 17 Eskadra z francuskimi samolotami Rafale. Pierwszych pięć z 36 kupionych maszyn dotarło tam w lipcu.

Wśród zaakceptowanych zakupów znalazło się nowe uzbrojenie dla lotnictwa.

Zamówionych zostanie 248 kierowanych pocisków raketowych powietrze–powietrze Astra o zasięgu ponad 70 km. Jest to broń opracowana i produkowana w kraju. Jeszcze ważniejsze wydaje się wyposażenie lotnictwa w manewrujące pociski raketowe (Long Range Land Attack Cruise Missile System) o zasięgu 1000 km z głowicą konwencjonalną. To również będzie indyjska konstrukcja, wywodząca się z systemu Nirbhay opracowanego dla wojsk lądowych, z wyrzutniami na podwoziu ciężarówki. Zgodnie z lipcową decyzją DAC oba pociski dostanie też marynarka wojenna. Wersja przeciwokrętowa trafi na okręty, a astry dostanie lotnictwo morskie.

Choć nie pojawiło się to w przyjętym w lipcu planie, pokłosiem zatargu granicznego z Chinami będą również zakupy bezzałogowych statków powietrznych klasy MALE. USA zaoferowały indyjskiej marynarce wojennej 30 nieuzbrojonych dronów

**ZA PRIORYTET UZNA-
NO WZMOCNIENIE
POTENCJAŁU BOJO-
WEGO SIŁ POWIETRZ-
NYCH, CHOĆ NOWE
UZBROJENIE DOSTA-
NĄ RÓWNIEŻ WOJSKA
LĄDOWE I MARYNAR-
KA WOJENNA**

Sea Guardian za 4 mld dolarów, ale tamtejsi eksperci uważają, że ze względu na koszty lepiej nabyć maszyny wielozadaniowe. Wojska lądowe są z kolei zainteresowane uzbrojonym MQ-9 Reaper. W grę wchodzi też zwiększenie zamówień na izraelskie bezzałogowce Heron. Poza tym trwają prace nad rodzimym systemem Rustom.

NOWE ŚRODKI RAŻENIA

Zaakceptowano zamówienie dodatkowych systemów raketowych Pinaka w wersji Mk 2 z pociskami o zasięgu 90–100 km. Zostaną zatem zwiększone zdolności rażenia wojsk lądowych. Indyjski resort obrony zapowiedział, że pozwoli to sformować nowe jednostki artylerii raketowej. Pierwsza wersja pinaki o zasięgu 42 km, sklasyfikowana jako system artylerii raketowej, przeszła chrzest bojowy podczas konfliktu z Pakistanem w Kargil w 1999 roku. Poza tym zamówione mają być też: precyzyjne pociski Excalibur dla kupionych w USA haubic M777 kalibru 155 mm, izraelskie przeciwpancerne pociski kierowane Spike i rosyjskie przeciwlotnicze zestawy Igła.

DAC zaakceptowała też modernizację uzbrojenia bojowych wozów piechoty BWP-2/2K. Dwa tygodnie przed incydem w Gawlan zaaprobowano zakup 156 nowych wozów, których dostawy zakończą się w 2023 roku. Indie zamierzają kupić również lekkie czołgi, ponieważ armia chińska ma już wóz typ 15 tej klasy, zaprojektowany do działań w górach.

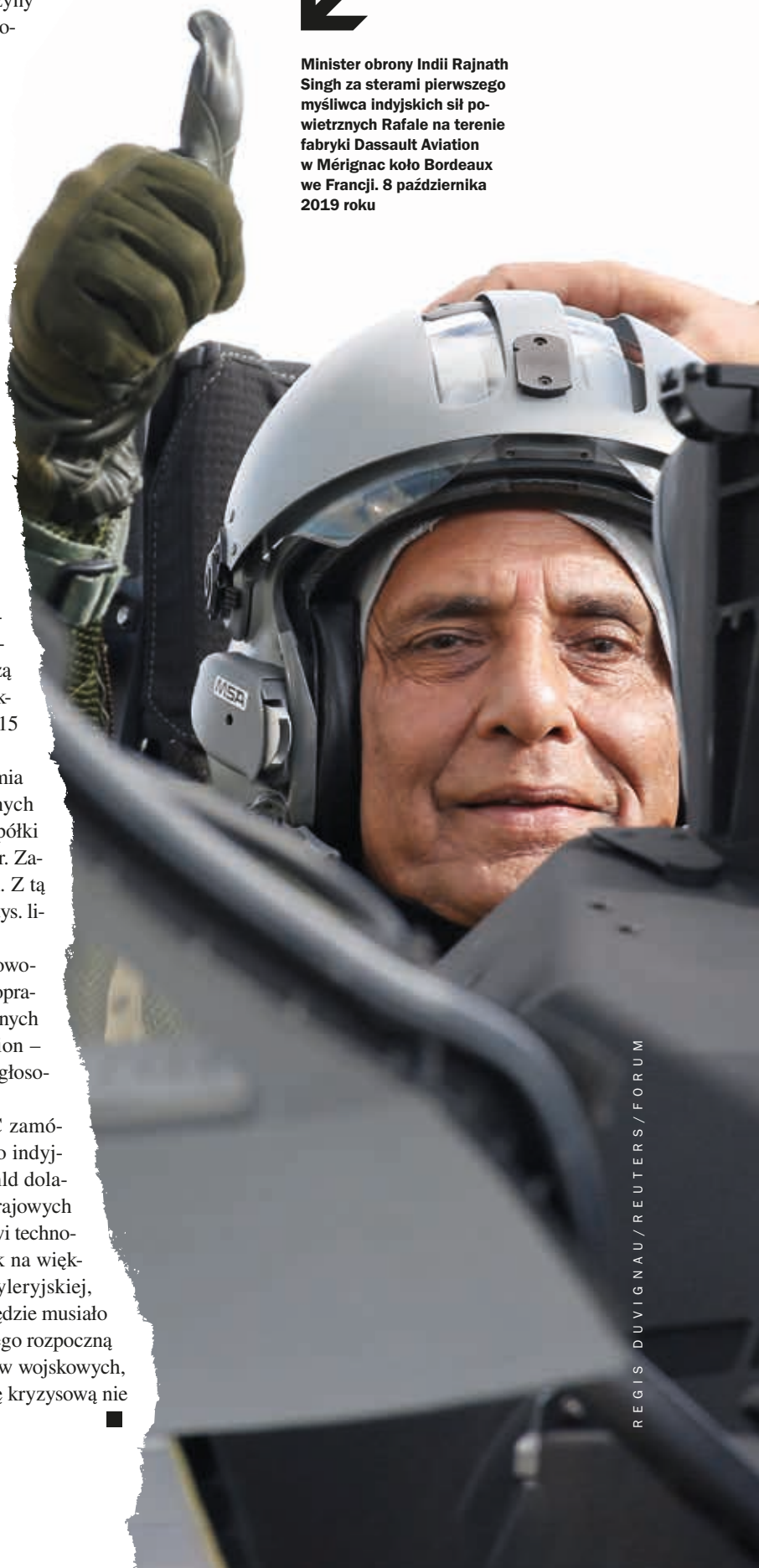
W lipcu pojawiła się informacja, że indyjska armia chce nabyć 72,4 tys. karabinków automatycznych SIG716G2 kalibru 7,62 mm od amerykańskiej spółki szwajcarskiego producenta broni, firmy SIG Sauer. Zastąpią one krajową broń INSAS kalibru 5,56 mm. Z tą wymianą są związane też plany zakupu około 750 tys. licencyjnych rosyjskich karabinków AK-203.

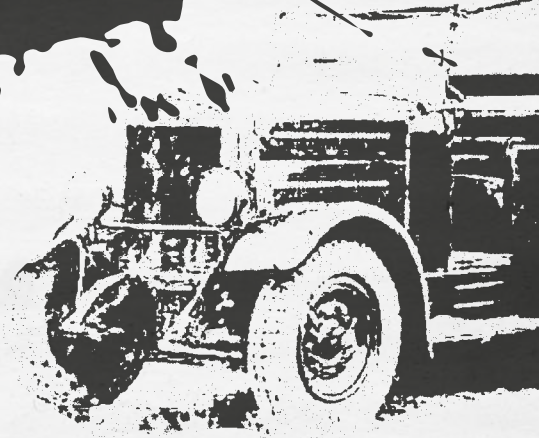
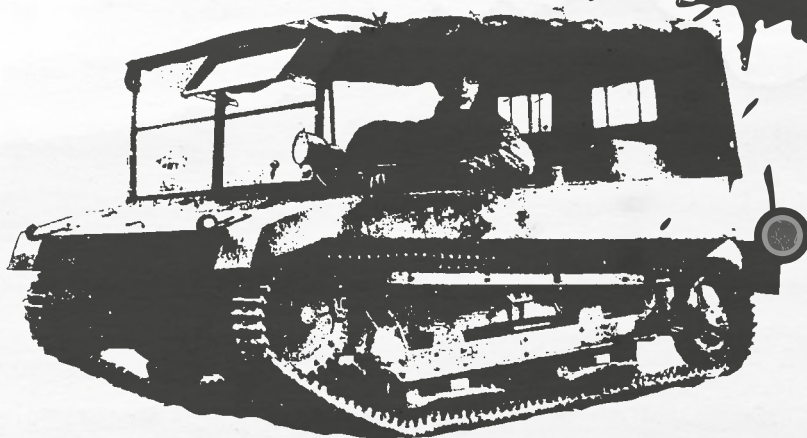
Poza tym DAC zdecydowała o zamówieniu nowoczesnych radiostacji definiowanych programowo, opracowanych przez resortową agencję badań obronnych (Defence Research and Development Organisation – DRDO). Sprzęt ten zapewni bezpieczną łączność głosową i transmisję danych.

Wartość zaaprobowanych w lipcu przez DAC zamówień wynosi 38,9 tys. koti (5,2 mld dolarów), do indyjskiej zbrojeniówki trafi zaś 31,13 tys. koti (4,2 mld dolarów). Ministerstwo obrony podkreśla, że wiele krajowych firm mogło uruchomić produkcję dzięki transferowi technologii stworzonych przez DRDO. Niemniej jednak na większość sprzętu – oprócz amunicji czołgowej, artyleryjskiej, moździerzowej i strzeleckiej – indyjskie wojsko będzie musiało poczekać kilka lat, np. testy pocisku manewrującego rozpoczną się w 2023 roku. Pojawiły się też opinie ekspertów wojskowych, że szybkie, paniczne zakupy w reakcji na sytuację kryzysową nie są dobrym pomysłem. ■



Minister obrony Indii Rajnath Singh za sterami pierwszego myśliwca indyjskich sił powietrznych Rafale na terenie fabryki Dassault Aviation w Mérignac koło Bordeaux we Francji. 8 października 2019 roku





C2P

W 1931 roku rozpoczęto prace nad ciągnikiem artyleryjskim na podwoziu tankietki. W latach 1937–1939 powstało 196 z ponad 300 planowanych pojazdów. Ciągnik holował armaty przeciwlotnicze kalibru 40 mm i przyczepy amunicyjne.

- ❶ Masa – 2750 kg
- ❷ Długość – 2,85 m
- ❸ Szerokość – 1,8 m
- ❹ Wysokość – 1,58 m
- ❺ Prędkość maksymalna – 45 km/h
- ❻ Zasięg – 165 km (droga), 100 km (teren)
- ❼ Załoga – 4 żołnierzy

CIĄGNIKI WRZEŚNIA

Trochę ciężkie i niezgrabne, jednak bez nich nie mogłaby funkcjonować sprawnie żadna armia.

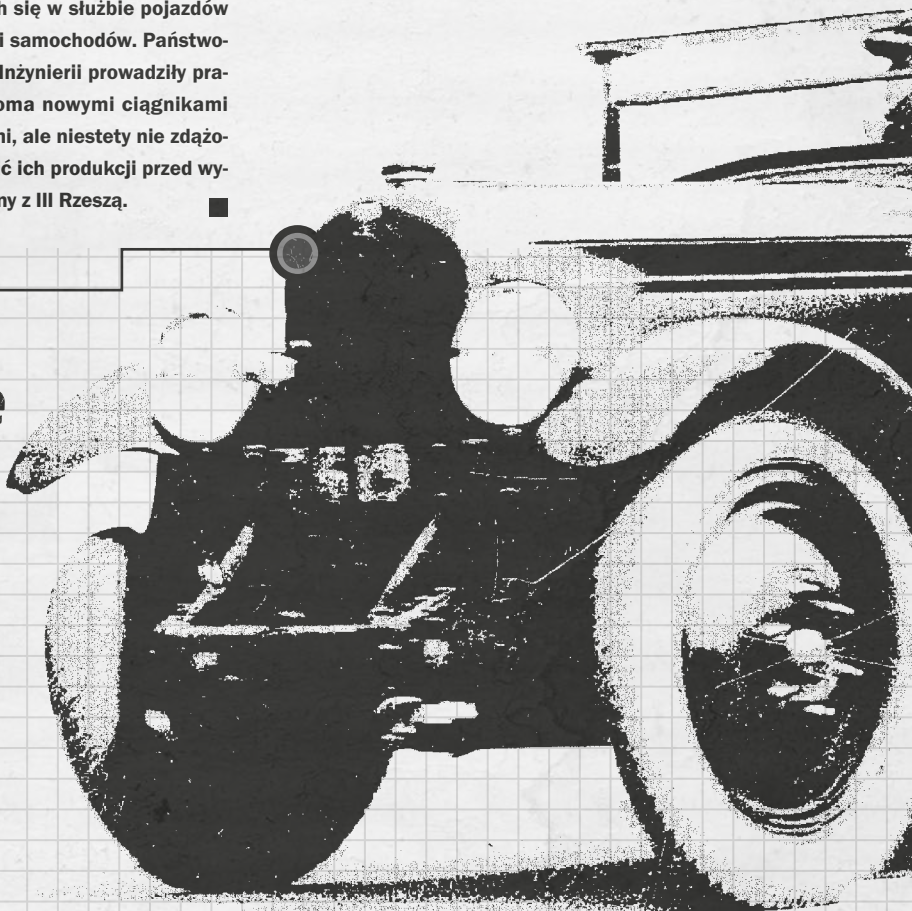
W latach trzydziestych XX wieku, w ramach rozpoczętej mechanizacji armii II Rzeczypospolitej do wojska trafiło kilka typów ciągników artyleryjskich, półgąsienicowych i półgąsienicowych przeznaczonych do holowania armat polowych i przeciwlotniczych, haubic oraz ciężkich moździerzy. W większości były to polskie

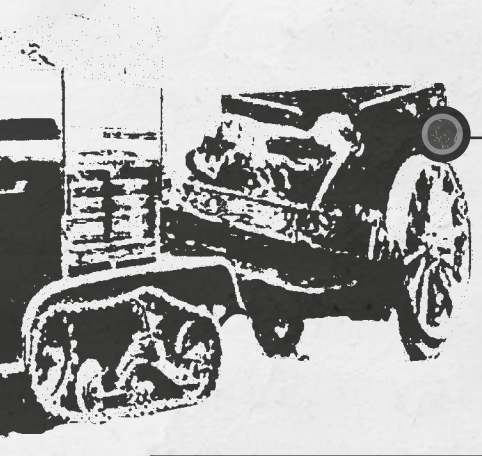
konstrukcje, w których wykorzystano elementy i rozwiązania znane z już znajdujących się w służbie pojazdów pancernych i samochodów. Państwowe Zakłady Inżynierii prowadziły prace nad kilkoma nowymi ciągnikami artyleryjskimi, ale niestety nie zdążyło uruchomić ich produkcji przed wybuchem wojny z III Rzeszą.

Citroën-Kegresse

W 1931 roku kupiono we Francji samochody półgąsienicowe w trzech wersjach. 54 z nich trafiły do artylerii. Pojazdy te różniły się masą, rozmiarami i silnikami. Wozy C6P14 holowały haubice kalibru 120 mm i 155 mm, a C4P17 – armaty polowe kalibru 75 mm.

- ❶ Masa – 1850 kg
- ❷ Długość – 4,38 m
- ❸ Szerokość – 1,69 m
- ❹ Wysokość – 2,09 m
- ❺ Prędkość maksymalna – 28 km/h
- ❻ Załoga – 8 żołnierzy





C4P

Ciągnik był wersją półgąsienicowego samochodu ciężarowego wzór 34, wywodzącego się z ciężarówki Fiat 621. Wyprodukowanych zostało około 80 egzemplarzy. C4P holował armaty polowe kalibru 75 mm i 120 mm oraz przeciwlotnicze kalibru 75 mm, a także haubice 100-milimetrowe.

- ❶ Masa – 3000 kg
- ❷ Długość – 4,7 m
- ❸ Szerokość – 1,9 m
- ❹ Wysokość – 2,35 m
- ❺ Prędkość maksymalna – 30 km/h
- ❻ Zasięg – 250 km
- ❼ Załoga – 4–8 żołnierzy

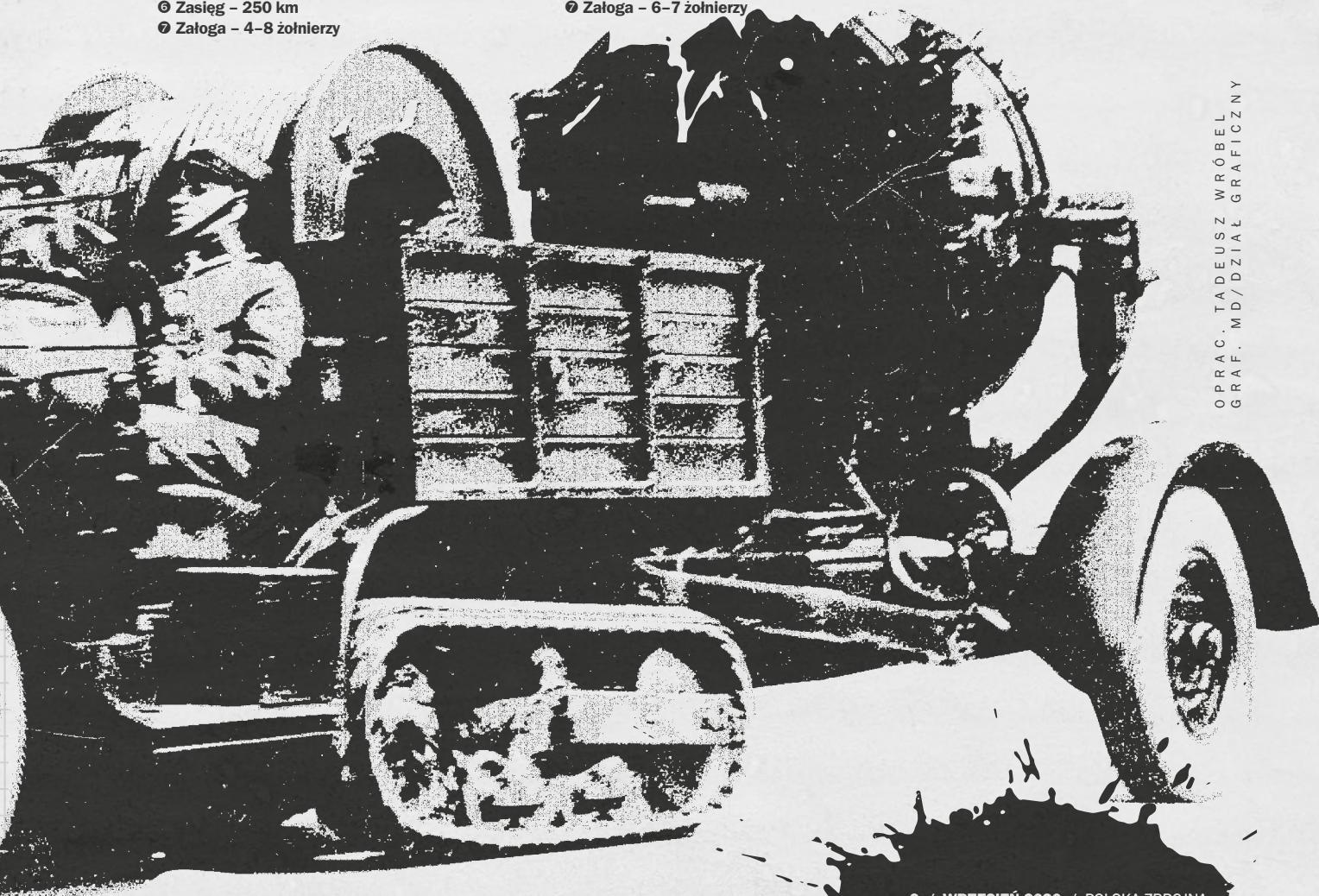


C7P

W pierwszej połowie lat trzydziestych opracowano ciężki ciągnik, w którym wykorzystano elementy czołgu 7TP, m.in. kadłub i silnik. Do wojny wyprodukowano około 150 egzemplarzy, z których 108 dostała artyleria. C7P holował elementy ciężkich moździerzy kalibru 220 mm.

- ❶ Masa – 8500 kg
- ❷ Długość – 4,6 m
- ❸ Szerokość – 2,41 m
- ❹ Wysokość – 2,4 m
- ❺ Prędkość maksymalna – 26 km/h
- ❻ Zasięg – 150 km
- ❼ Załoga – 6–7 żołnierzy

W jednostkach pancernych ciągniki C7P były używane do ewakuacji uszkodzonych czołgów.



OPRAC. TADEUSZ WRÓBEL
GRAF. MD/DZIAŁ GRAFICZNY

STRATEGIE

/ AFRYKA

AWANTURY ETIOPSKIE

Budowa największej na kontynencie afrykańskim tamy dla jednych państw jest nadzieją na rozwój, dla innych zapowiedzią klęski. Czy zaostrzający się spór między Etiopią a Egiptem o dopływ Nilu doprowadzi do otwartego konfliktu? I o co tak naprawdę się toczy, o wodę czy o władzę?

TOMASZ OTŁOWSKI

Zdjęcie opublikowane 27 lipca 2020 roku przedstawia budowę Wielkiej Tamy Etiopskiego Odrodzenia na rzece Nil Błękitny w Gubie. 21 lipca Etiopia stwierdziła, że osiągnęła swój cel w pierwszym roku wznoszenia betonowego kolosa o wysokości 145 m, który stał się przedmiotem napięć z Egiptem i Sudanem.

MO ULRALNY



YIRGA MENGISTU/AFP/EAST NEWS



T

egoroczne lato w wielu regionach świata okazało się wyjątkowo gorące, nie tylko w sensie klimatycznym, lecz także ze względu na rosnącą temperaturę w relacjach między wieloma państwami oraz pogarszanie się sytuacji w sferze bezpieczeństwa międzynarodowego. Pomimo wciąż szalejącej na świecie pandemii koronawirusa rozgorzało wiele nowych sporów i konfliktów międzynarodowych, a te już trwające uległy (często gwałtownemu) zaostrzeniu.

WIELKA TAMA

Miejszem, gdzie dość niespodziewanie dla szerzej opinii publicznej pojawił się kolejny poważny kryzys międzynarodowy, okazała się wschodnia Afryka. To właśnie tam, w Etiopii, dobiegają końca prace budowlane nad jedną z największych inwestycji infrastrukturalnych na kontynencie – Wielką Tamą Etiopskiego Odrodzenia. Obiekt ten, potocznie zwany GERD (Grand Ethiopian Renaissance Dam), powstaje na Nilu Błękitnym, niedaleko granicy z Sudanem. Przedsięwzięcie prowadzone jest już od niemal dekady dzięki tytanicznemu wysiłkowi finansowemu i organizacyjnemu Etiopczyków. Wbrew informacjom pojawiającym się często w światowych mediach GERD nie jest „chińską inwestycją”, jakich faktycznie wiele w ostatnich latach w Afryce, szczególnie wschodniej. Rząd etiopski pokrywa zdecydowaną większość z ponad 5 mld dolarów kosztów budowy, a chińskie konsorcja – dzięki finansowaniu w kredycie przez banki z ChRL – dostarczają jedynie potężne turbiny hydroelektryczne wraz z całą niezbędną infrastrukturą techniczną.

KTOŚ ZYSKA, KTOŚ STRACI

Etiopia ma nadzieję, że dzięki tej gigantycznej inwestycji raz na zawsze rozwiąże problemy z zaopatrzeniem kraju w energię elektryczną, co zapewni temu pogrążonemu w systemowym wręcz kryzysie krajowi trwałe impulsy rozwojowe. Docelowo mogłyby na niej skorzystać zresztą też inne państwa regionu: Sudan, Sudan Południowy i Erytrea. Co więcej, dzięki uregulowaniu kapryśnego Nilu Błękitnego (największego dopływu



TIKSA NEGERI / REUTERS / FORUM



Pod koniec 2019 roku Kairowi udało się wciągnąć w „etiopską awanturę” Stany Zjednoczone. Waszyngton podszedł do próby egipskich przyjaciół niezwykle poważnie, delegując jako mediatora sekretarza skarbu Stevena Mnuchina.

Nilu właściwego) istnieje szansa na rozwój rolnictwa i hodowli (głównie bydła) nie tylko w Etiopii, lecz także w Sudanie. Kolejnym spodziewanym przez Addis Abebę bonusem wynikającym z uregulowania rzeki i zlikwidowania corocznych powodzi ma być radykalne ograniczenie malarii, mającej w tym obszarze Afryki charakter wręcz endemiczny.

Z drugiej jednak strony, budowa tak olbrzymiej tamy na głównym i najbardziej zasobnym w wodę dorzeczu Nilu właściwego może w istotny sposób wpłynąć na zmniejszenie zasobów wodnych w jego dolnym biegu. Tym bardziej że wieloletnia budowa GERD zbiegła się w czasie z coraz szybciej postępującymi zmianami klimatycznymi, które na



Dzięki temu gigantycznemu projektowi Etiopczycy chcą raz na zawsze rozwiązać problemy z zaopatrzeniem w energię elektryczną, co zapewni trwały impuls rozwojowy dla tego pogrążonego w systemowym wręcz kryzysie kraju.

ETIOPIA BUDUJE TAMĘ OD DEKADY, ALE DOPIERO OD KILKUNASTU MIESIĘCY INWESTYCJA TA JEST SOLĄ W OKU KAIROWI

wschodzie i północy kontynentu afrykańskiego przybierają postać dramatycznie pogłębiających się niedoborów wody. Kiedy przed kilkoma dekadami podejmowano w Addis Abebie pierwsze prace planistyczne nad budową tamy na Nilu Błękitnym i stworzeniem sztucznego zbiornika retencyjnego na pograniczu z Sudanem, sytuacja klimatyczna i hydrologiczna w tej części Czarnego Łądu wyglądała zupełnie inaczej. Obecnie ukończenie Wielkiej Tamy Etiopskiego Odrodzenia może więc sprawić, że w kranach w Egipcie zacznie brakować życiodajnej wody. Dla Egipcjan, którzy właśnie z Nilu czerpią 80–90% swych zasobów wodnych, taka perspektywa jest nie do przyjęcia.

Wschodniej, przed czym od dawna przestrzegali eksperci. Etiopska megainwestycja, nie bez przesady zwana często tamą nowego millenium, od lat wywołuje sprzeciw zarówno Kairu, jak i Chartumu. Dyplomatyczne rozmowy, spotkania, kolejne rokowania toczyły się i kończyły bez większych efektów, a w tym czasie budowa tamy systematycznie, choć powoli, posuwała się do przodu. Kiedy wiosną tego roku Addis Abeba ogłosiła, że pierwsze częściowe napełnienie zbiornika retencyjnego odbędzie się w lipcu, Kair i Chartum wpadły w furję.

I tu właśnie zaczyna się zarzewie obecnego konfliktu politycznego, a potencjalnie – być może powód do otwartej wojny o wodę w Afryce



Wtedy też – na wniosek Egiptu, wsparty przez Sudan – sprawą budowy tamy na Nilu Błękitnym zajęła się Rada Bezpieczeństwa ONZ. Specjalne posiedzenie tego gremium w kwestii GERD odbyło się 29 czerwca bieżącego roku i stało się wówczas jasne, że problem etiopskiej inwestycji przestał mieć wyłącznie lokalny charakter. Mało który regionalny spór tego typu pomiędzy dwoma lub trzema państwami trafia bowiem tak szybko pod obrady najważniejszego na świecie forum międzynarodowej dyplomacji wielostronnej. Podczas wideokonferencji Rady jej członkowie wezwali Etiopię, Egipt i Sudan do podjęcia wzmożonych negocjacji pod auspicjami Unii Afrykańskiej. Choć nie zostało to wyrażone wprost w stanowisku Rady, wypowiedzi przedstawicieli jej poszczególnych państw członkowskich (zwłaszcza wielkich mocarstw) jasno sugerowały, że oczekują od Etiopii zaniechania planów napełniania zbiornika do czasu wypracowania porozumienia z Egiptem i Sudanem, co oznacza faktyczne wstrzymanie prac nad inwestycją. Nie trudno się dziwić, że taka ewentualność nie jest na poważnie brana pod uwagę przez Etiopczyków. Na obecnym etapie budowy nie da się już zatrzymać. Dotyczy to także procesu napełniania zbiornika, co dzieje się niejako samoistnie. Wraz z nadejściem pory deszczowej w lipcu woda opadowa w naturalny sposób zebrała się w basenie zbiornika tamy, napełniając go – według różnych źródeł – w 20–40%.

ODRZUCONE POROZUMIENIE

Stare porzekadło mówi, że jeśli nie wiadomo o co chodzi, to z pewnością musi chodzić o pieniądze (a czasem też władzę i wpływy). I tak chyba rzeczywiście jest w przypadku sporu o etiopską tamę na Nilu Błękitnym. Etiopia buduje ten obiekt od dekad, ale dopiero od kilkunastu miesięcy inwestycja ta jest solą w oku Kairowi, który wcześniej nie przykładał się zbytnio do tego, aby zapobiec zagrożeniu dla swej sytuacji hydrologicznej. Obecnie Egipt dwoi się i troi, żeby storpedować budowę tamy. Egipcjanie dosłownie poruszyli niebo i ziemię, aby zwrócić uwagę możliwych tego świata i międzynarodowej opinii publicznej na zagrożenia (także o charakterze ekologicznym) ze strony GERD. U schyłku 2019 roku Kairowi udało się wciągnąć w „etiopską awanturę” swego sojusznika i sponsora – Stany Zjednoczone. Waszyngton, zaabsorbowany dziesiątkami innych spraw i konfliktów na całym świecie, podszedł do prośby egipskich przyjaciół niezwykle poważnie, delegując jako mediatora



Budowa tak olbrzymiej tamy na głównym i najbardziej zasobnym w wodę dorzeczu Nilu właściwego może w poważny sposób wpłynąć na zmniejszenie zasobów wodnych w dolnym biegu tej królowej afrykańskich rzek. Tym bardziej że wieloletnia budowa GERD zbiegła się w czasie z postępującymi zmianami klimatycznymi, które na wschodzie i północy kontynentu afrykańskiego przybierają postać dramatycznie pogłębiających się niedoborów wody.

sekretarza skarbu Stevena Mnuchina. Po czterech miesiącach negocjacji udało mu się w lutym 2020 roku doprowadzić do porozumienia, które jednak w ostatniej chwili zostało odrzucone przez Etiopię. Addis Abeba oskarżyła USA o faworyzowanie w rozmowach pozycji Egipcjan. Kairowi nie pozostało już nic innego, jak przedłożyć sprawę GERD na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ. Większość ekspertów jest jednak zgodna, że to nagłe umiędzynarodowienie sporu wokół etiopskiej tamy było błędem Kairu, doprowadziło bowiem do usztywnienia stanowiska Addis Abeby i zmniejszyło szanse na kompromis. Tym bardziej że ostatnie miesiące to także okres poważnego zaostrzenia sytuacji politycznej w Etiopii.

ŚMIERĆ I POLITYKA

Gdy 29 czerwca Rada Bezpieczeństwa ONZ spotykała się wirtualnie w Nowym Jorku w celu omówienia sprawy budowy GERD, w Addis Abebie



W czerwcu w skrytobójczym zamachu zginął Hachalu Hundessa, popularny etiopski piosenkarz i ikona walki o prawa ludu Oromo. Niemal natychmiast wywołało to krwawe zamieszki w całym kraju. Egipt zaprzeczył, jakoby przyczynił się do śmierci etiopskiego artysty.

SELESZI BEKELE, ETIOPSKI MINISTER DO SPRAW WODY, IRYGACJI I ENERGII, NIE MA WĄT- PLIWOŚCI, ŻE ZA NAGŁY I NIESPO- DZIEWANY WYBUCH NIEPOKOJÓW W ETIOPII ODPOWIADA EGIPT, CHCĄCY ZA WSZELKĄ CENĘ OPÓŹNIĆ URUCHOMIENIE TAMY

w skrytobójczym zamachu śmierć poniósł Hachalu Hundessa. Ten popularny etiopski piosenkarz i ikona walki o prawa dyskryminowanego od lat ludu Oromo, najliczniejszej grupy etnicznej kraju, został zastrzelony przez „nieznanych sprawców” w centrum stolicy. Niemal natychmiast wywołało to masowe demonstracje i krwawe zamieszki w całym kraju, a stan chaosu spotęgowała działalność gangów i grup przestępczych rabujących sklepy, banki i dzielnice klasy średniej. Po dwóch dniach zamieszek na ulice stolicy i innych dużych miast wyprowadzono wojsko, które miało wesprzeć służby bezpieczeństwa i ustabilizować sytuację. Te zdecydowane działania sił i służb porządkowych, a także zablokowanie internetu i fala aresztowań wśród działaczy Oromo stanowiły jednak katalizator dla dalszego rozwoju konfliktu. Premier Etiopii Abiy Ahmed Ali oskarżył na początku lipca tego roku oromskich separatystów o doprowadzenie do poważnej sytuacji kryzysowej, i to w czasie, gdy kraj zmaga się z zagrożeniem, którym jest pandemia koronawirusa (z tego powodu przełożono wybory parlamentarne zaplanowane na sierpień) oraz presją państw ościennych w związku z budową Tamy Odrodzenia. Seleszi Bekele – minister do spraw wody, irygacji i energii w rządzie etiopskim – był już mniej subtelny i wprost powiązał zaostrzenie sytuacji wewnętrznej w kraju z budową GERD. Według niego nie ma wątpliwości, że za nagły i niespodziewany wybuch niepokojów w Etiopii odpowiada właśnie Egipt, chcący za wszelką cenę opóźnić uruchomienie tamy.

STRATEGIA TWARDEJ RĘKI

Nie da się w obiektywny sposób ustalić, czy te oskarżenia zawierają choć ziarno prawdy. Nie brak jednak opinii, że Egipcjanie dążą do eskalacji konfliktu, a być może wręcz do otwar-

tej konfrontacji zbrojnej z Etiopią. Umiedzyznarodowienie sporu miałoby stanowić element szerszej strategii Kairu, obliczonej na zbudowanie odpowiedniej narracji i przygotowanie gruntu pod ewentualne działania militarne. Ten ostatni scenariusz musiałby mieć jednak wyjątkowo skomplikowany przebieg, jako że terytoria obu państw nie graniczą ze sobą – oddziela je około tysiąca kilometrów obszaru Sudanu. Teoretycznie, uwzględniając potencjał militarny Egiptu, mógłby on się pokusić o przeprowadzenie – przy pomocy Chartumu i regionalnych sojuszników – precyzyjnej operacji powietrznej wymierzonej w etiopską tamę, dążąc do jej zniszczenia lub uszkodzenia. Akcja taka byłaby jednak niezwykle skomplikowana z militarnego punktu widzenia, a jeszcze bardziej karkołomna pod względem politycznym. Sprawę należy więc traktować przede wszystkim w kategoriach propagandowego przeżenienia mięśni przez autorytarny reżim w Kairze niż realnego planowania. W dobie pandemicznego chaosu i zamieszania w stosunkach międzynarodowych żaden gracz o ponadlokalnych ambicjach – a do takich bez wątpienia należy Egipt – nie może sobie pozwolić choćby na cień podejrzenia o słabość i wahanie się w obliczu wyzwań dla bezpieczeństwa kraju i jego narodowych interesów. W przypadku Kairu, osłabionego przez załamanie światowej turystyki i kryzys ekonomiczny, oznacza to więc nie tylko konieczność znacznego zaostrzenia stanowiska wobec Etiopii (i coraz bardziej skłonnego do kompromisu z nią Sudanu), lecz także zdecydowanych reakcji na działania innych rywali, np. Turcji na Morzu Śródziemnym i w Libii. Problem w tym, że obustronne zaostrzanie retoryki i eskalacja sporu może jednak bardzo łatwo wymknąć się spod kontroli. A historia pełna jest przykładów wojen, o których każdy wiedział, że przecież nigdy nie wybuchną. ■



KRAJ NAD PRZEPAŚCIĄ

W Libanie pogłębia się kryzys ekonomiczny, polityczny oraz społeczny. W tak trudnym środowisku eksplozja w bejruckim porcie może wyzwolić reakcję łańcuchową.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Jedno z nagrań, które zaraz po eksplozji trafiły do internetu, ukazuje pannę młodą pozującą do sesji ślubnej. W pewnym momencie fala uderzeniowa niemal zwała kobietę z nóg. Wokół latają elementy zabudowań, słysząc krzyki ludzi. W ciągu kilku sekund klimatyczna

przyportowa uliczka zamienia się w pobojuwisko.

WYBUCHOWY ŁADUNEK

Israa Seblani, bohaterka opisanego filmu, odniosła niewielkie obrażenia. Niestety, nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Według oficjalnych danych,

w wyniku eksplozji, która wstrząsnęła Bejrutem 4 sierpnia 2020 roku, zginęło co najmniej 220 osób, ponad 6 tys. zostało rannych, a 300 tys. straciło dach nad głową. O sile wybuchu, którego moc szacowana jest na 1000–1500 t trotylu (10 razy mniej niż bomba zrzucona na Hiroszimę), świadczą



Libańscy demonstranci, rozwścieczeni niedawną eksplozją, podczas starć z siłami bezpieczeństwa w pobliżu parlamentu w centrum Bejrutu. 10 sierpnia 2020 roku

OD KILKU LAT WŁADZE LIBANU PRÓBUJĄ POWSTRZYMAĆ KRAJ PRZED UPADKIEM, ALE DOTYCHCZASOWE DZIAŁANIA OKAZAŁY SIĘ BEZSKUTECZNE

JOSEPH EID/AFP/EAST NEWS

zniszczenia w samym porcie. W strefie zero powstał krater o średnicy 140 m i głębokości 40 m, a większość statków została wyrzucona z wody na betonowe nabrzeże. Zarazem fala uderzeniowa była tak mocna, że nawet w leżącym 9 km dalej międzynarodowym porcie lotniczym Rafic Hariri powybiła wszystkie szyby.

Początkowo sądzono, że ta tragedia jest efektem zniszczenia jednego ze składów amunicji Hezbollahu. Szybko okazało się, że za jednym z największych nienuklearnych wybuchów w historii ludzkości stoi 2750 t azota-

nu amonu. Ten związek chemiczny z grupy saetr, który wykorzystuje się najczęściej jako nawóz mineralny oraz w produkcji materiałów wybuchowych, od 2013 roku był składowany w portowym magazynie. Substancja trafiła tam w wyniku zajęcia ładunku statku MV „Rhosus”, należącego do rosyjskiego przedsiębiorcy. Jednostka przewoziła saetrę z Gruzji do Mozambiku, ale w wyniku problemów finansowych oraz technicznych musiała przerwać rejs i zawinąć do portu w Bejrucie. Właściciel nie zdołał uiścić opłat postojowych, dlatego

statek został aresztowany, a jego ładunek skonfiskowany. Według służb portowych wielokrotnie sugerowano, że by niebezpieczną substancję przekazać wojsku, jednak ruch ten był niemożliwy z powodu braku prawomocnego wyroku. Sprawa toczyła się przez ponad siedem lat, aż do feralnego dnia, w którym najprawdopodobniej grupa spawaczy doprowadziła do tragicznego w skutkach pożaru.

Eksplozja w Bejrucie to nie tylko setki tysięcy poszkodowanych, lecz także wielomiesięczny paraliż stolicy Libanu. Według wstępnych obliczeń



koszty odbudowy mogą sięgać nawet 15 mld dolarów, co stanowi około 1/4 PKB tego kraju. Zaraz po eksplozji rząd Libanu zapowiedział uruchomienie 66 mln dolarów środków pomocowych, ale nie próbowano nawet ukrywać, że pieniędzy na odbudowę po prostu nie ma. Brakuje ich także na doraźną pomoc humanitarną, przy czym obecna sytuacja może być jedynie zapowiedzią znacznie większej tragedii. Według Światowej Organizacji Zdrowia lokalna, i tak już ekstremalnie przeciążona służba zdrowia w wyniku eksplozji straciła trzy duże szpitale, a kolejne trzy mogą funkcjonować jedynie w ograniczonym zakresie. W praktyce to ponad 500 łóżek mniej. Jednocześnie z 55 różnego rodzaju miejskich placówek medycznych połowa została zniszczona.

Nad Libanem wisi także widmo głodu. Niemal 80% zboża trafia tam drogą morską, przede wszystkim przez port w Bejrucie. Analizy Światowego Programu Żywnościowego wskazują, że w najbliższych tygodniach dojdzie do ekstremalnego skoku cen, który obejmie przede wszystkim dobra podstawowe. Organizacja zapowiedziała przekazanie 50 tys. t żywności (dostarczono już 20 tys. t), ale katastrofie może zapobiec jedynie szybka odbudowa portu. Nadzieję budzą informacje o stanie doku dla kontenerowców. Stwierdzone uszkodzenia pozwalają na przywrócenie jego częściowego funkcjonowania w ciągu najbliższych tygodni. Działania te są jednak jedynie kroplą w morzu potrzeb.

NIEUDOLNOŚĆ WŁADZY

To nie jest pierwsza tego typu eksplozja. Do podobnych katastrof doszło w 1921 roku w Niemczech, w 1947 roku w Stanach Zjednoczonych oraz niespełna pięć lat temu w Chinach. Azotan amonu został także użyty podczas zamachu bombowego w Oklahomie. Każde z tych zdarzeń kosztowało życie setki osób,

a dla kolejnych tysięcy było olbrzymim dramatem. Konsekwencje sierpniowej eksplozji mogą być jeszcze poważniejsze.

Liban od wielu lat jest zagrożony w głębokim kryzysie ekonomicznym, politycznym oraz społecznym. Według aktualnych danych ponad 30% lokalnej ludności żyje poniżej relatywnej granicy ubóstwa (kwota równa 50% średnich miesięcznych wydatków gospodarstw domowych), a bezrobocie szacuje się na poziomie 25%. Brakuje nie tylko żywności, lecz także leków, wody oraz energii elektrycznej. Warto przy tym dodać, że Liban oficjalnie przyjął 1,5 mln uchodźców z Syrii, co stanowi niemal 25% ludności kraju. Jednocześnie zajmuje niechlubne trzecie miejsce (po Japonii i Grecji) wśród krajów z najgorszym stosunkiem długu publicznego do krajowego produktu brutto, a ponad połowa budżetu przeznaczona jest na pokrycie zobowiązań. Niestety, w wyniku trwającej pandemii zapaść ta cały czas się pogłębia.

Od kilku lat władze Libanu próbują powstrzymać kraj przed upadkiem, ale dotychczasowe działania okazały się bezskuteczne. W październiku 2019 roku próba podwyższenia podatków za ropę, zboże oraz telefoniczne połączenia internetowe doprowadziła do masowych protestów oraz, w efekcie, dymisji rządu Sada al-Haririego. W tym samym czasie wyszło na jaw, że kraj w zasadzie utracił wszystkie rezerwy dolarowe, a libański bank centralny działa na zasadzie piramidy finansowej. Żeby utrzymać stosunek funta libańskiego do dolara i tym samym zapewnić niezbędne rezerwy, instytucja pożyczala dolary od banków komercyjnych w zamian za odsetki wyższe niż rynkowe. W efekcie dewaluacja przekracza 80%, a pań-



Bezpośrednim następstwem eksplozji jest kolejna fala protestów oraz niemal natychmiastowa dymisja rządu premiera Hassana Diaba (na zdjęciu), który sprawował swoją funkcję od grudnia 2019 roku.



stwo nie jest w stanie spłacać zaciągniętych długów. Sytuacji nie poprawia także coraz gorsza kondycja regionów, do których Libańczycy migrują w celach zarobkowych. Praca zagranicą, głównie w Arabii Saudyjskiej, przynosi około 20% lokalnego PKB. Przy trwającym kryzysie ekonomicznym wartość ta ulegnie jednak drastycznemu zmniejszeniu.

Za finansową zapaścią kraju stoją przede wszystkim wewnętrzne układy polityczne oraz korupcja, która upośledza jego funkcjonowanie na wszystkich płaszczyznach. Według ostatniego raportu Transparency International, niezależnej organizacji badającej takie praktyki, Liban jest jednym z najbardziej skorumpowanych państw świata i zajmuje 137. miejsce (na 180) w indeksie przejrzystości finansów. Wynika to m.in. z niewydolnego systemu władzy, który z założenia ma dzielić ją pomiędzy lokalne grupy religijne i zapobiec konfliktom. Niestety, w ten sposób stworzono środowisko sprzyjające zabezpieczaniu własnych stref



ENES CANLI/ANADOLU AGENCY/EAST NEWS

LIBAN OD WIELU LAT JEST POGRAŻONY W GŁĘBOKIM KRYZYSIE EKONOMICZNYM, POLITYCZNYM ORAZ SPOŁECZNYM. WEDŁUG AKTUALNYCH DANYCH PONAD 30% LOKALNEJ LUDNOŚCI ŻYJE PONIŻEJ RELATYWNEJ GRANICY UBÓSTWA

wpływów. Polityczna przepychanka przekłada się także na funkcjonowanie służb, co uwydatniły m.in. zeszłoroczne pożary lasów w południowej części Libanu. Według lokalnej opinii publicznej eksplozja w porcie jest również następstwem nieudolności rządu.

JAK ROZWIĄZAĆ KRYZYS

Pomimo wewnętrznych układów i zależności, społeczność międzynarodowa stara się sprostać bieżącym potrzebom Libanu. W tej dziedzinie inicjatywę przejęła Francja. Prezydent Emmanuel Macron jako pierwszy

z zagranicznych przywódców dotarł do zniszczonego Bejrutu. Podczas wizyty nie tylko zapowiedział pomoc sięgającą setek milionów dolarów (na szczycie zorganizowanym przez niego darczyńcy przekazali kwotę o łącznej wartości 297 mln dolarów), lecz także wezwał do przeprowadzenia międzynarodowego śledztwa oraz gruntownych reform wewnętrznych.

To właśnie namacalne zmiany, w tym audyt libańskiego banku centralnego, w oczach Francuzów mają być przepustką do odbudowy Libanu. W pomoc humanitarną zaangażowały

się również Wielka Brytania i Polska (na miejscu działania prowadzą takie organizacje, jak Polska Misja Medyczna oraz Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej). W gronie państw oferujących natychmiastowe wsparcie jest także Arabia Saudyjska, z którą Liban od 2019 roku prowadzi spór dyplomatyczny, oraz Izrael.

Tymczasem bezpośrednim następstwem eksplozji jest kolejna fala protestów oraz niemal natychmiastowa dymisja rządu premiera Hassana Diaba, który sprawował swoją funkcję raptem od grudnia 2019 roku. W publicznym przemówieniu polityk wprost stwierdził, że przegrał z panującym systemem. Libańczycy wypominają mu jednak nie tylko to, że rząd nie zrealizował zapowiedzianych obietnic o uruchomieniu programu mającego odbudować rezerwy walutowe i wyprowadzić kraj z kryzysu, lecz także jego pierwszą reakcję na wieść o wybuchu – szukał winnych wśród zarządców portu. De facto jest to jedno z najbardziej skorumpowanych środowisk w Bejrucie, ale zarazem od ponad siedmiu lat próbowało ono przeciwdziałać niebezpieczeństwu.

Wszystko wskazuje jednak na to, że ta decyzja nie uspokoi protestujących oraz nie rozwiąże politycznego kryzysu. Już teraz wiadomo, że dwa największe lokalne ugrupowania polityczne, Ruch Amal oraz Hezbollah, są przeciwnie zorganizowaniu przyspieszonych wyborów. W takiej sytuacji nowy rząd musi zostać wyłoniony przez parlament, co może trwać wiele miesięcy. Nie ma także jednoznacznego następcy Hassana Diaba. W kuluarach mówi się, że po raz kolejny może być nim Sad al-Hariri. Pojawia się także postać Nawafa Salama, zasłużonego dyplomaty i sędziego, który według obywateli Libanu ma czystą kartę. Niezależnie jednak od tego, kto stanie na czele rządu, będzie musiał zmierzyć się z tym samym środowiskiem i z tymi samymi problemami. ■

Atak piratów
w Zatoce
Gwinejskiej

PIRACI NA HORYZONCIE

**Zatoka Gwinejska zyskała niechlubne miano
światowego centrum piractwa morskiego.**

ROBERT CZULDA

Międzynarodowej opinii publicznej przez długie lata z piractwem morskim kojarzyła się przede wszystkim Somalia. W szczytowym, jeśli chodzi o tego typu aktywność, 2011 roku zanotowano tam 237 incydentów. Zmuszone sytuacją niektóre państwa posłały – także pod egidą NATO (operacja „Ocean Shield”) i Unii Europejskiej („Atalanta”) – w rejon Rogu Afryki okręty wojenne, aby osłaniały statki handlowe przepływające przez niebezpieczne wody. Z drugiej strony, wsparcie lokalnej ludności przez różnorodne organizacje pomocowe sprawiło, że łatwiejszy stał się dostęp do pracy, chociażby w rybołówstwie. Dzięki takim wysiłkom udało się wyrugować piractwo w regionie. W 2019 roku nie zanotowano tam ani jednego rozboju.

W tym samym czasie doszło do wyraźnego wzrostu liczby zgłaszanych incydentów niemal na tym samym równoleżniku, w otwartej zatoce Oceanu Atlantyckiego – Zatoce Gwinejskiej, z Liberią i Wybrzeżem Kości Słoniowej na północnym zachodzie oraz Gabonem, Kongiem i Angolą na południowym wschodzie. Nie brak

jednak głosów, że ten wzrost jest pozorny. „Media dopiero niedawno zaczęły interesować się tym obszarem”, stwierdził w wywiadzie Cyrus Mody, zastępca dyrektora Międzynarodowego Biura Morskiego (International Maritime Bureau – IMB). „W odniesieniu do Zatoki Gwinejskiej około 50–60% wszystkich raportów w ogóle nie jest zgłaszana. Piractwo kwitnie tam od lat”.

Problem z określeniem faktycznej skali zjawiska wynika również z tego, że do większości incydentów dochodzi w portach i na wodach terytorialnych, co jest klasyfikowane jako rozbój. Wówczas takie akty nie znajdują się w statystykach związanych z piractwem. Dotyczy to chociażby licznych przykładów kradzieży ze statków ropy naftowej, która później trafia na czarny rynek. Takie rabunkowe ataki przeważały w poprzednich latach, jednak gdy cena surowca drastycznie spadła, przestępcy zmienili taktykę i – podobnie jak wcześniej w Somalii – postawili na porwania dla okupu. Często dochodzi do nich na wodach międzynarodowych, jako że piraci dysponują szybkimi łodziami. Z dostępnych, aczkolwiek niepełnych danych wynika, że w 2019



CYRUS MODY, zastępca dyrektora Międzynarodowego Biura Morskiego: „W odniesieniu do Zatoki Gwinejskiej około 50–60% wszystkich raportów w ogóle nie jest zgłaszana. Piractwo kwitnie tam od lat”.

roku aż 90% wszystkich porwań na morzu miało miejsce właśnie w tym regionie. Do niewoli wzięto 121 osób, podczas gdy w 2018 roku takich uprowadzeń zanotowano 78. Do lipca 2020 roku zarejestrowano już 78 przypadków.

NIGERYJSKI MATECZNIK

W 2019 roku około 60% wszystkich odnotowanych incydentów wydarzyło się na nigeryjskich wodach terytorialnych, głównie w rejonie delty Nigru, który jest afrykańskim liderem w wydobywaniu ropy naftowej. Do ataków na morzu dochodzi również u wybrzeży Gabonu, Ghany, Beninu, Kamerunu i Konga. Na przykład podczas jednego z takich incydentów w marcu 2020 roku niedaleko Gabonu porwano siedmiu marynarzy z kontenerowca „Talia F”. W kwietniu podobny los spotkał dziewięciu Gruzinów z tankowca „Vemahope”, a w lipcu – pięciu Chińczyków z frachtowca „Kota Budi” niedaleko Beninu i dziewięciu Nigeryjczyków z zaopatrzeniowca „Sendje Berge” w pobliżu Nigerii.

Duża aktywność piratów w Nigerii może dziwić, ponieważ to nie jest państwo upadłe. Pomimo licznych problemów wewnętrznych ma rząd oraz siły bezpieczeństwa, podczas gdy Somalia od lat boryka się z zapaścią instytucji państwowych, co ułatwiło piratom tworzenie licznych baz na wybrzeżu. Wspomniana delta Nigru to jednak duży i biedny obszar, co umożliwia przestępcom ukrycie się przed nieefektywnymi służbami państwa.

Uważa się, chociaż nie ma co do tego pewności, że większość nigeryjskich piratów należy do lokalnych zbrojnych grup separatystycznych, takich jak MEND (Movement for the Emancipation of the Niger Delta) i NDA (Niger Delta Avengers). Dla nich ataki na miejscowy przemysł energetyczny mają dwa cele: zarobek ze sprzedaży skradzionej ropy naftowej oraz okresowa redukcja produkcji surowca poprzez niszczenie infrastruktury podczas ataków. Traci na tym rząd Nigerii, czyli wróg miejscowych separatystów. Ci stawiają żądania poprawy swojego losu, udziału w zyskach ze sprzedaży ropy oraz ograniczenia polityki eksploatacji, prowadzącej do dewastacji środowiska naturalnego, w której wyniku miejscowi nie mogą ani uprawiać roli, ani trudnić się połowem. Z czasem nigeryjskie organizacje znalazły naśladowców w innych państwach Zatoki Gwinejskiej. Dla nich jednak przede wszystkim liczą się kwestie finansowe, a nie polityczne.

WSPÓLNE WYSIŁKI

Co do działań międzynarodowych, to próżno szukać operacji podobnych do unijnej misji „Atalanta” i natowskiej „Ocean Shield” w rejonie Somalii, które zapewniały przepływającym statkom bezpieczeństwo oraz odstraszały piratów. Wynika to z prozaicznego powodu – Zatoka Gwi-

nejska nie jest aż tak istotna dla mocarstw. Znajduje się daleko od głównych szlaków handlowych, podczas gdy Somalia leży tuż przy morskiej autostradzie łączącej Europę, Bliski Wschód i Azję. W tej sytuacji armatorzy oraz obecne w regionie międzynarodowe firmy energetyczne musieli wziąć sprawy w swoje ręce i zatrudnili prywatne firmy ochroniarskie.

Inna sprawa, że o ile wody Zatoki Adeńskiej są w dużym stopniu międzynarodowe, co daje mocarstwu prawo do zwalczania piractwa, o tyle w Zatoce Gwinejskiej mamy do czynienia z wodami terytorialnymi, chronionymi przez poszczególne państwa. Niemniej jednak poczyniono już pewne starania na rzecz umiędzynarodowienia wysiłków antypirackich.

Od 2016 roku Unia Europejska utrzymuje inicjatywę GoGIN (The Gulf of Guinea Inter-regional Network), która objęła wsparciem 19 państw zrzeszonych w ramach Wspólnoty Gospodarczej Państw Afryki Środkowej (Economic Community of Central African States – ECCAS), Wspólnoty Gospodarczej Państw Afryki Zachodniej (Economic Community of West African States – ECOWAS) oraz Komisji Zatoki Gwinejskiej (Gulf of Guinea Commission – GGC). Jej celem jest wymiana informacji, doświadczeń i wsparcie aktywnych działań antypirackich.

W 2013 roku powstała też regionalna platforma koordynująca walkę z rozbojem morskim – grupa G7++FOGG (Friends of Gulf of Guinea Group), której działania wspierają liczne państwa Europy, Stany Zjednoczone, Kanada i Brazylia. Są w nie zaangażowane również Biuro Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości (United Nations Office on Drugs and Crime – UNDOC) oraz Interpol, zajmujące się wspieraniem regionu w implementacji postanowień, m.in. ze szczytu państw regionu z kameruńskiej stolicy Jaunde z czerwca 2013 roku.

Utworzono też, m.in. dzięki pieniądzą Amerykanów, regionalne ośrodki koordynacji działań morskich, a także ustanowiono morskie strefy – w razie ataku kapitan jednostki wie, kto za nią odpowiada i jakie państwo ma powiadomić o incydencie. Oprócz tego od 2010 roku są organizowane morskie ćwiczenia państw afrykańskich pod przewodnictwem amerykańskiej VI Floty. Niestety tegoroczna edycja „Obangame Express” została odwołana z powodu pandemii.

Główny ciężar zwalczania piractwa spada teraz na państwa regionu, które w miarę swoich możliwości inwestują w straż przybrzeżną i marynarkę wojenną. Niemniej jednak nie potrafią w pełni sprostać problemowi – chodzi o likwidację nie tylko skutków tego zjawiska, lecz także jego przyczyn, a więc biedy i braku szans na inny sposób zarabkowania. Bez wyraźnego i długofalowego wsparcia międzynarodowego powtórzenie niewątpliwego sukcesu antypirackiego z Somalii nie będzie możliwe. ■

Cienie nad Doliną Jordanu

W aneksji Zachodniego Brzegu przez wojska izraelskie przeszkodziła pandemia koronawirusa.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

To jeden z najdłuższych konfliktów współczesnego świata. Rozpoczął się pod koniec lat czterdziestych ubiegłego stulecia, gdy Organizacja Narodów Zjednoczonych podzieliła Palestynę na dwie części, i trwa do dziś. Nic nie wskazuje na to, by w realnej perspektywie został rozwiązany, choć w zażegnanie izraelsko-palestyńskiego sporu o ziemię angażują się sąsiedzi, kraje Półwyspu Arabskiego, Unii Europejskiej, Stany Zjednoczone, Rosja oraz ONZ. Ostatnią propozycją na rozwiązanie tego problemu jest pomysł prezydenta Donalda Trumpa, nazwany przez publicystów – na wyrost zresztą – planem stulecia.

SPORNE TERYTORIUM

W latach 1948–1949 arabscy sąsiedzi Palestyńczyków (Egipt, Jordania, Liban, Syria i Irak) próbowali zbrojnie zablokować powstanie państwa żydowskiego. Izrael odparł ten atak, a linia zawieszenia broni stała się de facto granicą tego kraju. Do kolejnej wojny doszło w 1967 roku. Tym razem wojska izraelskie zaatakowały przewencyjnie arabskich sąsiadów. Tel Awiw opanował wówczas m.in. ziemię aż do rzeki Jordan. Zajętych terytoriów nie opuścił do dziś, mimo że wezwała go do tego w rezolucji nr 242 Rada Bezpieczeństwa ONZ.

Przez lata rząd w Tel Awiwie zezwalał Izraelczykom osiedlać się na Zachodnim Brzegu Jordanu. Według IV konwencji genewskiej takie postępowanie jest nielegalne, gdyż na tereny okupowane nie można przenosić własnych obywateli. Dla Izraelczyków to jednak ich ziemia biblijna, na której znajdują się święte miejsca judaizmu. Dziś liczbę żydowskich osadników na tych terenach szacuje się na ponad 460 tys. Stanowią oni poniżej 20% populacji. Mieszkają w blisko 250 osiedlach, często odgradzonych murami.

Plan Trumpa uznaje żydowskie osiedla zbudowane na ziemiach palestyńskich za część Izraela. Przewiduje zajęcie 30% Zachodniego Brzegu, czyli terenów praktycznie wszystkich osiedli żydowskich graniczących z Izraelem,

oraz całej Doliny Jordanu. Problem w tym, że to w tym miejscu Palestyńczycy chcą stworzyć swoje państwo. Tymczasem mieliby dostać od Żydów część pustyni Negew. Powstałoby państwo ze stolicą na arabskich przedmieściach Jerozolimy. Jego poszatowane terytorium połączyłaby sieć tuneli i mostów, a między Zachodnim Brzegiem a Gazą zostałoby zbudowane podziemne połączenie. Byłby to jednak dziwny twór. Kraj ten na przykład nie mógłby mieć własnej armii ani nie kontrolowałby własnej przestrzeni powietrznej. O palestyńskich inwestycjach w strefie przygranicznej decydowałby Izrael.

Plan Trumpa przewiduje również, że Palestyńczycy mieliby otrzymać 50 mld dolarów na rozwój regionalny, ale musieliby spełnić kilka warunków: nie wspierać finansowo więźniów palestyńskich skazanych za działalność terrorystyczną w Izraelu ani ich rodzin, wycofać z sądów międzynarodowych sprawy przeciw Tel Awiwowi-Jafie, a także uznać Izrael jako państwo żydowskie. Propozycje te zostały odrzucone nie tylko przez Palestyńczyków, lecz także przez Jordanię, Arabię Saudyjską i Egipt, które miały zainvestować miliardy w palestyńską gospodarkę.

Autonomia Palestyńska uznała ten plan za kolejne wsparcie izraelskiego rządu przez amerykańską administrację. Wcześniej prezydent Trump wstrzymał finansowanie Agencji ONZ do spraw Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie, zamknął biura Organizacji Wyzwolenia Palestyny w Waszyngtonie, a w 2017 roku przeniósł amerykańską ambasadę do Jerozolimy i uznał to miasto za stolicę Izraela.

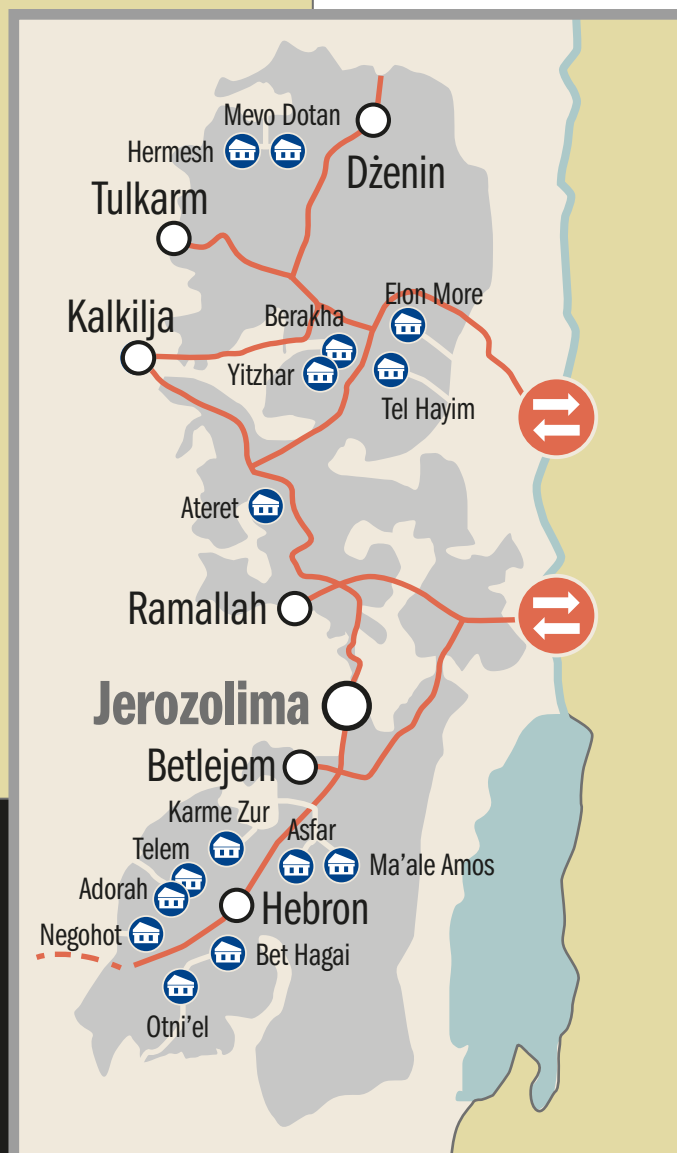
BRAK ZGODY W KOALICJI

Aneksja części terenów na Zachodnim Brzegu Jordanu jest jednym z punktów umowy koalicyjnej, którą po wielomiesięcznym kryzysie politycznym wiosną 2020 roku zawarło osiem izraelskich ugrupowań. Najważniejsze z nich →

PAŃSTWO PALESTYŃSKIE WEDŁUG PLANU DONALDA TRUMPA



Plan amerykańskiego prezydenta uznaje żydowskie osiedla zbudowane na ziemiach palestyńskich za część Izraela. Przewiduje zajęcie 30% Zachodniego Brzegu, czyli terenów praktycznie wszystkich osiedli żydowskich graniczących z Izraelem, oraz całej Doliny Jordanu.



to dwie partie: Likud premiera Beniamina Netanjahu oraz Biało-Niebiescy, na których czele stoi minister obrony Benjamin Ganc. Plany rządu musi zaaprobować Kneset, ale nie byłoby z tym problemu, bo koalicja ma w nim stabilną większość. Nie doszło jednak do tego, gdyż przed koalicyjnymi rozmowami w sprawie aneksji osiedli i Doliny Jordanu minister Ganc stwierdził, że teraz pilniejszą kwestią jest pandemia koronawirusa.

W samej koalicji zresztą nie ma pełnej zgodności co do szczegółów dotyczących aneksji. Przywódca Biało-Niebieskich zwracał na przykład uwagę na koszty obrony izolowanych osiedli żydowskich na zajętym terenie. Zresztą problemy z tym związane przewidują także wojskowi, m.in. szef izraelskiego Sztabu Generalnego. Zabezpieczenie nowej granicy państwowej, przebiegającej wokół palestyńskich i izraelskich osiedli mieszkaniowych, byłoby trudne, gdyż należałoby się liczyć z protestami zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie. Zresztą już sama zapowiedź aneksji wywołała palestyńskie ataki na siły izraelskie na Zachodnim Brzegu Jordanu.

Minister Ganc dopuszcza zajęcie Doliny Jordanu, ale nie w formie jednostronnej aneksji. Opowiada się za podjęciem negocjacji z Palestyńczykami. Takie stanowisko członka rządu oznacza zgrzyt w koalicji, gdyż odbiega od tego, do czego dąży premier Netanjahu. Zresztą nie tylko to ich różni. Izraelski sąd najwyższy orzekł, że ustawa z 2017 roku, która pozwalała na legalizację osiedli żydowskich zbudowanych „w dobrej wierze” na prywatnych ziemiach palestyńskich, jest sprzeczna z normami prawnymi wyższego rzędu. Minister Ganc zapowiedział, że respektuje ten wyrok, premier Netanjahu nie wyraził zgody. Jednostronna aneksja, do której zdaje się przychylić premier Netanjahu, byłaby zatem sprzeczna z umową koalicyjną. Można się spodziewać, że wprowadzenie jej w życie oznaczałoby upadek obecnego rządu.

EFEKT DOMINA

Długa jest lista protestujących przeciwko planom premiera Netanjahu. Pojawiają się nawet głosy, że oskarżany o korupcję szef rządu chce odwrócić od siebie uwagę opinii publicznej oraz przejść do historii jako ten, który doprowadził do izraelskiej suwerenności nad osiedlami. To, co premier uważa za swoją polityczną spuściznę, Liga Państw Arabskich określiła mianem zbrodni wojennej. Zbrojne skrzydło Hamasu ostrzegło zaś, że aneksja terytoriów Zachodniego Brzegu Jordanu byłaby wypowiedzeniem wojny Palestyńczykom. Mogłoby wtedy dojść do wybuchu kolejnej intifady – palestyńskiego powstania. Tego zresztą obawia się Jordania, która protestuje przeciwko aneksji w obawie, że w star-

ZDANIEM CZĘŚCI OBSERWATORÓW POLITYKA IZRAELA MA CHARAKTER NEO- KOLONIALNY, A ZAJĘ- CIE WSKAZANYCH W PLANIE TRUMPA TERENÓW MOŻE NAWET ROZPOCZĄĆ NOWĄ WOJNĘ NA BLISKIM WSCHODZIE

ciach wzięliby udział jej obywatele pochodzenia palestyńskiego, a do kraju dotarłaby kolejna fala uchodźców.

Szefowie dyplomacji Niemiec – Heiko Maas, Francji – Jean-Yves Le Drian, Egiptu – Samih Hasan Szukri oraz Jordanii – Ajman as-Safadi ostrzegli Izrael przed konsekwencjami aneksji terytoriów palestyńskich, która stanowi, jak stwierdzili, naruszenie prawa międzynarodowego. Ministrowie zapowiedzieli, że ich państwa nie uznają zmian granic z 1967 roku, których nie zaakceptują zarówno Żydzi, jak i Palestyńczycy. Zaapelowali o powrót do negocjacji, gdyż – jak podkreślili – konflikt izraelsko-palestyński może zostać rozwiązany tylko według modelu dwupań-

stwowego, opartego na prawie międzynarodowym i rezolucjach ONZ. Aneksji sprzeciwiają się też Chiny, zainteresowane inwestycjami w regionie, oraz Rosja, będąca jednym z najważniejszych partnerów Palestyny. Jednostronną aneksję krytykuje również wielu amerykańskich senatorów z partii Demokratów oraz Joe Biden, kandydat tego ugrupowania w wyborach prezydenckich.

CO PO ANEKSJI?

Obserwatorzy bliskowschodniego procesu pokojowego są podzieleni, jeśli chodzi o ocenę wydarzeń z ostatnich miesięcy. Jedni uważają, że Palestyńczykom nie należą się ziemie na Zachodnim Brzegu, inni twierdzą, że polityka Izraela ma charakter neokolonialny i ostrzegają, że zajęcie tych terenów może nawet rozpocząć nową wojnę na Bliskim Wschodzie. Jeszcze nie wiadomo, na jaki wariant realizacji planu Trumpa zdecyduje się rząd premiera Netanjahu. Jak dotąd, Izrael nie wykonał żadnego ruchu, ale nic nie wskazuje na to, aby zrezygnował ze swoich planów. Trudno dziś przesądzać, kiedy dojdzie do aneksji. Najpierw szef izraelskiego rządu musi zażegnać spory w koalicji, a także wziąć pod uwagę stanowisko amerykańskiej dyplomacji, która z powodu problemów wewnętrznych w Stanach Zjednoczonych poprosiła Izrael o spowolnienie prac nad aneksją.

Nie wiadomo także, które osiedla zostaną zajęte. Prawdopodobnie tylko te leżące w pobliżu zielonej linii (ustalona w 1949 roku w porozumieniach o zawieszeniu broni między Izraelem a Jordanią, Egiptem, Libanem i Syrią). Tam znajdują się największe skupiska izraelskiej ludności, a osadnicy na tych terenach popierają wprowadzenie w życie planu prezydenta Trumpa. Więcej znaków zapytania pojawia się w kwestii osiedli w Dolinie Jordanu.

O rezygnację z planów aneksji zaapelował do władz Izraela sekretarz generalny ONZ António Guterres, który ostrzegł: „Jeśli zostanie wprowadzona w życie, będzie pogwałceniem prawa międzynarodowego. Pogrzebie też szanse na rozwiązanie dwupaństwowe konfliktu bliskowschodniego i utrudni wznowienie negocjacji”.



Żołnierz armeński na posterunku obserwacyjnym w północno-wschodniej części granicy między Armenią i Azerbejdżanem. Lipiec 2020 roku

Ruchome granice

Niepokój budzą walki, które rozgorzały na granicy azersko-ormiańskiej. Tłący się od trzech dekad konflikt może zamienić się w kolejną wojnę zastępczą.

ROBERT SENDEK

Właściwie nie do końca wiadomo, jak to się wszystko zaczęło. Według azerbejdżańskiego ministerstwa obrony to Ormianie złamali warunki zawieszenia broni i 12 lipca 2020 roku po południu rozpoczęli ostrzał artyleryjski pozycji azerskich. Armeńskie służby prasowe twierdzą z kolei, że winni całej sytuacji są żołnierze drugiej strony, którzy tego dnia samochodem UAZ przekroczyli granicę państwową. Podobno zostali ostrzeżeni, więc porzucili pojazd i wrócili na swoje pozycje, potem zaś pod osłoną ognia artyleryjskiego podjęli próbę zajęcia armeńskiego posterunku granicznego.

Bez względu na to, kto rozpoczął ostrzał, jedno jest pewne: na linii granicznej między Armenią (w prowincji Tawusz) i Azerbejdżanem (rejon Towuz) doszło do starć, zresztą nie pierwszy już raz. Ich konsekwencją była kilkudniowa wymiana ognia, w której wyniku po obu stronach

zginęło kilkudziesięciu żołnierzy. Wśród ofiar znaleźli się wysocy rangą oficerowie z Azerbejdżanu, gen. Polad Hasimov oraz płk Ilgar Mirzayev, a po stronie ormiańskiej zginęli m.in. major, kapitan i dwóch sierżantów.

PODGRZEWANIE KONFLIKTU

To kolejna odłona nierozwiązanego od ćwierćwiecza ormiańsko-azerskiego konfliktu, który wybuchł z wielką mocą, gdy rozpadał się Związek Sowiecki. Doszło wówczas do kilkuletniej wojny – w jej wyniku Azerbejdżan stracił niemal jedną piątą swego terytorium, jego armia poszła w rozsypkę, a ze zdominowanego przez Ormian Karabachu uciekło ponad 700 tys. Azerów. Na utraconych przez Azerbejdżan terenach powstała Republika Górskiego Karabachu – rządzone przez Ormian, faktycznie niepodległe i samodzielne państwo, nieuznawane jednak na forum międzynarodowym.

ARMENIA I AZERBEJDŻAN od ćwierćwiecza pozostają de facto w stanie wojny: nie utrzymują stosunków dyplomatycznych, nie prowadzą ze sobą handlu ani nie nawiązują żadnej innej współpracy.



Podobnych punktów zapalnych jest na terenie byłego Związku Sowieckiego więcej: Naddniestrze, Abchazja, Osetia Południowa czy nawet republiki „ludowe” na wschodzie Ukrainy. Mocno komplikują one sytuację wewnętrzną poszczególnych państw (Mołdawii, Gruzji, Ukrainy, Armenii i Azerbejdżanu), ale dla Rosji stanowią dogodny instrument kontroli niepokornych i pretekst do utrzymywania swoich wpływów. Wydaje się, że wśród wszystkich tych ognisk zapalnych sprawa Górskiego Karabachu ma – ze względu na kontekst międzynarodowy – największy potencjał, by zamienić się w pełnowymiarowy konflikt wojenny.

ĆWIERĆ WIEKU NA MINIE

Powodem jest ciągły stan napięcia między Armenią i Azerbejdżanem. Wojny o Górski Karabach nie zakończyły porozumienie pokojowe, lecz jedynie zawieszenie broni, zawarte w maju 1994 roku. O tym, jak jest ono kruche, świadczą fakty. Otóż w ciągu minionej ćwierćwiecza na linii granicznej między Armenią i Górskim Karabachem a Azerbejdżanem nieustannie dochodziło do wymiany ognia. Strzelaniny sporadycznie przeradzały się w większe potyczki. Ostatni poważniejszy incydent odnotowano w maju 2018 roku – wówczas w kilkudniowym ostrzale zginęło dwóch żołnierzy z obu krajów. W kwietniu 2016 roku doszło nawet do tzw. wojny czterodniowej, podczas której Azerom udało się zająć skrawek terenów utraconych w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Odbłyło się to jednak sporym kosztem, więc ostatecznie po czterech dniach znów weszło w życie zawieszenie broni.

To wszystko wynika z tego, że Armenia i Azerbejdżan od ćwierćwiecza pozostają de facto w stanie wojny: nie utrzymują stosunków dyplomatycznych, nie prowadzą ze sobą handlu ani nie nawiązują żadnej innej współpracy. Granica między nimi pozostaje zamknięta na całej długości. Zresztą, to właśnie ona stanowi jeden z głównych problemów. Linie wytyczone na mapach w wielu punktach znacząco odbiegają od stanu faktycznego. Nominalnie będą tak, jak te z czasów republik związkowych, gdy istniał ZSRS. To jednak teoria, bo podczas wojny obie strony przesuwają swoje posterunki graniczne w głąb terytorium przeciwnika. Odrębną sprawą jest granica między Republiką Górskiego Karabachu (lub Arcachu, jak nieuznawane państwo nazywają Ormianie) a Azerbejdżanem – to po prostu dawna linia frontu, która nie ma żadnego związku z podziałem z czasów sowieckich.

Zawieszenie broni z 1994 roku wprowadziło przerwało bezpośrednie działania wojenne, ale nie rozwiązało żadnego z istotnych problemów Górskiego Karabachu ani zaangażowanych w konflikt Armenii i Azerbejdżanu. W efekcie o pretekst do wznowienia działań bojowych jest bardzo łatwo: wystarczy, jeśli np. żołnierze przeciwnika wejdą na teren, który druga strona uznaje – na podstawie starych map – za swój.

Wprowadzi obydwie zainteresowane strony oficjalnie prowadzą dialog w sprawie unormowania kwestii Górskiego Karabachu, ale spotkania na forum tzw. grupy mińskiej Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie od lat nie przynoszą żadnego przełomu. W ostatnim czasie z powodu pandemii ko-



Żołnierz z Azerbejdżanu maluje twarz podczas symulowanej okupacji miasta w trakcie natowskich ćwiczeń „Saber Junction”.

DWA BIEGUNY WSPARCIA

Azerbejdżan, dzięki sporym dochodom z eksportu ropy naftowej, w ostatnich latach mocno inwestował w swoją armię – w sprzęt i szkolenia. Odbывало się wiele ćwiczeń, także we współpracy z wojskami natowskimi, głównie turecki-

mi. Z kolei atutem Ormian jest ścisła współpraca z Rosją. Jej znakiem jest rozlokowana w mieście Giumri na północy kraju 102 Rosyjska Baza Wojskowa. To właśnie Rosjanie są również najważniejszym dostawcą sprzętu dla Armenii. ■

ronawirusa odbywały się jedynie wideokonferencje ministrów spraw zagranicznych obu państw. Żadna ze stron nie przywiązuje zresztą do nich wielkiej wagi. Wzajemnych pretensji jest zbyt wiele, by dało się ten problem rozwiązać w sposób, który satysfakcjonowałby wszystkich.

W obu społeczeństwach jest ciągle żywa pamięć o pogromach, śmierci i wypędzeniach, a rachunek krzywd regularnie uzupełniają nowe ofiary wciąż nierozwiązanego konfliktu. Powstaje w ten sposób stan swoistego klinczu, z którym nie bardzo wiadomo, co zrobić. Ormianie domagają się uznania Górskiego Karabachu, Azerowie zaś bezwzględnie żądają wycofania wojsk ormiańskich z zajętych terenów – to z kolei sprowadza się do likwidacji Arcachu. I tak koło się zamyka.

CHCEMY WALCZYĆ W KARABACHU

Na wieść o lipcowych starciach w kilku miastach Azerbejdżanu doszło do ulicznych manifestacji. Największa miała

WOJNY O GÓRSKI KARABACH NIE ZAKOŃCZYŁO POROZUMIENIE POKOJOWE, DOSZŁO JEDYNNIE DO ZAWIESZENIA BRONI



Prezydent Armenii NIKOL PASZINIAN: „Jeśli spojrzymy na to, jaką politykę prowadzi Turcja w Syrii, w stosunkach z Grecją, co robi w Libii czy Iraku, to okazuje się, że staje się ona zagrożeniem dla globalnej stabilizacji i bezpieczeństwa”.

miejsce w stołecznym Baku: demonstrację zwołano pod hasłem poparcia dla azerskich wojsk. Skandowano hasła patriotyczne, wymachiwano niebiesko-czerwono-zielonymi flagami, ale szybko nastroje uległy radykalizacji: demonstranci zażądali wznowienia wojny z Armenią oraz odzyskania Górskiego Karabachu. Pojawiły się nawet hasła, by rozdać broń manifestantom, którzy mogliby ruszyć do walki za ojczyznę.

Komentując to patriotyczne wzmożenie, prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew ironicznie zauważył, że na ulicach tysiące osób domaga się wojny, a do komisji wojskowych zgłaszają się tylko jednostki: „W tych dniach do obwodowych komisji wojskowych zgłosiło się około 150 osób, z tego 60 z obwodu Towuz, gdzie toczą się działania wojenne. I to dzieje się teraz, gdy w centrum Baku gromadziły się tysiące. Dlatego mówię, że

wszyscy, którzy wczoraj skandowali: »Chcemy walczyć w Karabachu«, powinni złożyć swoje podania do państwowej służby mobilizacyjnej”. Alijew zaznaczył jednocześnie, że armia ma pełne stany osobowe i jest dobrze wyposażona w nowoczesną broń.

OGNISSKO NIEPEWNOŚCI

Nic więc dziwnego, że na wieść o wypadkach lipcowych zareagował prezydent Władimir Putin, oferując gotowość pośredniczenia w rozmowach między zwaśnionymi stronami. Moskwa, jako była metropolia obu niepodległych republik zakaukaskich, wciąż ma w regionie znaczne wpływy, z czym liczą się i Ormianie, i Azerowie. Równocześnie jednak Rosjanie ogłosili sprawdzenie gotowości bojowej okręgów wojskowych Federacji Rosyjskiej, Południowego i Zachodniego. Najpewniej wynika to z braku pewności, w jakim kierunku rozwiną się wydarzenia.

Zainteresowana konfliktem między Armenią i Azerbejdżanem jest również Turcja, najbliższy dziś sojusznik Azerbejdżanu. Na wieść o starciach prezydent Recep Tayyip Erdoğan ogłosił: „Turcja zdecydowanie potępia ataki Armenii na przyjazny i braterski Azerbejdżan”. Zapowiedział również, że jego kraj będzie zdecydowanie występował przeciwko jakimkolwiek naruszeniom prawa oraz pretensjom terytorialnym. Szybko doszło również do manifestacji siły: na przełomie lipca i sierpnia na poligonach w samym Azerbejdżanie oraz na terenie Nachiczewanu (azerska eksklawa, wciśnięta między Armenię i Turcję) odbyły się wspólne ćwiczenia azersko-tureckie z wykorzystaniem ciężkiego sprzętu. Pojawiły się plotki, że być może dojdzie do prowokacji, która stanie się pretekstem do wojny.

Zaangażowanie potężnych sąsiadów w ormiańsko-azerski spór może go mocno rozdmuchać. Dlatego wielu obserwatorów obawia się eskalacji żądań i dalszego wzrostu napięcia. Ostrzegali przed tym również prezydent Armenii Nikol Pashinyan, który o mieszanie się w nie swoje sprawy oskarżył Ankarę: „Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że w tym regionie może zacząć się globalny konflikt. Jeśli spojrzymy na to, jaką politykę prowadzi Turcja w Syrii, w stosunkach z Grecją, co robi w Libii czy Iraku, to okazuje się, że staje się ona zagrożeniem dla globalnej stabilizacji i bezpieczeństwa”. Działan wojennych nie wyklucza również strona azerska. Poład Bülbüloğlu, ambasador Azerbejdżanu w Moskwie, zaznaczył, że dopóki obce wojska znajdują się na terenie jego państwa, konflikty i spory będą się powtarzały. A to może przynieść wojnę na pełną skalę. ■



Klasyka w modzie

**Wojska lądowe we Francji
odtworzą zdolności niezbędne
w konfliktach zbrojnych,
w których stronami są państwa,
a przeciwnikami regularne
armie.**

T A D E U S Z W R Ó B E L

Francja odchodzi od przyjętego po zimnej wojnie modelu armii opartego na przekonaniu, że wraz z rozpadem Związku Sowieckiego znikło zagrożenie klasycznym konfliktem militarnym, a wojsku przyjdzie mierzyć się z niestabilnością polityczną w byłych afrykańskich posiadłościach kolonialnych, a zatem zwalczać rebeliantów lub terrorystów. Przykładem takich działań jest interwencja francuska przeciwko malijskim dżihadystom w latach 2013–2014 i będąca jej kontynuacją operacja „Barkhane” w regionie Sahelu.

NOWA RZECZYWISTOŚĆ

Rosyjska agresja na Ukrainie oraz asertywność militarna Chin sprawiają jednak, że wojskowi z NATO, w tym francuscy, od kilku lat zaczynają uwzględniać możliwość wybuchu wielkiego konfliktu zbrojnego. „Musimy ponownie nauczyć się prowadzenia działań wojennych o wysokiej intensywności”, stwierdził 17 czerwca 2020 roku szef sztabu francuskich wojsk lądowych gen. Thierry Burkhard podczas wystąpienia przed Komisją Obrony Narodowej i Sił Zbrojnych Zgromadzenia Narodowego. W jego

GET MILITARY PHOTOS / SHUTTERSTOCK

ocenie nawet niewielki incydent może spowodować gwałtowną eskalację napięć. Dlatego zamierza przygotować żołnierzy wojsk lądowych do udziału w klasycznych dużych wojnach.

Burkhard przedstawił parlamentarzystom swoją strategiczną wizję, w której wyznaczył kierunki rozwoju francuskich wojsk lądowych w perspektywie 15 lat. Celem jest odbudowanie zdolności sił lądowych Francji do uczestnictwa w konfliktach symetrycznych, w których stronami są konkretne państwa. Oznacza to konieczność podniesienia poziomu gotowości operacyjnej wojsk lądowych. Przedstawiona strategia obejmuje cztery dziedziny: zasoby ludzkie, zdolności operacyjne wojsk, szkolenie i sferę zabezpieczenia codziennego funkcjonowania jednostek wojskowych, służących w nich żołnierzy i ich bliskich.

Liczebność francuskich wojsk lądowych po zakończeniu zimnej wojny zmniejszyła się wskutek wielu redukcji, w tym związanych z uzawodowieniem, z 296 tys. w 1989 roku do obecnych 115 tys. żołnierzy. 77 tys. z nich służy w komponencie operacyjnym, w którym są dwie dywizje z sześcioma brygadami bojowymi. Istnieją jeszcze brygada francusko-niemiecka oraz dowództwa szczebla dywizji, m.in. dla jednostek rozpoznawczych, specjalnych, logistycznych, lotniczych i łączności. Nic nie wskazuje na to, by była wola polityczna znaczącego zwiększenia liczby żołnierzy. Dlatego według Burkharda najważniejsza jest ich jakość i, jak twierdzi, trzeba zacząć od podstaw, czyli zadbać o to, by do wojska trafiali najlepsi z kandydatów. Mają się wyróżniać poczuciem obowiązku, etyką na wysokim poziomie, zdyscyplinowaniem i nienagannym zachowaniem.

MODELOWANIE ŻOŁNIERZA

Aby armia mogła znaleźć wśród Francuzów takich ochotników do służby, należy zacząć kształtować postawy obywatelskie i propaństwowe wśród młodych ludzi. Konieczność tę dostrzegli już politycy, którzy zdecydowali o powołaniu obowiązkowej służby narodowej, obejmującej Francuzów obu płci w wieku 16–25 lat. Jednym z zadań armii ma być edukowanie ich w kwestiach związanych z obronnością. Nie oznacza to jednak przywrócenia zasadniczej służby wojskowej. Raczej jest to połączenie przysposobienia obronnego z wychowaniem obywatelskim.

Pewnego rodzaju zachętą do służby w wojsku mają być dobre wynagrodzenia oraz warunki socjalne. Dlatego przewiduje się podjęcie działań opiekuńczo-charytatywnych. Powstanie struktura, dzięki której żołnierze i ich rodziny w razie potrzeby będą mieli zapewnione wsparcie wojska. Takie działania mają sprzyjać budowaniu wewnętrznej solidarności środowiska.

Dowództwu armii francuskiej zależy również na lepszym wykorzystaniu 24-tysięcznej rezerwy operacyjnej. W jej szeregach powinni się znaleźć mieszkańcy miast i wsi ze wszystkich regionów kraju, reprezentujący różne grupy społeczne i zawodowe, a przy zawieraniu pierwszego kontraktu wojsko ma uwzględniać wykonywany przez kandydata zawód, wykształcenie i miejsce zamieszkania. Rezerwiści powinni mieć większą autonomię, żeby wykonywali swoje zadania na terytorium Francji – odciążając tym samym żołnierzy służby czynnej – ale też poza jej granicami.

ODROBIONA LEKCJA

Przykładanie tak dużej wagi do kwestii ludzkich świadczy o tym, że francuscy politycy i dowódcy wyciągnęli wnioski z historii. Słabe morale uchodzi bowiem za jedną z przyczyn upokarzającej porażki w starciu z Niemcami w 1940 roku. Tymczasem we współczesnej Francji można zauważyć silne podziały wewnątrz społeczeństwa. Eksperci ostrzegają, że mogą one osłabić w ludziach nie tylko chęć budowania wspólnej przyszłości, lecz także, w razie zagrożenia militarnego, wolę do zdecydowanej obrony państwa.

Równie ważne jak morale żołnierzy jest ich wyszkolenie. Wojsko według nowych zasad ma ćwiczyć w zróżnicowanych warunkach, a scenariusze szkoleń powinny uwzględniać specyfikę poszczególnych jednostek wojskowych. Zmiana charakteru potencjalnych przyszłych konfliktów powoduje, że znaczenie odzyskują duże związki taktyczne, jak dywizje, z których we Francji przez pewien czas po zimnej wojnie całkowicie zrezygnowano. Teraz ich dowództwa mają być przygotowane do połączenia pod swą komendą komponentów z innych rodzajów francuskich sił zbrojnych, a także sojusznich. Wszystko po to, by zwiększyć interoperacyjność armii.

Dlatego pojawiły się zapowiedzi przywrócenia szkoleń polygonowych na szczeblu dywizji



Gen. THIERRY BURKHARD, szef sztabu francuskich wojsk lądowych: „Moją ambicją jest, by Francja posiadała zahartowaną armię, gotową stawić czoła najtrudniejszym wstrząsom i zdolną do zwycięstwa”.





CHRISTOPHE ENA/EAST NEWS

W STRATEGII OBRONNEJ FRANCJI KLUCZOWE ZNACZENIE W PROWADZENIU DZIAŁAŃ ODSTRASZAJĄCYCH MA BROŃ NUKLEARNA. MOŻE ZATEM ZOSTANIE W ARMII ODBUDOWANY KOMPONENT, KTÓRY ISTNIAŁ JESZCZE W LATACH DZIEWIĘĆDZIESIĄTYCH UBIEGŁEGO STULECIA

z udziałem kilkunastu tysięcy wojskowych. Dowództwa tych związków taktycznych będą ćwiczyć działania manewrowe, które może przyjąć im wykonywać w konflikcie o wysokiej intensywności. Na potrzeby działań asymetrycznych w ćwiczeniach poligonowych brało udział co najwyżej kilka tysięcy wojskowych i dowództwa brygad.

SIŁA RAŻENIA

Przekonanie o braku zagrożenia wojną między państwami i nastawienie na konflikty asymetryczne spowodowało, że drastycznie zredukowano w armii liczbę kluczowych systemów uzbrojenia: czołgów, dział oraz wyrzutni przeciwlotniczych i artylerii raketowej. Cięż nie uniknęła flota śmigłowców. Co więcej, siły lądowe utraciły swój komponent atomowy. Samo zaś morale i wyszkolenie żołnierzy nie wystarczą do odniesienia zwycięstwa. Aby armia francuska w przyszłości była zdolna do prowadzenia działań lądowo-powietrznych podczas konfliktów o dużej intensywności, potrzebne są m.in. nowe czołgi podstawowe, nowoczesna artyleria.

Dlatego tak ważna jest modernizacja techniczna, która na szczęście trwa już od jakiegoś czasu. Najważniejszym z programów zbrojeniowych jest „Scorpion”, dzięki któremu do żołnierzy trafią nowoczesne kołowe pojazdy pancerne. Wojskowi mają już do dyspozycji pierwsze wielozadaniowe wozy Griffon, ale docelowo zostanie zamówionych ich ponad 2 tys. W jednostkach piechoty zastępują one stare transportery VAB. Podobna wymiana nastąpi w kawalerii pancernej, gdzie pojazdy bojowo-rozpoznaw-

cze Jaguar będą następcami czołgów na kołach AMX 10 RCR i ERC 90 Sagaie. Ze względu na zmiany generacyjne sprzętu pancernego rozważa się utworzenie nowej szkoły technicznej.

Nowości czekają też lotnictwo wojsk lądowych, gdzie w miejsce śmigłowców SA 330 Puma pojawiają się maszyny NH90 Caiman, a zamiast SA 342 Gazelle – H160M. Do armii francuskiej są też wprowadzane nowe bezzałogowe statki powietrzne.

Część programów zbrojeniowych będzie realizowana we współpracy z sojusznikami. Nowoczesna broń i sprzęt w rękach dobrze wyszkolonych i dowodzonych żołnierzy ma się przyczynić do wzrostu zdolności bojowych armii francuskiej bez potrzeby powiększania jej liczebności. Jej jednostki zyskają bowiem większą mobilność, siłę rażenia oraz świadomość sytuacyjną na polu walki.

KLAMRA STRATEGICZNA

Najważniejszy jest jednak nowy sposób wykorzystania wojsk lądowych na przestrzeni najbliższych 15 lat, i to założenie niejako spina całą koncepcję. Chodzi o dostosowanie ich działania do nowych wyzwań geopolitycznych. Francja, ze względu na globalne interesy i terytoria zamorskie, może być wciągnięta w konflikt w różnych częściach świata. Dlatego tamtejsi wojskowi pilnie śledzą rozwój sytuacji nie tylko w Europie, lecz także w Afryce, Azji i na Pacyfiku. Owa różnorodność potencjalnych teatrów działań sprawia, że – podobnie jak podczas zimnej wojny – francuskie wojska lądowe będą miały nadal duży komponent bojowy wyposażony w pojazdy kołowe. ■

Sankcje nie wystarczą



TRZY PYTANIA DO

Kamila Kłysińskiego

Co takiego stało się teraz na Białorusi, że obywatele tego kraju wyszli na ulice, by zawalczyć o demokrację?

Już w maju i czerwcu podczas kampanii wyborczej było widać, że na Białorusi coś się zaczyna zmieniać, że dyktatura coraz gorzej sobie radzi. Erozję władzy przyspieszyły problemy ekonomiczne. Od lat w kraju rosną ceny, zmniejszają się natomiast zarobki mieszkańców. Do tego doszło zagrożenie COVID-19 oraz arogancja władzy w odpowiedzi na pandemię. Białorusinów oburzyło to, że prezydent Aleksandr Łukaszenka zorganizował 9 maja defiladę i inne masowe imprezy.

Obecne wybory prezydenckie wywołały znacznie większe zainteresowanie obywateli niż poprzednie. Ludzie ustawiali się w wielokilometrowych kolejkach, aby złożyć podpisy na listach poparcia dla oponentów Łukaszenki, ubiegających się o status kandydata. Białorusini chcieli zmian, więc poparli Sviatlana Cichanouską, jako nową twarz opozycji. Represje, jakie po wyborach zastosowała władza wobec swoich obywateli, były bez precedensu w historii tego kraju. Nie chcę epatować opisem okrucieństwa służb, choć wielu obserwatorów uważa, że znacznie przewyższało ono tortury, jakie podczas II wojny światowej stosowało wobec białoruskiej ludności gestapo czy SS.

W jakim stopniu, o ile w ogóle, Władimir Putin pozwoli Białorusi iść własną drogą?

Putin nie chce własnej drogi dla Białorusi. Takiego rozwiązania nie chciałby żaden przywódca neoimperialnej Rosji walczącej o utrzymanie strefy wpływów. Mińsk i Moskwę łączy wojskowy sojusz. Putin robi wszystko, aby Białoruś za bardzo nie oddalała się od Federacji Rosyjskiej, gdyż byłaby to wielka porażka, także wizerunkowa. Kreml zakładał, że Łukaszenka wygra te wybory, tak jak każde poprzednie po 1994 roku.

Putin liczył na korzystny dla Rosji scenariusz, według którego oburzony represjami władz wobec mieszkańców Zachód zerwie dialog z Mińskiem. Nikt jednak nie przewidział skali wydarzeń. Do protestującej w miastach inteligencji dołączyli na masową skalę robotnicy. To rzecz bez precedensu. Doszło do społecznego buntu, który zagraża Łukaszence i może doprowadzić kraj do chaosu. Tym bardziej że brakuje centrum koordynacyjnego, które sterowałoby protestami. Nie ma też charyzmatycznego lidera, którego ludzie by słuchali, bo Cichanouska nie ma politycznego doświadczenia i jest jedynie symbolem zmian. Kreml może się także obawiać przeniesienia podobnych niepokojów na teren Rosji.

Jakie działania powinien podjąć Zachód, aby skutecznie wesprzeć Białoruś? Same sankcje chyba nie wystarczą.

One są dobre na początek. Zapewne Unia Europejska podejmie decyzję o sankcjach wizowych wobec władz białoruskich odpowiedzialnych za represje. Ekonomiczne natomiast pograżyłyby i tak popadającą w stagnację białoruską gospodarkę. Z Zachodu musi pójść także mocne ostrzeżenie pod adresem Moskwy, aby na Kremlu dwa razy się zastanowili, zanim podejmą decyzję o wprowadzeniu jakichkolwiek sił wojskowych na teren Białorusi. Na razie brak ku temu jednoznacznych przesłanek, krążą jedynie pogłoski, że od strony Smoleńska do granicy zbliżają się wojskowe pojazdy. Sądzę, że Putin i jego doradcy długo będą rozważali wszelkie za i przeciw, zanim podejmą decyzję, w jaki sposób poprzeć Łukaszenkę i czy w ogóle go popierać. ■

KAMIL KŁYSIŃSKI jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich. Od 2007 roku tematem jego zawodowych zainteresowań jest Białoruś.

Rozmawiała MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER.



MOZAMBIK

Islamiści w ofensywie

Kolejna odsłona trwającej od 2017 roku rewolty w prowincji Cabo Delgado.

Członkowie powiązanego ze strukturami tzw. Państwa Islamskiego ugrupowania Ansar al-Sunna zajęli 12 sierpnia 2020 roku miasto Mocímboa da Praia w północnym Mozambiku. Doszło do tego po tygodniu ciężkich walk z wojskami rządowymi. Licząca około 30 tys. mieszkańców miejscowość ma dla gospodarki tego kraju znaczenie strategiczne, w okolicy znajdują się bowiem duże zasoby gazu ziemnego, a francuski koncern petrochemiczny Total buduje w pobliżu infrastrukturę umożliwiającą jego wydobycie.

To kolejna odsłona trwającej od 2017 roku rewolty islami-

stycznej w prowincji Cabo Delgado na północy Mozambiku. Pochłonięła ona dotychczas blisko 1,3 tys. ofiar i zmusiła do ucieczki z terenów objętych walkami około 250 tys. osób. Miasto Mocímboa da Praia od samego początku było celem ataku bojowników z Ansar al-Sunna – to tutaj doszło do pierwszego uderzenia islamiistów. Ataki na miasto również się powtarzały: bojownicy zajmowali Mocímboa da Praia w marcu oraz pod koniec czerwca, gdy siły porządkowe wyparły ich po trzech dniach walk. Tym razem również wojska rządowe ruszyły z natychmiastową ofensywą. ROB ■

LIBIA

Turcja, Katar oraz libijski Rząd Jedności Narodowej zawarły 17 sierpnia porozumienie. Zakłada ono, że Turcja będzie mogła utworzyć bazę morską w porcie Misrata, powstanie tam także trójstronne centrum koordynacyjne.



ALBANIA

Wojsko albańskie dostanie od Amerykanów obserwacyjne bezzałogowce RQ-20B Puma Block AE wraz z oprogramowaniem, częściami zapasowymi i dwuletnim wsparciem logistycznym. Drony, pozyskane dzięki programowi „Foreign Military Sales”, mają dotrzeć do Albanii do 2022 roku. S

WENEZUELA

Nieudany Gedeon

Amerykane skazani za udział w próbie zamachu.

Dwóch Amerykanów wenezuelski sąd skazał na 20 lat więzienia za udział w zbrojnym zamachu stanu przeciwko prezydentowi Nicolásowi Maduro. Obaj skazani są byłymi żołnierzami amerykańskich służb specjalnych, pracującymi dla prywatnej kompanii wojskowej Silvercorp USA.

Wiosną 2020 roku Amerykanie przygotowali operację „Gedeon”, mającą doprowadzić do obalenia obecnego prezydenta, by przekazać władzę opozycji. Próba została jednak udaremniona przez wenezuelskie wojsko. ■

KOREA POŁUDNIOWA

Żelazna Kopuła po koreańsku

Budowa systemu służącego do ochrony przed rakietami Kim Dzong Una.

Seul będzie prowadził prace nad zbudowaniem własnego systemu obrony powietrznej, wzorowanego na izraelskiej Żelaznej Kopule. Tak wynika z informacji, którą w początkach sierpnia przekazał minister obrony Jeong Kyeong-doo, przedstawiając założenia planu obronnego kraju na lata 2021–2025. Według ocen tamtejszego ministerstwa obrony system taki jest niezbędny, ponieważ liczący ponad 10 mln mieszkańców stołeczny Seul znaj-

duje się w odległości zaledwie 40 km od granicy z Koreą Północną. Oznacza to, że miasto leży w zasięgu artylerii lufowej i systemów rakietowych sąsiada. „Mówimy o systemie, który będzie w stanie obronić stolicę i poradzić sobie z wycelowanymi w nią rakietami kalibru 200 i 300 mm”, precyzuje plany resortu obrony.

Korea Południowa w przeszłości kilkakrotnie wyrażała zainteresowanie zakupem Żelaznej Kopuły. Na razie

jednak korzysta z amerykańskich wyrzutni rakiet M270 oraz własnej produkcji systemów K239 Chunmoo i K136 Kooryong. RS ■

ZIV KOREN/EAST NEWS





IZRAEL,
ZJEDNOCZONE EMIRATY ARABSKIE

Umowa Abrahama

Historyczne porozumienie zawarły 13 sierpnia 2020 roku Izrael i ZEA.

Emiraty są pierwszym krajem Półwyspu Arabskiego, który zdecydował się nawiązać pełne stosunki dyplomatyczne z Tel Awiwem-Jafą. W zamian Izraelczycy zobowiązali się zawiesić aneksję części zajmowanych terytoriów palestyńskich. Do tychczas spośród wszystkich krajów

arabskich stosunki dyplomatyczne ułożyły z tym państwem jedynie Egipt (w 1979 roku) oraz Jordania (w 1994 roku).

O porozumieniu Izraela i ZEA jako pierwszy poinformował prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump, który zaznaczył na Twitterze: „To wiel-

ki przełom! Historyczne pokojowe porozumienie między naszymi dwoma wielkimi przyjaciółmi, Izraelem i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi”.

Media nazwały tę umowę „porozumieniem Abrahama”. RSE

Więcej na temat planu aneksji terytorium palestyńskiego przez Izrael na str. 108–110

INDIE

Złe, bo obce

Czarna lista sprzętu, którego Nowe Delhi nie chce importować.

Rząd Indii zamierza intensywnie wspierać rozwój rodzimego przemysłu obronnego. Jednym ze sposobów na zwiększenie zdolności własnych wytwórców ma być utworzenie obszernej, obejmującej 101 pozycji listy wyposażenia



Rajnath Singh,
minister obrony Indii

wojskowego, którego nie będzie można do kraju importować. Jak podało indyjskie ministerstwo obrony, na liście znajdują się zaawansowane technologicznie systemy

uzbrojenia, od karabinów szturmowych i artylerii po samoloty transportowe i lekkie śmigłowce bojowe. Zakaz importu rząd zamierza wprowadzać stopniowo, tak by w 2024 roku embargo objęło wszystkie wskazane w wykazie produkty.

Jak napisał na Twitterze indyjski minister obrony, Rajnath Singh: „To duży krok w kierunku samodzielności w sferze obronności”. SR

GRECJA, TURCJA

O KROK OD WOJNY

Powodem sporu między dwoma krajami są zasoby złóż na Morzu Egejskim.

Do wzrostu napięcia między Turcją a Grecją doszło na przełomie lipca i sierpnia 2020 roku. Media donosiły o tym, że 13 sierpnia grecka fregata „Limnos” staranowała turecki okręt wojenny „Kemal Reis” pływający jako eskorta dla statku „Oruç Reis”, który prowadził podmorskie prace badawcze tuż u wybrzeży tureckich, w okolicach wyspy Kastellorizo.

Ten konflikt ma wymiar europejski: po stronie Grecji – która uznaje podwodne odwierty w pogranicznych

akwenach za nielegalne – opowiada się wielu polityków unijnych. W geście solidarności z tamtejszymi władzami prezydent Francji Emmanuel Macron wysłał na wspólne ćwiczenia wojskowe w okolicach Krety dodatkowo dwa myśliwce i fregatę rakietową „La Fayette”. Kanclerz Niemiec Angela Merkel w rozmowie telefonicznej wezwała prezydenta Turcji Recepa Tayyipa Erdoğana oraz premiera Grecji Kyriakosa Mitsotakisa do dialogu w celu złagodzenia konfliktu. SEND

HISTORIA

/ XX WIEK



Fotografia lotnicza
Warszawy z końca wrze-
śnia 1939 roku, na której wi-
dać zabudowania PZL Okęcie.
M.in. w tym rejonie „spiesz-
ni” lotnicy walczyli z nacie-
rającymi Niemcami.

NOCNI ŁOWCY

Do tego wyjątkowego
oddziału werbowano ochotników
z silną motywacją do walki,
niezwykle odważnych i gotowych do udziału
w każdej akcji. **We wrześniu 1939 roku**
ci żołnierze wykonywali działania
typowe dla sił specjalnych.

MACIEJ NOWAK-KREYER

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



W

rześniowy wieczór w oblężonej Warszawie. Cytadela. Oficer w polowym mundurze lotnictwa rysuje coś patykiem na ziemi. Potem unosi głowę i spogląda na zgromadzonych wokół żołnierzy. Wielu

z nich to, tak jak on, „uziemieni” lotnicy. Wodzi po nich wzrokiem i po chwili zadaje jedno pytanie: kto chce iść na śmierć?

LOTNICY BEZ SKRZYDEŁ

W taki niecodzienny sposób kpt. obs. Antoni Klimas prowadził nabór ochotników do Lotniczego Oddziału Szturmowego – niezwykle walecznej, ale dziś zapomnianej jednostki, która broniła stolicy we wrześniu 1939 roku. Chociaż oddział był złożony głównie z żołnierzy wojsk lotniczych, walczył na ziemi i prowadził działania, które śmiało można określić mianem specjalnych. Powszechnie znane są podniebne dokonania Brygady Pościgowej, która w pierwszym tygodniu września skutecznie broniła Warszawy przed niemieckimi samolotami, ale na zdjęciach z oblężonego miasta można dostrzec wielu żołnierzy w lotniczych mundurach, wykonujących zadania piechoty. Ten widok nie powinien dziwić, bo w broniącej się stolicy znalazło się prawie 2 tys. spieszonych lotników – głównie podchorążych oraz rezerwistów ze służb tyłowych i kompanii balonowych, którzy trafili do Warszawy z armii „Pomorze”. Oficerowie, którzy zostali w mieście po ewakuowaniu się dowództwa lotnictwa, postanowili tę żołnierską masę w jakiś sposób zagospodarować.

Z inicjatywy mjr. obs. Zygmunta Zbrowskiego zaczęto wówczas formować z nich oddziały naziemne. W ten sposób powstały m.in. dwa lotnicze bataliony – pierwszym wzmocniono obronę Mokotowa, drugi wykorzystano jako obserwatorów obrony przeciwlotniczej. Szybko się okazało, że rwący się do walki młodzi żołnierze mieli braki w wyszkoleniu typowym dla piechoty, ale dzięki lotniczemu animuszowi, skłonności do ryzyka oraz niekonwencjonalnym metodom działania świetnie dawali sobie radę w boju.

Oficer rysuje coś patykiem na ziemi. Potem spogląda na zgromadzonych wokół żołnierzy, wodzi po nich wzrokiem i po chwili zadaje jedno pytanie: kto chce iść na śmierć?



Zrodził się zatem pomysł wykorzystania ich do zadań rozpoznawczych i szturmowych. obrońcy Warszawy de facto nie mieli do dyspozycji kawalerii, która zazwyczaj zajmowała się takimi działaniami, dlatego dotkliwie odczuwali brak dobrego rozpoznania sił i zamiarów nieprzyjaciela. Zbrowski zaproponował zatem

SZTURMOWCY UBRANI W CIEMNOSTALOWE POŁOWE MUNDURY I W CZARNYCH BERETACH NOCĄ STAWALI SIĘ PRAWIE NIEWIDOCZNI

Dzięki swojemu lotniczemu animuszowi, skłonności do ryzyka oraz niekonwencjonalnym metodom działania piloci, pozbawieni możliwości powietrznej walki z wrogiem, świetnie sprawdzili się na ziemi jako żołnierze Lotniczego Oddziału Szturmowego. Na zdjęciu załoga samolotu PZL Łoś. Wrzesień 1939 roku

lecz także najśmielszych, nieunikających ryzyka żołnierzy. Nie musiał się ograniczać do lotników. Niemniej jednak wszystkich przyjętych do oddziału z innych wojsk od razu przemundurowywano w uniformy lotnicze. Szturmowcy ubrani w ciemnostalowe połowe mundury i w czarnych beretach nocą stawali się prawie niewidoczni. Wszystkich zwożono do dowództwa lotnictwa przy ulicy Puławskiej, gdzie Lotniczy Oddział Szturmowy miał wyznaczone miejsce stacjonowania. Formowanie zakończyło się 9 września 1939 roku.

Lotniczy Oddział Szturmowy liczył około stu żołnierzy, zorganizowanych w cztery plutony strzeleckie i jeden ciężkich karabinów maszynowych. Dysponował imponującą siłą ognia, ponieważ oprócz karabinków miał kilkanaście karabinów maszynowych, dużo pistoletów i granatów. Do tego wkrótce miały dojść zdobyte na nieprzyjacielu pistolety maszynowe. W trakcie nocnych wypadów ich ulubioną bronią okazały się jednak bagnety. Wyposażeni zostali także w dwa cywilne autokary pracownicze z lotniska Okęcie, dwa samochody terenowe Polski Fiat 508 Łazik oraz dwumiejscowy samochód osobowy marki Simca.

CHRZEST BOJOWY

Na czele szturmowców stanął mjr obs. Zygmunt Zbrowski, a jednym z plutonów dowodził kpt. obs. Antoni Klimas. Obaj jednak stworzyli pewnego rodzaju dowódczy duumvirat. Zadania, które powierzono szturmowcom, były niezwykle wyczerpujące i niebezpieczne, więc żołnierzami dysponowano według zasady: połowa działa, połowa odpoczywa. Tak powstały dwie grupy, którymi na zmianę dowodzili major i kapitan. Rejonem działania, który wyznaczono Lotniczemu Oddziałowi Szturmowemu, było przedpole pozycji zajmowanych przez oddziały mjr. Jacka Decowskiego i prawego skrzydła



utworzenie Lotniczego Oddziału Szturmowego, który działałby na ziemi. Nieduży, za to doskonale wyposażony miał prowadzić rozpoznanie, dywersję na tyłach wroga i skrycie likwidować szczególnie uciążliwe stanowiska niemieckie.

Władze szybko zaakceptowały pomysł majora. Rekrutację w punkcie zbiorczym na warszawskiej Cytadeli poprowadził kpt. obs. Klimas. Miał wybrać nie tylko najsprawniejszych,

zgrupowania ppłk. Leopolda Okulickiego, czyli okolice przedmieść warszawskiej Woli i Babc.

Według zaleceń przełożonych, mjr Zbrowski miał postępować niczym myśliwy polujący na grubego zwierza: najpierw, za dnia, przestudiować uważnie przedpole, wybrać wyraźne punkty orientacyjne i ustalić miejsca zasadzki. Ze względu na skrytość działania musiał pamiętać, żeby uprzedzić miejscowego dowódcę o planowanej akcji, aby uniknąć przypadkowego ostrzelania przez polskie siły.

Chrzest bojowy szturmowców odbył się tuż po sformowaniu, nocą z 9 na 10 września 1939 roku, kiedy oczyścili lotnisko mokotowskie z wdzierających się tam Niemców. Odepchnęli wówczas siły nieprzyjaciela za aleję Żwirki i Wigury i zajęli Fort Mokotów, który w polskich rękach pozostał już do końca oblężenia Warszawy. Po tym sukcesie, 12 września, lotnicy z powodzeniem stoczyli całodzienny bój, gdy ruszyli z odsieczą żołnierzom ppłk. Jakuba Chmury, próbującym odbić zajęte przez Niemców lotnisko na Okęciu.

RAJDY GROZY

Gdy szturmowcy wychodzili na akcję, zabierali ze sobą głównie broń i amunicję, żeby za bardzo nie obciążać się ekwipunkiem. Za każdym razem wyznaczano też kilka osób, które nie brały bezpośredniego udziału w starciach, a jedynie miały obszukiwać rannych i zabitych żołnierzy wroga. Zdobyte w ten sposób niemieckie książeczki wojskowe łączono w pakiety, które nad ranem przekazywano dowództwu obrony konkretnego odcinka stolicy. Umożliwiało to orientowanie się na bieżąco w rodzaju i ruchach jednostek niemieckich.

Chociaż Lotniczy Oddział Szturmowy sam ponosił krwawe straty, to jego rajdy budziły prawdziwą grozę. Zlikwidował m.in. w kwaterze w Kampinosie sztab jednej z jednostek niemieckiej 31 Dywizji Piechoty, we Włochach spalił pojazdy piechoty zmotoryzowanej, a w śmiałym wypadzie z Fortu Blizne zlikwidował pobliską silną placówkę niemiecką (za tę akcję mjr Zbrowski otrzymał Srebrny Krzyż Orderu Virtuti Militari).

Sukcesy Lotniczego Oddziału Szturmowego sprawiły, że zdecydowano się wykorzystać jego żołnierzy w planowanym natarciu z Warszawy, mającym udzielić wsparcia wojskom walczącym nad Bzurą, i włączono w skład wyznaczonego do tego zadania zgrupowania ppłk. Okulickiego. Wtedy oddział



KPT. ANTONI KLIMAS W CZASIE OKUPACJI DZIAŁAŁ W ZWIĄZKU WALKI ZBROJNEJ I ARMII KRAJOWEJ, UCZESTNICZYŁ TEŻ W POWSTANIU WAR- SZAWSKIM

zajął nowe kwatery na Woli – w fabryce lalek, znajdującej się u zbiegu ulic Elekcyjnej i Górczewskiej. Do tego natarcia jednak nie doszło.

NAJCIEŻSZA WALKA

26 września 1939 roku, w trakcie pierwszego niemieckiego generalnego szturm na Warszawę, w ręce nieprzyjaciela trafiła szczęśliwicka parowozownia, znajdująca się w rejonie Dworca Zachodniego. To był ważny strategicznie obiekt, pozwalający kontrolować rejon między Włochami a ulicą Grójecką. Zażarty bój o to miejsce był najcieższą i największą walką Lotniczego Oddziału Szturmowego. Gdy pierwsza próba odbicia parowozowni zakończyła się niepowodzeniem, do drugiej wyznaczono żołnierzy ze zgrupowania ppłk. Okulickiego, m.in. lotniczych szturmowców oraz żołnierzy oddziału pancernego wyposażonego w czołgi 7TP. I jednymi, i drugimi dowodził mjr Zbrowski.

Tak jak zwykle, szturmowcy zostali podzieleni na dwie grupy, z których pierwszą, czołową, dowodził kpt. Klimas. Tym razem jednak w walce miały wziąć udział obie. Mjr Zbrowski póź-

nym popołudniem ruszył z okolic Cmentarza Wolskiego i od północy zaatakował parowozownię.

Chociaż szturmowcy działali w ciągu dnia, czyli w nietypowy dla nich sposób, awangarda dotarła na tyły niemieckie i zlikwidowała gniazdo cekamów. Niestety, po tym sukcesie nastąpiło szybkie załamanie – nieprzyjacielska artyleria przegwoździła resztę Lotniczego Oddziału Szturmowego, a odcięci w parowozowni żołnierze zostali zdziesiątkowani. Ciężko ranny kpt. Klimas z resztą swojej grupy dostał się do niewoli. Ostatecznie strategiczny obiekt odbiła z rąk niemieckich dopiero grupa szturmowa polskiej regularnej piechoty, w kolejnym, już nocnym natarciu. Przy okazji uwolniono pojmionych przez Niemców lotników.

Walki o parowozownię szczęśliwicką zakończyły szlak bojowy lotniczych szturmowców. Pokiereszowani żołnierze trafili do oddziałów odwodowych i tam doczekali aż do kapitulacji stolicy. Zbrowski resztę wojny spędził w niewoli niemieckiej, zmarł w lipcu 1967 roku. Klimas w czasie okupacji działał w Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, uczestniczył też w powstaniu warszawskim. Po wojnie zaś był represjonowany przez komunistyczne władze i w grudniu 1949 roku popełnił samobójstwo. ■

KWARTALNIKBELLONA.COM

K W A R T A L N I K
BELLONA

PISMO NAUKOWE
TRADYCJA POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ
OD 1918 ROKU



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 849 494

WOJSKO
POLSKIE

*Nasza interpretacja –
Wasze źródła*

O świcie 1 września 1939 roku niemieckim atakiem na Polskę rozpoczęła się II wojna światowa. Agresor wtargnął do naszego kraju, nie wypowiadając wojny, czym złamał obowiązujące normy prawa międzynarodowego, w szczególności zapisy konwencji haskiej z 1907 roku. Dwa dni później w konflikt włączyli się zachodni sojusznicy Polski, Francja i Wielka Brytania, ale już w sposób zgodny z konwencjami: przez zadeklarowanie stanu walk, gdy kampania wrześniowa dopiero się rozkręcała, wojnę Niemcom wypowiedział... Nepal. Jak to się stało, że ten niewielki kraj, leżący w Himalajach, wiele tysięcy kilometrów od toczącej się w Polsce wojny, zdecydował się wystąpić przeciwko Hitlerowi?

ŻOŁNIERZE DOSKONALI

Nepal w 1939 roku był blisko związany z imperium brytyjskim. W tę zależność himalajskie królestwo popadło w po-

czątkach XIX wieku, po przegranej wojnie. Był to czas, gdy Brytyjczycy intensywnie penetrowali cały subkontynent indyjski, stopniowo go sobie podporządkowując. Z czasem Indie – ogromne, bogate i ludne – stały się perłą w koronie imperium. Jeśli chodzi o Nepal, ta sytuacja nie była specjalnie uciążliwa: Brytyjczycy żądali przywilejów handlowych, uznania zwierzchnictwa, pozwolili jednak lokalnym władcom, noszącym tytuł maharadży, na zachowanie części władzy. Szybko się przekonali, że Nepal – w odróżnieniu od słynących z rozmaitych skarbów Indii – to kraj mało urodzajny, pozbawiony cennych surowców, w dodatku leżący z dala od głównych tras i szlaków handlowych.

Okazało się jednak, że Nepal może zaoferować Zjednoczonemu Królestwu coś cenniejszego – ludzi. Zamieszkujący ten kraj Gurkhowie wykazywali się cechami typowymi dla górali: trudne warunki życia nie robiły na nich przesadnie wielkiego wrażenia, byli mało wymagający, a przy tym zadziorni, uparci i bardzo wytrzymali, czyli znakomity materiał na żołnierzy.

Maharadża przeciw Hitlerowi

Jednym z pierwszych państw, które przeciwstawiły się Niemcom w 1939 roku, był Nepal. Już 4 września ogłosił stan wojny z nazistowskim krajem.

ROBERT SENDEK

Gurkhowie wzięli udział w wielu kampaniach II wojny światowej, ścierając się z Niemcami m.in. na Bliskim Wschodzie, w Afryce Północnej, we Włoszech. Na zdjęciu walczą w Tunezji w 1943 roku.

Lokalni władcy nie widzieli problemu w tym, by ich młodzi poddani wstępowali do służby wojskowej u Brytyjczyków. Dzięki temu Nepal zyskiwał pieniądze i zainteresowanie imperium, władze zaś pozbyły się nadmiaru młodych mężczyzn, dla których i tak w kraju nie było pracy.

W kolejnych dziesięcioleciach Nepal okazał się zatem dla imperium brytyjskiego prawdziwym rezerwuarem bitnych i odważnych żołnierzy. Chętnie kierowano ich na trudniejsze odcinki. Brytyjskie wyszkolenie, organizacja i dyscyplina, wypracowane w czasie wielu wojen kolonialnych, zachodnia broń strzelecka w połączeniu z zadziornym charakterem Gurkhów i pogardą wobec śmierci dawały w rezultacie doskonałych żołnierzy. Brali oni udział w wielu wojnach kolonialnych, np. w Afganistanie, gdy na przełomie XIX i XX wieku Brytyjczycy próbowali podporządkować sobie ten kraj. Na różnych frontach I wojny światowej, od Francji aż po Bliski Wschód, walczyło ich nawet 100 tys. Zasłynęli z bezkompromisowości, woli walki i odwagi. Ich zawołaniem było „lepiej umrzeć, niż żyć jako tchórz”.

NA WPÓŁ NIEPODLEGŁY

Ogromne zasługi oddane przez Gurkhów koronie brytyjskiej miały swoją wagę. Gdy w 1921 roku do Katmandu przybył następca tronu – książę Edward, rządzący Nepalem maharadża Chandra Shumsher zażądał niezależności. Efektem był podpisany w 1923 roku traktat, w którym oficjalnie uznano niepodległość Nepalu. Przebywający w Katmandu brytyjski

rezydent, który dotychczas narzucał ważniejsze decyzje dotyczące polityki międzynarodowej, stawał się odtąd przedstawicielem dyplomatycznym Londynu, a maharadża zyskiwał wpływ na prowadzenie polityki za-

granicznej własnego kraju. Zatem formalnie rzecz biorąc, Nepal w momencie wybuchu II wojny światowej był suwerennym państwem. Znajdował się więc w zupełnie innej sytuacji niż sąsiednie Indie, będące wówczas posiadłością imperium, zarządzaną przez brytyjską administrację z wicekrólem (gubernatorem) na czele. Faktycznie jednak górzysty kraj pozostawał w orbicie wpływów brytyjskich.

WOJSKA Z DACHU ŚWIATA

Echa wielkiej polityki toczącej się w Europie docierały również pod Himalaje. Przez ambasadora w Londynie szły do Nepalu wieści o anslusie Austrii wiosną 1938 roku, rozmowach pokojowych i układzie monachijskim, zawartym z Hitlerem przez premiera Wielkiej Brytanii Neville’a Chamberlaina we wrześniu 1938 roku. Gdy miesiąc później Niemcy zajęli Kraj Sudetów, coraz wyraźniej było widać, że może dojść do wojny. Już 4 października tegoż roku premier Nepalu Juddha Shumsher w rozmowie z brytyjskim posłem w Katmandu zaoferował swą pomoc, zgłaszając gotowość wysłania do Indii jednostek Gurkhów.

Gdy pod koniec sierpnia 1939 roku Wielka Brytania podpisywała z Polską układ sojuszniczy, było jasne, że wojna to już



I M W





Maharadża (premier) Chandra Shumsher z żoną i dziećmi



Podczas bitwy o Bolonię Polacy i Gurkhowie przekraczają rzekę Idice na moście Bailey'a. Pierwszy jedzie transporter opancerzony Universal Carrier, a za nim samochody Willys MB. 20 kwietnia 1945 roku



Gurkhowie podczas defilady zwycięstwa w Kure. Japonia 1946 rok

PRZYSTĄPIENIE LONDYNU DO WOJNY OZNACZAŁO, ŻE OGARNIE ONA NIE TYLKO ZJEDNOCZONE KRÓLESTWO, LECZ TAKŻE ROZSIANE PO ŚWIECIE JEGO POSIADŁOŚCI

kwestia dni. Gdy wieść o tym dotarła również do Katmandu, Nepalczycy wystąpili do ambasadora Geoffreya Bethama z propozycją wystawienia 8 tys. nepalskich żołnierzy, którzy mogliby podjąć służbę w Indiach. Zanim zapadły w tej sprawie jakiegokolwiek decyzje, konflikt stał się faktem: Hitler zaatakował Polskę. Wypełniając sojusznicze zobowiązania, Brytyjczycy wypowiedzieli 3 września Niemcom wojnę. Początkowo deklaracji nie towarzyszyły żadne zdecydowane działania, okres zaś, który nastąpił potem, nazywany jest dziwną wojną. Ruszył jednak wielki proces umiędzynaradawiania konfliktu, który toczyła Polska z Niemcami.

GEST SOLIDARNOŚCI

Warto pamiętać, że Wielka Brytania była w 1939 roku imperium światowym, nad którym – jak głosiło popularne hasło – słońce nigdy nie zachodzi. Przystąpienie Londynu do wojny oznaczało, że ogarnie ona nie tylko Zjednoczone Królestwo, lecz także rozsiane po świecie jego posiadłości. I tak w geście solidarności z metropolią 3 września wojnę Niemcom wypowiedziały dwa brytyjskie dominia, tzn. państwa właściwie niezależne, lecz bardzo blisko powiązane z imperium i będące członkami Brytyjskiej Wspólnoty Narodów: Australia i Nowa Zelandia (król brytyjski był – i jest nadal – w tych krajach głową państwa). To samo zrobił w imieniu Indii również brytyjski gubernator i wicekról Victor Hope. W ten sposób trzeciego dnia konfliktu w stanie wojny z Niemcami znalazło się już kilka państw na

świecie. A że przez jakiś czas na froncie zachodnim praktycznie nic się nie działo – to całkiem inna sprawa.

Nepalczyki też się nie wahali i maharadża Juddha Shumsher 4 września ogłosił, że do wojny po stronie imperium brytyjskiego dołącza jego kraj. Decyzje podejmowano szybko: jeszcze tego samego dnia w Katmandu odbyła się inspekcja nepalskich oddziałów, które zamierzano wysłać do Indii, by podjęły służbę w armii brytyjskiej. Dowodzenie nad kontyngentem objął syn maharadży, Bahadur Shamsher.

Gurkhów podzielono na dwie grupy, każda liczyła po pięć batalionów. Pierwszą skoszarowano w mieście Dehradun w północnych Indiach, gdzie mieściła się straż wicekróla, drugą zaś w Kakul (dziś na terenie Pakistanu), gdzie znajdował się duży ośrodek szkoleniowy. Pierwsze miesiące wojny minęły Gurkhom spokojnie, bo konflikt rozgrywał się jeszcze głównie na terenie Europy. Tymczasem zakulisowo toczyły się rozmowy w sprawie ogólnych zasad wykorzystania oddziałów nepalskich przez Brytyjczyków, tj. finansowania, organizacji, zaopatrzenia oraz dowodzenia.

W grudniu 1939 roku podpisano traktat, który regulował te sprawy, a dodatkowo Gurkhowie zagwarantowali sobie, że nie będą kierowani do tłumienia powstań, buntów i rewolucji. Chodziło o to, by nie angażować Nepalczyców w wewnętrzne sprawy Indii. Ostatecznie Gurkhowie wzięli udział w wielu kampaniach II wojny światowej, walcząc z Niemcami m.in. na Bliskim Wschodzie, w Afryce Północnej, we Włoszech, ale także przeciwko Japończykom w Birmie czy Singapurze. ■

Osobne plemię



ARCH. P. KORCZYŃSKIEGO

HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Podpis na odwrocie wyjaśnia, że tę niecodzienną scenę uwieczniono w Polsce: „Dąbrowiec pod Lublinem, 5 września 1944. Zwiadowca na wielbłądzie”.

Egzotyczna fotografia wydaje się wykonana w którejś z azjatyckich republik Związku Sowieckiego, jednak, jak powszechnie wiadomo, pozory mogą mylić.

Jakież zdumienie w podlubelskich miejscowościach musiał wywoływać oddział krasnoarmiejców na „pustynnych krążownikach”. Nasuwa się od razu pytanie: czy ta kawaleria na wielbłądach sprawdzała się na polskim froncie, czy raczej została przesunięta bardziej na południe, na przykład na rumuńskie stepy? Odpowiedź nie może być jednoznaczna, wszak zwiadowcy kierowali się własnymi prawami. Nawet w Armii Czerwonej zachowywali samodzielność i częściej od innych żołnierzy mogli mówić, co myślą. Ten przywilej był ceną za wyjątkowo niebez-

pieczną służbę, w której nieustannie igrało się ze śmiercią.

Nie inaczej to wyglądało w 1 Armii Wojska Polskiego. Jej najsłynniejszym oddziałem zwiadowczym była 1 Samodzielna Kompania Zwiadowcza z 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Dowodził nią były bosmanmat Flotylli Pińskiej por. Konstanty Minuczyk, a dowódcami plutonów zostali podoficerowie przedwojennego Korpusu Ochrony Pogranicza. Zwiadowców z tej kompanii łatwo dało się rozpoznać, bo wszyscy nosili na rogatywkach przedwojenne orzełki z koroną.

Jak wspomina jeden z żołnierzy w niej służący, pchor. Janusz Stanisław Kowalski, „każdy gdzieś zdobył tego orła i mieliśmy na czapkach orły z koroną, cała kompania, nikt nam nie zwracał uwagi, bo uważano, że zwiadowcom nie można zwrócić uwagi i nie trzeba”. Był to też jedyny oddział dywizji, do którego nie przydzielono oficera politycznego – aż do Berlina żaden z politruków nie odważył się pouczać zwiadowców, co mają myśleć. Jak celnie zauważył podchorąży, „zwiadowcy w naszej armii byli osobnym plemieniem”. PK ■



DLA NAS LICZYŁA SIĘ WALKA

*Z Janem Skowronem
o służbie Polaków w Résistance
i 29 Zgrupowaniu Piechoty Polskiej we Francji
rozmawia Piotr Korczyński.*

PIOTR KORCZYŃSKI

W czasie II wojny światowej działał pan we francuskim ruchu oporu Résistance. Jak pan znalazł się na Zachodzie?

Urodziłem się we Francji – 25 kwietnia 1926 roku w Douai. Ostatnio nawet obchodziliśmy uroczyste stulecie emigracji polskiej w tym kraju. Muszę panu powiedzieć, że Francuzi pamiętają o nas, podkreślają, że ratowaliśmy ich, kiedy byli w biedzie. Moi rodzice byli emigrantami górniczymi. Cała rodzina pracowała w kopalni. Ja też. Fedrowałem węgiel na głębokości 500 m. Mój ojciec zaczynał w Dąbrowie Górniczej. Był jednym z ocalonych podczas wielkiej katastrofy w kopalni Reden we wrześniu 1923 roku, ale to wydarzenie przyspieszyło jego decyzję o wyjeździe do Francji. Najmłodszy brat ojca natomiast służył w Wojsku Polskim i walczył w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Został wówczas ciężko ranny w brzuch. W oddziale postawiono już na nim krzyżyk. Wnętrznosci miał na wierzchu, więc lekarz tylko rozłożył ręce, a koledzy nawet chcieli mu skrócić cierpienie. Wtedy przyszła do nich miejscowa znachorka i zaoferowała pomoc. Nikt nie wierzył, że jej się uda, ale ona uratowała brata!

Wspomniał pan, że od najmłodszych lat pracował w kopalni. Czy to było jeszcze przed wybuchem wojny?

Praca w kopalni zaczęła się w pierwszym roku wojny, choć dzięki uzdolnieniom plastycznym miałem perspektywę nauki w liceum. Od najmłodszych lat pasjonowały mnie rysunek i malarstwo. W zastępstwie nauczyciela rysunku w naszej szkole nawet prowadziłem lekcje plastyki. Dyrektor szkoły podstawowej w Douai chciał wysłać mnie do Paryża, do akademii sztuk pięknych. Te plany przekreśliła prozaiczna sprawa. Miałem wadę wymowy i dziewczyny śmiały się ze mnie, gdy czytałem na lekcji tekst. Nie chciałem tego przechodzić w liceum, więc uprosiłem ojca, żeby wysłał mnie na kursy górnicze. Gdy Francja przystąpiła do wojny, dyrektor naszej szkoły został zmobilizowany do wojska. Już nie wrócił, więc nie mógł dopilnować, bym nie zrezygnował z edukacji. Zresztą i tak wybuchła wojna.

Na spełnienie artystycznych marzeń musiał pan więc jeszcze poczekać, bo klęska Francji w 1940 roku skierowała pana na drogę konspiracji.

To też nie było tak od razu. Często o tym się zapomina, ale Francuzi także doświadczyli w czasie inwazji niemieckiej podobnych okrucieństw jak Polacy we wrześniu 1939 roku – zwłaszcza ze strony Luftwaffe. Gdy rozpoczęły się walki, mieszkańcy naszego departamentu dostali rozkaz ewakuacji, jako że te tereny znalazły się w strefie przyfrontowej. Wszystkie drogi zapełniły się uchodźcami, którzy ze swym dobytkiem ruszyli na południe kraju. Niemieccy lotnicy po kampa-

nii w Polsce już wiedzieli, jak taką sytuację wykorzystać. Cała nasza rodzina także ruszyła szosą na południe. Pech chciał, że kiedy znaleźliśmy się w rejonie stacjonowania żołnierzy francuskich, nad ich pozycje nadleciały bombowce Luftwaffe. Część odłączyła się od klucza i skierowała w stronę kolumny cywilów na szosie. Wtedy zaczęła się masakra. Koszmar niczym z „Guerniki” Picassa. To wciąż tkwi w mojej głowie... Takim mocnym uderzeniem zaczęła się dla mnie wojna. Po nalocie zatrzymaliśmy się przy stogu siana i tam mieliśmy przenocować, ale ojciec wtedy powiedział: „Nie! Bo jak nadlecia samoloty, staniami się łatwym celem. Wracamy do domu”. I wróciliśmy do Douai.

MYŚMY WIEDZIELI O WYBUCHU POWSTANIA W WARSZAWIE Z NASŁUCHU ALIANKICKICH RADIOSTACJI I MELDUNKÓW POLSKICH WŁADZ W LONDYNIE. MY, POLACY, BARDZO PRZEŻYWALIŚMY DRAMAT NASZEJ STOLICY

Wkrótce Francuzi skapitulowali. Jak pan wie, w Polsce nie ma się najlepszego zdania o postawie armii francuskiej w 1940 roku...

Opowiem panu historię mojego brata Józefa, który po wybuchu wojny poszedł na front. Służył na Linii Maginota. Proszę sobie wyobrazić, że po niemieckim ataku na Francję jego jednostkę wyewakuowano przez Dunkierkę do Wielkiej Brytanii i następnie, po reorganizacji, ponownie wysłano do walki do Bretanii. Ale już było za późno, bo w międzyczasie gen. Philippe Pétain podpisał z Niemcami zawieszenie broni. Józef dostał się do niemieckiej niewoli, z której kilkakrotnie uciekał. Ostatni raz był już naprawdę blisko rodzinnego domu, bo jakieś 20–30 km. Niestety, za każdym razem go złapali i odstawili z powrotem do obozu. A kto to robił? Nie Niemcy, tylko francuscy żandarmi.

Wtedy pan zaczął działać w ruchu oporu?

Szkolni koledzy pamiętali o moich zdolnościach plastycznych i poprosili o wykonanie ulotek. Tak się zaczęła moja przygoda z konspiracją. Szybko awansowałem na dowódcę oddziału partyzanckiego, co wynikało z tego, że byłem trochę lepiej wykształcony od kolegów górników. W konspiracji działało sporo przedstawicieli miejscowej Polonii, ale zdarzali się – oprócz Francuzów oczywiście – także Czesi, Włosi, Węgrzy. Cały przekrój ówczesnej zarobkowej emigracji stanął do walki z Niemcami. Często mówi się, że w górniczych departamentach ruchem oporu kierowali komuniści, ale myśmy przede wszystkim uważali się za żołnierzy gen. Marie Pierre Kœniga, podwładnego gen. Charlesa de Gaulle’a. Dla takich młodych partyzantów jak ja polityka była sprawą drugorzędną – liczyła się walka z Niemcami. Zwłaszcza dla nas, Polaków. Zarówno ja, jak i inni Polacy tworzący sekcje w Maquis [oddziały partyzanckie we francuskim ruchu oporu], uważaliśmy się za polskich żołnierzy.

Jakimi sukcesami mogliście się pochwalić?

Największym sukcesem było zdobywanie broni na petainowskich policjantach. My, podobnie zresztą jak żołnierze Armii



Krajowej w Polsce, szykowaliśmy się do powstania powszechnego, które miało wybuchnąć po inwazji aliantów na okupowaną Francję, więc liczył się każdy pistolet czy karabin. Ze zdobywaniem broni przytrafiła mi się reszta dość komiczna sytuacja. Wracałem z kolegami z odprawy dowódców oddziałów partyzanckich naszego rejonu. Jako jedyny byłem uzbrojony – po obu bokach, jak rewolwerowiec, miałem zatknięte za pasiem dwa pistolety. I nagle zatrzymał nas patrol. Niemcy zarządzili z miejsca rewizję, ale zaczęli od moich starszych kolegów. Obszukali jednego, drugiego, trzeciego – nic nie znaleźli. Kiedy przyszła moja kolej... żandarm machnął tylko ręką. Puścili nas wolno, ale po wszystkim to ja nawet byłem zły, że mnie tak „zbagatelizowano”...

Przeprowadzaliśmy też akcje mające na celu zdobywanie żywności i pieniędzy. Proszę pamiętać, że na północy Francji, w regionie przemysłowym, mocno zurbanizowanym, przypominającym nasz Śląsk, można było prowadzić tylko tzw. partyzantkę miejską. Mówiąc inaczej, zbieraliśmy się po pracy na akcję, a po jej zakończeniu znikaliśmy w swych górniczych osiedlach. Związane to było też z rytmem pracy kopalni, a szczególnie z dniem wypłaty pensji. Wówczas robiliśmy konfiskatę kas kopalnianych. Raz wyznaczono mnie do obstawy jednej z nich. Stałem z karabinem w bramie kopalni i trzymałem na muszce wszystkich wchodzących i wychodzących z zakładu, dopóki moi koledzy nie opróżnili kasy. Nagle ktoś włączył syreny kopalniane i moi towarzysze uciekli. Zostałem sam w tej bramie, trzymając kilku ludzi na muszce... Na szczęście przypomniał sobie o mnie jeden z kolegów, Zygmunt Biskupski, który wrócił po mnie i krzyknął: „Janek, chodź, bo to już koniec tej akcji!”. Wie pan, w konspiracji często najgorsze było to, że nigdy nie można było do końca być pewnym efektu swych działań, które kosztowały naprawdę wiele przygotowań i były śmiertelnie niebezpieczne. Cokolwiek byśmy mówili o ruchu oporu we Francji, jego członków czekało to samo co żołnierzy podziemia w Polsce: śmierć, ewentualnie obóz koncentracyjny.

Zdarzało się jeszcze, że miał pan wątpliwości co do efektów akcji?

Zaplanowałem zniszczenie anteny radiostacji na lotnisku w Dechy. Czy nam się to udało? Trudno powiedzieć. Bezpośrednim wykonawcą był mój zwierzchnik, Zygmunt Drzewiecki „Jim”. On miał wejść do pomieszczenia z radiostacją i ją zniszczyć za pomocą dynamitu. Zrobił to, ale nigdy nie odpowiedział mi na pytanie, co znalazł w tym pomieszczeniu. Do dziś męczy mnie myśl, że tam już nie było, że Niemcy zdążyli się ewakuować... Tak czy inaczej, była to jedna z głośniejszych akcji Résistance w tym rejonie i Francuzi nie tak dawno uczcili ją, nazywając jedno z rond w Douai moim imieniem.

W odróżnieniu od żołnierzy Armii Krajowej francuscy maquis doczekali się odsieczy armii alianckich i mogli się cieszyć latem 1944 roku z sukcesów powstania w Paryżu i innych miastach Francji.



COKOLWIEK BYŚMY MÓWILI O RUCHU OPORU WE FRANCJI, JEGO CZŁONKÓW CZĘKAŁO TO SAMO CO ŻOŁNIERZY POD- ZIEMIA W POLSCE – ŚMIERĆ, EWENTU- ALNIE OBÓZ KON- CENTRACYJNY

To prawda, ale i my mieliśmy swoje chwile grozy związane z planami sztabowców w Londynie i Waszyngtonie. O mało nie doszło do całkowitej dekonspiracji naszych oddziałów w czasie nieudanego lądowania alianckiego w Dieppe w sierpniu 1942 roku. Oczywiście nikt nas nie poinformował – podobnie jak masakrowanych na tamtejszych plażach żołnierzy kanadyjskich i brytyjskich komandosów – że to jest jedynie „próba generalna” przed właściwą inwazją. Byliśmy wówczas postawieni w stan pełnej gotowości do akcji dywer-



Pozwolenie na broń Jana Skowrona wystawione przez władze francuskie w 1944 roku



syjnych i o mało nie doszło do kolejnej masakry – w szeregach francuskiego ruchu oporu.

Rok później w czerwcu nastąpiła jednak długo wyczekiwana inwazja...

Wówczas ruszyliśmy do naszego powstania. Tutaj muszę zaznaczyć, że myśmy wiedzieli o wybuchu powstania w Warszawie. Z nasłuchu alianckich radiostacji i meldunków polskich władz w Londynie. My, Polacy, bardzo przeżywaliśmy dramat naszej stolicy. Wielu z nas urodziło się we Francji i miało tamtejsze obywatelstwo, ale nasi rodzice wychowali nas w miłości do Polski. To była nasza pierwsza ojczyzna. Z tego powodu solidaryzowaliśmy się w pełni z bohaterskim miastem i przeżywaliśmy jego dramat. Nasze powstanie trwało tylko kilka dni – tyle, ile powinno przebiegać powstanie, jeśli ma być zwycięskie, przed odsieczą regularnych wojsk. Czas zawsze gra na niekorzyść słabo uzbrojonej insurekcji.

Po oswobodzeniu wielu rejonów Francji partyzanci francuscy zasilili szeregi armii gen. Charlesa de Gaulle'a. Dziś mało się o tym pamięta, ale i z polskich partyzantów sformowano regularne jednostki, które włączono do 1 Armii Francuskiej „Ren i Dunaj”.

Właśnie tak się stało z moim oddziałem. Dostaliśmy amerykańskie mundury i broń. Na hełmach wymalowaliśmy polskie orzełki i jako 19 i 29 Zgrupowanie Piechoty Polskiej ruszyliśmy na front w kierunku niemieckiej granicy. Początkowo francuskie dowództwo chciało nas wcielić do Legii Cudzoziemskiej, ale wyraźnie odpowiedzieliśmy, że jesteśmy polskimi żołnierzami!

Szkolni koledzy pamiętali o moich zdolnościach plastycznych i poprosili o wykonanie ulotek. Tak się zaczęła moja przygoda z konspiracją.

Jak wyglądał wasz szlak bojowy?

Trudno mówić tutaj o jakiś spektakularnych akcjach, gdyż dowódca 1 Armii Francuskiej „Ren i Dunaj”, gen. Jean de Lattre de Tassigny, uczynił ze zgrupowania swój strategiczny odwód. Dlatego stanowiliśmy tyły ofensywy francuskiej na Niemcy. Trzeba jednak pamiętać, że wówczas dochodziło już do animozji, określmy to: francusko-angloamerykańskich, i dla gen. Charlesa de Gaulle'a każdy żołnierz był na wagę złota. Nierzadkie były sytuacje, gdy podczas mroźnego przełomu roku 1944 i 1945 Francuzi z braku dostaw brytyjskich i amerykańskich musieli remontować porzucone na poboczach wraki stuartów i shermanów, by móc dalej walczyć z Niemcami... W takich warunkach polskie zgrupowania piechoty były dla nich szczęśliwym zrządzeniem losu.

W czasie działalności konspiracyjnej stykał się pan z emisariuszami naszych władz emigracyjnych w Londynie?

Bezpośrednio nie, ale nie mogę nie wspomnieć o cichociemnym – bo trzeba pamiętać, że polscy cichociemni byli wysyłani nie tylko do Polski, lecz także do Francji, Jugosławii czy Grecji – kpt. Władysław Ważnym „Tygrysie”. To był prawdziwy as wywiadu, który spośród wywiadowców zrzuconych do Francji wskazał Brytyjczykom najczęściej stanowisk niemieckich wyrzutni V-1, V-2 i V-3. W jego siatce działał mój szkolny kolega, Franek Turkowski. Niestety, Niemcy wpadli na trop „Tygrysa”. Ten dzielny oficer zginął w ich obławie. Franka natomiast po latach spotkałem w Polsce. Organizował mi nawet wystawy malarskie na Dolnym Śląsku.

Zatem po wojnie przyjechał pan do Polski?

Nasze całe zgrupowanie w listopadzie 1945 roku przybyło do Polski, ale zastaliśmy tutaj taką sytuację, że od razu wielu z moich kolegów zdecydowało się wrócić do Francji. Tak m.in. zrobił mój dowódca. Ich romantyczne wyobrażenie ojczyzny nie wytrzymało zderzenia z powojenną rzeczywistością, jakiej w Polsce doświadczyli. Przysnągę, że i ja początkowo chciałem wracać. Ale wówczas zadałem sobie pytanie: „Co mnie czeka we Francji?”. Odpowiedź również była prosta: „Tylko kopalnia”. W Polsce natomiast otrzymałem skierowanie do Centrum Wyszkożenia Piechoty w Rembertowie, czyli możliwość awansu i kształcenia. Mimo wszystko podjąłem wyzwanie i tego nie żałuję. ■

Plk JAN SKOWRON w czasie II wojny światowej był żołnierzem francuskiej Ceux de la Résistance i 29 Zgrupowania Piechoty Polskiej, później służył w Wojsku Polskim. Artysta malarz i jeden z pionierów polskiego komiksu.

Dumni z pierwszych żołnierzy

W stolicy Królestwa Polskiego w 1915 roku powstał polski oddział gotowy bronić warszawiaków przed agresją ustępujących z miasta wojsk rosyjskich.

JACEK SZUSTAKOWSKI



Na warcie honorowej przed tablicą pamiątkową, którą odsłonięto 1 września 1935 roku na elewacji budynku Rady Ministrów, stanął niejaki Koziorowski. Historia zatoczyła koło, bo ten były legionista 20 lat wcześniej w tym samym miejscu pełnił taką samą służbę.

Odsłonięcie tablicy upamiętniającej wystawienie pierwszej od 1831 roku warty wojsk polskich było jednym z wydarzeń zorganizowanych 1 września 1935 roku z okazji 20. rocznicy wymarszu Batalionu Warszawskiego na front. Część ulicy Żurawiej przemianowano wtedy na ulicę Tadeusza Żulińskiego. Odbyła się też specjalna uroczystość przy domu nr 44, spod którego przed laty wyruszył na front pododdział dowodzony przez tego legionistę. Zorganizowano również zjazd Związku Peowiaków. Przemawiający na nim prezydent Warszawy Stefan Starzyński przypominał wydarzenia sprzed 20 lat oraz rolę, jaką odegrali w nich Józef Piłsudski i Tadeusz Żuliński.

„Po ciężkich dniach pracy podziemnej, nadszedł dzień, w którym Polska Organizacja Wojskowa wyszła z podziemi i swój reprezentacyjny Batalion Warszawski mogła odprowadzić na front. Dwudziesta rocznica tego jasnego dnia w życiu Warsza-

wy – dnia, w którym żołnierz polski stanął jawnie na warcie walki o niepodległość – jest dla nas święta. Warszawa dumna jest i dumna będzie zawsze ze swych pierwszych żołnierzy, którzy w dniu tym nie tylko w sercach prawych mieszkańców stolicy, ale na zewnątrz pokonali zdradliwą ugodę zaprzaństwa polskiego”, cytował wypowiedź prezydenta reporter „Polski Zbrojnej” w wydaniu z 2 września 1935 roku.

GOTOWI DO OBRONY

Czym żołnierze Batalionu Warszawskiego zasłużyli na te słowa i pamięć rodaków? Otóż 20 lat wcześniej w stolicy Królestwa Polskiego doszło do wymiany zaborczych wojsk. Z Warszawy ewakuowały się oddziały rosyjskie, a ich miejsce zajęły niemieckie. Był to efekt działań wojennych – rok wcześniej bowiem rozpoczęła się I wojna światowa. Polacy w tym konflikcie upatrywali szansy na odzyskanie niepodległości. Dlatego Józef Piłsudski do walk ze wschodnim zaborcą wysłał żołnierzy I Kompanii Kadrowej, a do Królestwa Polskiego skierował Tadeusza Żulińskiego, aby przekształcił działające na jego terenie komórki konspiracyjne w nową formację, której nadano nazwę – Polska Or-



Prezydent Warszawy Stefan Starzyński wygłasza przemówienie z trybuny ustawionej przed domem przy ulicy Żurawiej 44, skąd 20 lat wcześniej nastąpił wymarsz Batalionu Warszawskiego na front. 1 września 1935 roku

ADIUTANT PIŁSUDSKIEGO

Ppor. Tadeusz Żuliński był synem powstańca z 1863 roku i wnukiem żołnierza zrywu listopadowego. Aktywnie działał w Związku Strzeleckim. Po ukończeniu kursu oficerskiego Związku Walki Czynnej został wyróżniony przez Józefa Piłsudskiego odznaką oficerską „Parasol”. Z rozkazu Marszałka otrzymał zadanie zakładania komórek Związku Strzeleckiego w Warszawie i Zagłębiu Dąbrowskim. W sierpniu 1914 roku został adiutantem Piłsudskiego. Po utworzeniu Legionów Polskich w październiku 1915 roku i po awansowaniu na podporucznika piechoty, mianowano go komendantem Polskiej Organizacji Wojskowej. Po utworzeniu Batalionu Warszawskiego i dotarciu z nim na front 2 września 1915 roku Żuliński został dowódcą 2 kompanii VI Batalionu I Brygady Legionów Polskich. Podczas walk na Wołyniu 29 października 1915 roku odniósł poważne rany. Zmarł 5 listopada 1915 roku w szpitalu w Sewerynowce.



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

ganizacja Wojskowa (POW). Jej głównym celem była walka zbrojna przeciwko największemu wrogowi – Rosji.

Gdy wojska rosyjskie ustępowały miejsca niemieckim, opuszczając tereny Królestwa Polskiego, przymusowo ewakuowały tysiące cywilów. Spodziewano się, że to samo zrobią z mieszkańcami stolicy. Ppor. Bogusław Miedziński, komendant Okręgu Warszawskiego POW, obawiał się zwłaszcza tego, że wyprowadzą z miasta mężczyzn w wieku poborowym. Dlatego powoływali przygotować kilka punktów oporu. Do akcji dywersyjnej nie doszło, dlatego że Rosjanie na szczęście nie zabrali cywilów z domów. Na pożegnanie jednak wysadzili w powietrze mosty Mikołajewski (obecny Poniatowski) i Aleksandrowski (Kierbedzia).

Gen. Reinhard von Scheffer-Boyadel, dowodzący niemieckimi wojskami, 5 sierpnia 1915 roku mianował prezydentem miasta księcia Zdzisława Lubomirskiego, prezesa Komitetu Obywatelskiego miasta Warszawy. Tego samego dnia Józef Piłsudski wydał rozkaz o mobilizacji ochotników do nowo tworzonego oddziału marszowego. Miał on być uzupełnieniem dla I Brygady Legionów Polskich.

Z KOSZAR NA FRONT

W dniu wkroczenia Niemców do Warszawy, 5 sierpnia 1915 roku, oddziały powoływali demonstracyjnie przemaszerowały przez centrum miasta, aby nowi okupanci widzieli, że

w stolicy znajdują się polskie jednostki. Symbolicznie zajęły część Pałacu Namiestnikowskiego (obecnie Prezydenckiego), w którym urzędowała Rada Ministrów.

Sztab POW-u wkrótce przeniósł się do budynku na rogu ulic Wielkiej (obecnie Poznańska) i Żurawiej, w którym wcześniej stacjonował szef rosyjskiej żandarmerii. W pobliżu znajdowały się koszary wojskowe, w których szkolono 330 żołnierzy nowo sformowanego oddziału marszowego. 15 sierpnia nazwano go Batalionem Warszawskim. Żołnierze w większości zostali wyposażeni w porosyjską broń. Wielu z nich za własne pieniądze szyło sobie mundury. Z konieczności używali do tego zielonego materiału zamiast niebieskiego, bo tylko taki został po Rosjanach.

22 sierpnia 1915 roku żołnierze batalionu ustawili się przed koszarami czwórkami i w towarzystwie niemieckiego patrolu kawalerii wyruszyli w stronę ulicy Książęcej. Batalion przeszedł na drugą stronę Wisły po moście pontonowym, który Niemcy zbudowali obok zburzonego mostu Mikołajewskiego. Żołnierze opuścili Warszawę, kierując się szosą brzeską w kierunku Bugu. Po ośmiu dniach marszu Batalion Warszawski dotarł do oddziałów I Brygady Legionów Polskich.

Do starć z rosyjskimi wojskami na ulicach stolicy ostatecznie nie doszło. Warszawiacy jednak nie zapomnieli, że powoływali byli gotowi uniemożliwić ewakuację mieszkańców stolicy, choć liczyli się z tym, że zginą w ich obronie.



WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

POLECAMY

„Cieszymy się, że żyjemy w pokoju i **nikt z nas nie jest zmuszony dokonywać w ciągu jednej sekundy wyboru pomiędzy życiem a śmiercią**”, mówi Kazimierz Piechowski, jeden z bohaterów tej książki. Oddaliśmy głos tym, którzy przeszli piekło wojny i zdecydowali się o tym opowiedzieć w szczerych, poruszających rozmowach.



KSIĄŻKĘ ZAMÓWISZ NA

sklep.polska-zbrojna.pl



DARMOWA PRZESYŁKA



PRZED STU
LATY ODRODZONE
POLSKIE WOJSKO ODPAR-
ŁO BOLSZEWICKĄ NAWALĘ.
W CYKLU **BOLSZEWIKA GOŃ**
POKAZUJEMY MAŁO ZNA-
NYCH, ZAPOMNIANYCH BO-
HATERÓW TAMTYCH
WYDARZEŃ.

KRYPTOLOG, któremu pomógł Poe

Jan Kowalewski, w stopniu majora jako attaché wojskowy Poselstwa RP w ZSRS

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

„To za wygraną wojnę”, tak gen. dyw. Władysław Sikorski zwrócił się, znacząco mrugając okiem, do por. Jana Kowalewskiego, gdy dekorował go krzyżem Virtuti Militari V klasy.

PIOTR KORCZYŃSKI

Pewnego dnia w sierpniu 1919 roku por. Jan Kowalewski wziął nocny dyżur za kolegę, który w tym czasie pojechał na ślub siostry. Nie trzeba go było długo o to prosić, bo praca w komórce szyfrowej Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego była prawdziwą pasją porucznika. Około północy kierownik radionasłuchu przekazał mu, jak zwykle, zaszyfrowane komunikaty radiowe Armii Czerwonej. Pochylonemu nad długą rzędami cyferek Kowalewskiemu przypominało się opowiadanie Edgara Allana Poe’a „Złoty żuk”. Jego bohater odkodował szyfr z wiadomością o miejscu złożenia pirackiego skarbu dzięki temu, że zwracał uwagę na częstotliwość pojawiania się w nim tych samych liter.

Porucznik przyjął zatem, że w bolszewickiej depeszy musiało pojawić się słowo „dywizja”. Jako były żołnierz carskiej armii, perfekcyjnie władający rosyjskim, pamiętał, że w obu językach brzmi ono niemal identycznie, lecz zapis cyrylicą jest trochę inny. Zamiast polskich „y” i „j” jest „i”. Po-

rucznik zaczął więc szukać siedmioznakowego wyrazu, w którym powtarzała się jedna samogłoska, czyli ta sama cyfra w szyfrze. Szybko go znalazł i krok po kroku, niczym w krzyżówce, odgadywał kolejne „hasła”. O świcie treść sowieckiego rozkazu nie miała już dla niego żadnych tajemnic.

Kiedy szef sekcji szyfrowej II Oddziału, mjr Karol Bołdeskuł, zobaczył efekty nocnego dyżuru swego najzdolniejszego oficera, natychmiast ściągnął do pomocy najlepszych kryptologów i matematyków z uniwersytetów Lwowskiego i Warszawskiego – profesorów Stanisława Leśniewskiego, Stefana Mazurkiewicza i Wacława Sierpińskiego. Prace nad radiogramami Armii Czerwonej ruszyły pełną parą.

PIĘKNY UMYŚŁ

Znamienne, że wśród tych słów matematycznych por. Kowalewski był kryptologiem amatorem, ale piekielnie uzdolnionym i z wielką wyobraźnią. Niebagatelne przy →

tym było jego doświadczenie wyniesione z armii carskiej, gdzie służył w oddziałach telegraficznych i radiotelegraficznych. Nie były mu więc obce organizacja i sposób pracy tych wojsk również w Armii Czerwonej, gdyż w początkowym okresie niczym nie różniły się od tych z carskiej poprzedniczki. Dzięki doświadczeniom z przeszłości Kowalewski rozwiązał zresztą szyfry nie tylko czerwonych, lecz także walczących z nią białych wojsk.

Józef Piłsudski dostał zatem obraz całego frontu wojny domowej w Rosji. Nie dawało mu to jednak pozycji demurga. Naczelný Wódz boleśnie się o tym przekonał podczas wyprawy kijowskiej wiosną 1920 roku. Zbyt mocno zawierzył raportom bolszewickich dowódców, którzy alarmowali Kreml o silnym ruchu narodowym na Ukrainie. Po zdobyciu Kijowa okazało się nagle, że Wojsko Polskie nie może liczyć na wsparcie „potężnych sił ukraińskich nacjonalistów”, jak pisali czerwonoarmiści.

Mimo znajomości nieprzyjacielskich szyfrów margines ryzyka w podejmowaniu decyzji na froncie wciąż był ogromny. Ponadto w Armii Czerwonej zaczęto wymyślać nowe szyfry, które sprawiały zespołowi Kowalewskiego niemałe problemy. Najtrudniej było łamać podwójne szyfrowanie. By poznać treść wiadomości, należało wymyśleć nie jeden klucz, lecz dwa. Wbrew tym trudnościom liczba rozkodowanych radiogramów jednak rosła lawinowo.

Paradoksalnie polskim kryptologom sprzyjała szybkość ofensywy wojsk Michaiła Tuchaczewskiego. Jego łącznościowcy nie nadążali z układaniem kabli telegraficznych, więc prace do przodu oddziały były zdane coraz bardziej tylko na własne radiostacje, a te albo zawodziły albo płynące z nich meldunki od razu były przechwytywane przez polski nasłuch radiowy.

SIERPNIOWE ŻNIWO

Na przełomie lipca i sierpnia 1920 roku polski radiowywiad przejął około tysiąca sowieckich radiogramów. Por. Kowalewski z kolegami rozwiązał 19 kluczy szyfrowych, dzięki czemu poznano treść 800 depesz. W wielu z nich powtarzały się meldunki o zbyt rozciągniętych liniach komunikacyjnych i coraz większych problemach z zaopatrzeniem w oddziałach Tuchaczewskiego. Te informacje napawały optymizmem, ale wciąż nie gwarantowały przełomu – problemy kwatermistrzowskie nie były niczym nadzwyczajnym dla nacierającego wojska. Wśród tych alarmistycznych depesz szczególną uwagę porucznika zwróciły narzekania Tichona Chwiestina, dowódcy sowieckiej Grupy Mozyrskiej, odpowiedzialnego za ubezpieczenie środkowego odcinka frontu. W meldunkach podkreślał, że nie tylko rwą mu się linie zaopatrzenia, lecz także nie ma

NA PRZEŁOMIE LIPCA I SIERPNIA 1920 ROKU POLSKI WYWIAD PRZEJĄŁ OKOŁO TYSIĄCĄ SOWIECKICH RADIOGRAMÓW, A POR. KOWALEWSKI Z KOLEGAMI ROZWIĄZAŁ 19 KLUCZY SZYFROWYCH

dostatecznych sił, by wykonać zadanie. „Kierunek kontrofensywy nasuwał się sam”, wspominał po latach Kowalewski.

Kiedy ta rozszyfrowana depesza dotarła do Belwederu, Józef Piłsudski w lot zrozumiał jej znaczenie i zaczął opracowywać plan uderzenia znad Wieprza. Musiał przy tym pamiętać jeszcze o tym, czy Tuchaczewskiemu nie przyjdą na pomoc nieprzyjacielskie jednostki operujące na południu – zwłaszcza osławiona 1 Armia Konna Siemiona Budionnego – i nie uderzą na tyły jego kontratakujących wojsk.

Niepokój Piłsudskiego został rozwiany już w czasie manewru zaczepnego znad Wieprza. Na rozkaz Tuchaczewskiego z 16 sierpnia, by Konarmia ruszyła natychmiast na północ, Budionny odpowiedział, że nie jest to możliwe, bo związany jest już walką pod Lwowem. Odczytanie tego meldunku przez polskich kryptologów dało Piłsudskiemu pewność, że jego tyły są niezagrożone. Ofensywa znad Wieprza przesądziła o zwycięstwie Wojska Polskiego nad Armią Czerwoną. Z oczywistych względów nie można było ani wtedy, ani później eksponować roli polskiego wywiadu w tej kampanii. Dokonania Kowalewskiego i jego zespołu pozostały w cieniu i nadal przedmiotem dyskusji historyków pozostaje to, jak mocno wpływały na decyzje Wodza Naczelnego i jego Sztabu Generalnego.

AS DO KOŃCA

Nie oznaczało to jednak, że Kowalewski nie został doceniony w Wojsku Polskim. Przyszły awanse i najwyższe odznaczenie – *Virtuti Militari*. W 1923 roku porucznik wyjechał do Tokio, gdzie podzielił się swym doświadczeniem z japońskimi kryptologami. Po powrocie rozpoczął służbę w dyplomacji, został attaché wojskowym w Moskwie. Tutaj kolejny raz wykazał się nieprzeciętnymi zdolnościami, rysując z pamięci plany najnowocześniejszego sprzętu prezentowanego na defiladach wojskowych, na których obowiązywał zakaz fotografowania. Wreszcie w 1933 roku został przez Sowietów uznany za *persona non grata*.

Po wyjeździe z Moskwy objął analogiczne stanowisko w Bukareszcie. We wrześniu 1939 roku, już w stopniu podpułkownika, Kowalewski zdołał wyjechać do Rumunii, a następnie udał się do Francji. Kiedy ta skapitulowała, przedarł się do Portugalii i w Lizbonie na nowo rozpoczął swą wywiadowczą służbę na rzecz aliantów.

Po zakończeniu wojny Kowalewski pozostał na Zachodzie i osiadł w Londynie. Współpracował m.in. z Radiem Wolna Europa, gdzie opowiadał o swojej roli w wojnie polsko-bolszewickiej. Wciąż też zajmował się kryptologią. Przed śmiercią złamał szyfry, którymi posługiwał się ostatni dyktator powstania styczniowego Romuald Traugutt. ■



KRZYSZTOF KUBIAK

Smutny, szalony Mike

W lutym 2020 roku zmarł Mike Hoare. Media, głównie angielskojęzyczne, poinformowały o tym fakcie jedynie zdawkowo, bardziej z kronikarskiego obowiązku niż z autentycznej potrzeby. Zupełnie inna atmosfera była wokół Hoare’a w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Ten urodzony w 1919 roku w Kalkucie syn irlandzkiego pilota rzeczniczego stał się wówczas symbolem profesji uważanej za niemal już zapomnianą, czyli najemnictwa. Jasna gwiazda „psów wojny”, czy też – jak kto woli – „dzikich gęsi” rozbłysła w czasie tyleż nieuchronnej, co chaotycznej dekolonizacji. Hasło samostanowienia politycznego państw afrykańskich wspierał gromko niemal cały świat, co nie było jednak tożsame z tym, że europejskie rządy i koncerny chciały utracić rzeczywisty wpływ na przykład na zambijską miedź, katangijski kobalt czy znajdujące się w Nigrze złoża uranu. Najemnicy okazali się więc idealnym narzędziem osiągania celów, które nie zawsze chciano ujawniać opinii publicznej.

Biografia Hoare’a, weterana armii brytyjskiej w stopniu majora czasu wojny, w pełni to potwierdza. Najpierw, w 1960 roku walczył po stronie rebeliantów usiłujących oderwać prowincję Katanga od opuszczonego przez Belgów Konga. Później, gdy w Kongu wybuchła wspierana przez Chińczyków i Kubańczyków rebelia, a były katangijski lider Moise Czumbe objął urząd premiera, Hoare został pułkownikiem armii rządowej. Wraz z belgijskimi spadochroniarzami i najemnikami opłacanymi przez Amerykanów uczestniczył w 1964 roku w operacji uwolnienia europejskich zakładników przetrzymywanych w Stanleyville. Zyskał wówczas przydomek „Szalonego Mike’a”. W 1965 roku, po upadku Czumbego i przejęciu władzy w kraju przez Josepha Mobutu, wrócił do Republiki Południowej Afryki. Życie cywilne niezbyt mu jednak służyło. Nudę na krótki czas tylko zabiła funkcja konsultanta na planie filmu akcji „Dzikie gęsi” („Wild Geese”), w którym w postać wzorowaną na „Szalonym Mike’u” wcielił się Richard Burton. W 1981 roku były kongijski najemnik zaangażował się w niemal filmową akcję obalenia rządu na Seszelach. Owe archipelagowe państwo uzyskało niepodległość od Wielkiej Brytanii w 1976 roku i od tego czasu trwała tam walka o władzę. Hoare działał na zlecenie obalonego prezydenta Jamesa Manchama, przebywającego na wygnaniu w RPA. Pretoria udzielała całemu przedsięwzięciu nieoficjalnego poparcia, gdyż sprawujący władzę na wyspach France-Albert René zdawał się dryfować w stronę bloku wschodniego. Wydaje się, że Hoare, oprócz poszukiwania wyzwań i emocji, pozazdrościł innemu najemnikowi z Konga, Francuzowi Robertowi Denardowi, który poprzez tyleż śmiałe, co bezprawne działania na Komorach zdobył sobie pozycję quasi-protektora owej byłej francuskiej kolonii. Brytyczyk miał jednak mniej szczęścia. Jego licząca 47 ludzi grupa dotarła na pokładzie czarterowego samolotu w barwach Suazi na wyspy, ale już w porcie lotniczym uwickła się w wymianę ognia z siłami bezpieczeństwa. Po sześciu godzinach najemnicy uciekli na pokładzie uprowadzonego samolotu linii Air India, który wylądował w czasie owej chaotycznej potyczki. Maszyna skierowała się do Durbanu. Władze RPA, działając pod międzynarodową presją i oskarżane o współudział w akcji, postawiły najemników przed sądem. Skazano ich za piractwo powietrzne na kary więzienia. Najwyższy wyrok – dziesięć lat pozbawienia wolności – dostał Hoare, ale wyszedł na wolność po 33 miesiącach. Był to już jednak koniec aktywności „Szalonego Mike’a” w branży, gdzie nie toleruje się przegranych, zwłaszcza takich, którzy ujawniają związki z państwowymi mocodawcami. Pozostały mu powrót do wyuczonego zawodu księgowego oraz pisanie, całkiem nieźle się sprzedających, biograficznych książek. ■

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK jest pracownikiem naukowym Katedry Nauk o Bezpieczeństwie na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

PO SŁUŻBIE

/ EDUKACJA

Charakterystycznym symbolem grobów żołnierzy poległych w bitwie nad Bzurą stały się epitafijne tabliczki – nieśmiertelniki. Mają one szczególne uzasadnienie: zgodnie z projektem to wierne repliki, w powiększonej skali, żołnierskich znaków tożsamości wz. 31.

POWRÓT NA POLE BITWY

**Wędrówka śladami żołnierzy
walczących we wrześniu 1939 roku
to niecodzienna lekcja historii.**

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER



A large, dark grey granite cross-shaped gravestone stands in a cemetery. A white oval plaque is mounted on the vertical stem of the cross. The plaque contains black text and symbols. At the top of the plaque are three circular symbols: a left profile, a central eagle with spread wings, and a right profile. Below these, the text reads: 'Strz. FRANCISZEK MAŁECKI', '55 PP + 18.09.1939 R.', 'Strz. LEON', 'MATUSZCZAK', '61 PP + 16.09.1939 R.'. There is a horizontal line of small dots separating this section from the one below. The bottom section of the plaque reads: 'Strz. JAN MESZKIER', '+ 17.09.1939 R.', 'Szer. JÓZEF', 'PIECHIŃSKI', '+ 17.09.1939 R.'. At the very bottom of the plaque is a small circular symbol. The background shows other graves and trees in soft focus.

Strz. FRANCISZEK MAŁECKI
55 PP + 18.09.1939 R.
Strz. LEON
MATUSZCZAK
61 PP + 16.09.1939 R.

Strz. JAN MESZKIER
+ 17.09.1939 R.
Szer. JÓZEF
PIECHIŃSKI
+ 17.09.1939 R.



T

o była największa bitwa wojny obronnej 1939 roku. Na terenie obejmującym 150 km², z dwukrotnie liczniejszymi niemieckimi siłami starło się 200 tys. żołnierzy armii „Poznań” i „Pomorze”. Zginęło ponad 20 tys. spośród nich. Cmentarz wojenny w Trojanowie skrywa szczątki ponad 3500 żołnierzy, w Julipolu pochowano ich 2200, w Rybnie – 1586, a w Howie – 1034. Okoliczne lasy kryją wiele pojedynczych grobów. Z każdym takim miejscem wiążą się wojenne historie. Opowiada o nich Jakub Wojewoda, prezes Stowarzyszenia Muzealna Grupa Historyczna im. II Batalionu 18 Pułku Piechoty.

ŻOŁNIERSKIE EPITAFIUM

„Opiekujemy się mogiłami żołnierzy walczących w bitwie nad Bzurą. Zniszczone betonowe krzyże nagrobne zastępujemy granitowymi”, mówi Jakub Wojewoda. Wymieniają też tabliczki epitafijne i to on zaproponował, aby nowe kształtem przypominały nieśmiertelniki. Jego ojciec, Maciej Wojewoda, założyciel i wieloletni dyrektor Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą, wpadł z kolei na pomysł powiązania miejsc pamięci w jeden szlak historyczno-turystyczny. „Pomyślałem, że to dobry sposób na popularyzację dziejów ojczystych i naukę historii na prawdziwym polu bitwy”, mówi Maciej Wojewoda.

Na ten szlak można ruszyć samemu lub skorzystać z pomocy przewodnika. Jest nim m.in. Krzysztof Kwiatkowski. „Przyjeżdża tutaj coraz więcej osób, szczególnie we wrześniu”, ocenia. Jak dodaje, zainteresowanie traktem wzrosło, gdy część jego obiektów została wpisana na listę,

z której korzystają pasjonaci geocachingu, czyli gry terenowej polegającej na odszukiwaniu za pomocą GPS-u przygotowanych skrytek.

TRAKT W BUDOWIE

Pierwszy znak Traktu Pamięci Bohaterów Bitwy nad Bzurą 1939 roku stanął w 2012 roku w Tułowicach. Stowarzyszenie ufundowało tablicę poświęconą gen. bryg. Stanisławowi Grzmot-Skotnickiemu, który 19 września 1939 roku został w tej miejscowości śmiertelnie ranny podczas próby przebicia do Puszczy Kampinoskiej. Niemcy pozwolili polskim oficerom pochować swojego dowódcę. Za trumnę posłużył płaszcz generała, a na jego grobie stanął drewniany krzyż.

Gdy w 2014 roku członkowie Stowarzyszenia przeznaczyli własne środki na budowę szlaku, przy wsparciu Rady Ochrony Miejsc Pamięci Walk i Męczeństwa, udało się oznaczyć dziesięć kolejnych obiektów na terenie gminy Młodzieszyn. Następnie na cmentarzach wojennych, które znajdują się na trakcie, zamontowano maszty flagowe oraz oznaczone orłem wojskowym granitowe obeliski z informacjami, ilu żołnierzy we wrześniu 1939 roku zginęło w konkretnym miejscu. Teraz trakt łączy 27 punktów. „Planujemy kolejne na terenie innych gmin. Będziemy też kontynuować prace dokumentacyjne: zbierać listy poległych, opisy walk, zdjęcia, żeby je zaprezentować na wystawach plenerowych”, zapowiada Alan Pszonczenko, wiceprezes Stowarzyszenia.

ZBRODNIJE WOJENNE

Ruszamy śladami żołnierzy walczących nad Bzurą. Pierwszy przystanek na trakcie to cmentarz w Sochaczewie. Dzięki powiewającej na maszcie fładze łatwo odnaleźć wojenną kwaterę, w której



Pierwszy znak Traktu Pamięci Bohaterów Bitwy nad Bzurą 1939 roku stanął w 2012 roku w Tułowicach.



Kwaterna wojenna w Juliiopolu (Młodzieszyn) skrywa szczątki 2200 osób. To drugi pod względem liczby poległych cmentarz żołnierzy WP, którzy zginęli w bitwie nad Bzurą 1939 roku. Spoczywają tu żołnierze z armii „Poznań” i „Pomorze”. Udało się ustalić tożsamość zaledwie 400 z nich. Kwaternę w 2019 roku remontowali członkowie Stowarzyszenia MGH im. II/18 pp ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

JAKUB WOJEWODA

JAKUB WOJEWODA: NASZĄ NAJWAŻNIEJSZĄ MISJĄ JEST TO, ABY TABLICZKI EPITAFIJNE Z NAPISEM „NIEZNANI” WYPEŁNIŁY SIĘ NAZWISKAMI

w 1939 roku pochowano 400 żołnierzy. Na 14 mogiłach zbiorowych stoją betonowe krzyże z metalowymi tabliczkami. Wśród nich wyróżnia się grób mjr. Feliksa Kozubowskiego, dowódcy II Batalionu 18 Pułku Piechoty. Sierż. Józef Skórka, szef 5 kompanii II Batalionu 18 Pułku Piechoty tak go wspominał: „Dowódca batalionu mjr Kozubowski stał na zniszczonym moście. Stąd kierował odwrotem oddziałów. Jego zachrypły głos słychać było wśród wybuchów pocisków artyleryjskich i trzasku broni maszynowej. [...] W czasie przeprawy, w pobliżu miejsca, gdzie stał dowódca batalionu, ujrzałem nagły błysk, po którym nastąpił wybuch ciężkiego granatu. Mjr Feliks Kozubowski poległ”. Podczas trwających trzy dni walk o miasto batalion, którym dowodził major, stracił 80% żołnierzy. Most, przy którym zginął, nosi dziś jego imię i jest elementem traktu.

Dalej jedziemy do odległego od Sochaczewa o 8 km Kozłowa Biskupiego. Tam na cmentarzu zostali pochowani żołnierze, których 22 września 1939 roku rozstrzelali Niemcy na terenie cegielni w Boryszewie. Byli to członkowie Batalionu Obrony Narodowej „Bydgoszcz”. Rzekomo 3 września, podczas tzw. krwawej niedzieli w Bydgoszczy brali oni udział w mordowaniu niemieckich cywilów. W 1943 roku ciała zabitych przeniesiono na cmentarz w Kozłowie Biskupim. Zatrzymujemy się na chwilę zadumy przy kamiennym pomniku oraz tablicy, na której wryto nazwiska zamordowanych.

Naszym następnym celem jest odległe o 15 km Rybno. „Jedziemy szlakiem walk 26 i 14 Dywizji Piechoty, które broniły dostępu do tej miejscowości. Niemcy rzucili do walki dywizję pancerną, ale nie przerwali polskiej obrony”, →

opowiada Jakub Wojewoda. Polacy wycofali się dopiero 16 września, aby przebić się do walczącej Warszawy. Po drodze przejeżdżamy przez miejscowość Jasieniec, gdzie we wrześniu 1939 roku był polowy punkt opatrunkowy 55 Pułku Piechoty. To miejsce kolejnej zbrodni wojennej. Przez linię obrony koło Rybna przedarło się kilka czołgów niemieckiej 1 Dywizji Pancerniej. Ostrzelały pociskami zapalającymi punkt opatrunkowy, a potem przejechały po rannych. „Chcemy w tym miejscu postawić pamiątkowy kamień”, zapowiada Jakub Wojewoda. Zamordowani w Jasieńcu spoczywają na cmentarzu parafialnym w Rybnie.

STRACONE CZOŁGI

Kolejnym przystankiem na szlaku jest pole bitwy pod Ruskami. 16 września 4 i 6 Batalion 17 Pułku Artylerii Lekkiej przygotowywały się do natarcia na Sochaczew. Żołnierze zajęli stanowiska na skraju lasu Zofiówka. „Od Adamowej Góry prosto na ukrytych w lesie polskich artylerzystów szły niemieckie czołgi pułku pancernego Leibstandarte SS Adolf Hitler. Jechały z tamtej strony”, Jakub Wojewoda wskazuje na pobliskie łąki. Ppor. Adam Czarotowski, dowódca 4 Baterii II Dywizjonu 17 Pułku Artylerii Lekkiej, tak opisał te wydarzenia: „Ujrzyliśmy czołgi niemieckie wyłaniające się z zabudowań dworu w Ruskach. Odległość naszych dział od czołgów nie przekraczała 2 km. Pomimo grożącego niebezpieczeństwa obie baterie odważnie prowadziły ogień. [...] Niemcy byli zaskoczeni niespodziewanym, skutecznym i celnym ogniem. Po kilku salwach wycofali się, straciwszy 22 czołgi i kilka motocykli”. Maciej Wojewoda wspomina, że dowódcy dwóch baterii – kpt. Ludwik Głowacki i ppor. Adam Czarotowski – wielokrotnie odwiedzali Muzeum Bitwy nad Bzurą: „Pamiętam, jak spierali się, który z nich zniszczył więcej niemieckich czołgów”.

W ZBIOROWYCH MOGIŁACH

Wyruszamy w dalszą drogę, do Bud Starych, zahaczając o Henryków, miejsce kolejnej niemieckiej zbrodni wojennej. To tam 18 września 1939 roku żołnierze Wehrmachtu z 19 Dywizji Piechoty spalili w stodole 76 mieszkańców wsi, jeńców i uciekinierów z Polski Zachodniej. Na cmentarzu wojennym w Budach Starych spoczywa około 225 żołnierzy Wojska Polskiego, których szczątki zebrano w okolicznych lasach. Także to miejsce ma swoją historię. W połowie września zgrupowały się tam oddziały armii „Pomorze” i „Poznań”, aby przeprawić się przez odległą o 8 km Bzurę. 17 września Niemcy rozpoczęli atak lotniczy – na polskie oddziały zrzucili 340 t bomb. Gdy odlecieli, pola były usłane trupami. Mieszkańcy Bud Starych chowali poległych żołnierzy w zbiorowych mogiłach. W czasie okupacji Niemcy

NA CMENTARZACH WOJENNYCH, KTÓRE ZNAJDUJĄ SIĘ NA TRAKCIE, ZAMONTOWANO MASZTY FLAGOWE ORAZ OZNACZONE ORŁEM WOJSKOWYM GRANITOWE OBELISKI Z INFORMACJAMI, ILU ŻOŁNIERZY ZGINĘŁO W KONKRETNYM MIEJSCU

kazali zaorać ten teren. W walkach o wieś i okoliczne lasy ponieśli duże straty i chcieli zatrzeć ślady po polskim oporze. „Mieszkańcy oznaczyli jednak teren pochówku. Po wojnie utworzyli w tym miejscu leśny cmentarzyk”, mówi Jakub Wojewoda.

Ostatnie dni września 1939 roku – takie daty śmierci widzę na wielu tabliczkach na cmentarzu w Budach Starych. Ci, którzy nie zdołali się przebić do Warszawy, bronili się w okolicznych lasach. Ostatni żołnierz, sierż. Wiktor Głodziński, poległ tutaj 6 października, niestety niewiele o nim wiadomo.

MISJA NA PRZYSZŁOŚĆ

„Za tymi domami były wydmy”, Jakub Wojewoda wskazuje okoliczne zabudowania, gdy jedziemy drogą

z Bud do Młodzieszyna, i opowiada kolejną historię. W tym miejscu do ostatnich dni września 1939 roku broniło się kilkuset polskich żołnierzy z rozbitych oddziałów. Trzystu z nich zostało zabitych, a okoliczni mieszkańcy pochowali ich wśród drzew i przez lata dbali o cmentarzyk. Nie przetrwała żadna wojskowa relacja z tego boju. O zaciętej obronie świadczą jedynie tysiące łusek, które na polu bitwy znaleźli członkowie Stowarzyszenia.

Dalej kierujemy się na Juliopol w gminie Młodzieszyn. „Ojciec opowiadał, że zacięte walki toczyły się tu nawet na cmentarzu. Jeszcze kilka lat temu podczas kopania grobu odnaleziono polski ckm wz. 30”, mówi Jakub Wojewoda. Tutejszy cmentarz, o powierzchni około 762 m², jest jednym z większych na terenie powiatu sochaczewskiego. Pochowano tu od 2200 do 3773 poległych w bitwie nad Bzurą. Po prawej stronie od głównej alejki groby zostały już odnowione. „Te po lewej czekają na renowację”, wskazuje Jakub Wojewoda i opowiada kolejną historię. Spoczął tutaj kpt. Mikołaj Korwin-Kossakowski, oficer Batalionu Obrony Narodowej Jabłonowo, który poległ w rejonie Ruszk. Każdego roku we wrześniu z RPA przyjeżdża na cmentarz jego rodzina, której Stowarzyszenie pomogło w odnalezieniu grobu kapitana.

Na koniec wracamy do Sochaczewa. W Trojanowie, na największym cmentarzu żołnierzy WP poległych w jednej bitwie spoczywają głównie żołnierze armii „Poznań” i „Pomorze”. Udało się ustalić tożsamość zaledwie 535 z nich. Niektóre miejsca spoczynku polskich żołnierzy i cywilów, którzy zginęli w czasie bitwy nad Bzurą, pozostają nieodkryte do dziś. Nieznana jest także większość nazwisk żołnierzy pochowanych w zbiorowych mogiłach. „Myślę, że to jest najważniejsza misja na przyszłość, aby tabliczki epitafijne z napisem »Nieznani« wypełniły się nazwiskami”, mówi Jakub Wojewoda. ■

Cytaty pochodzą z książki Macieja Wojewody i Jakuba Wojewody „Bitwa nad Bzurą”, Warszawa 2016.

POLSKA-ZBROJNA.PL

HISTORIA POLSKA ZBROJNA

MAGAZYN O TRADYCJI I CHWALE
POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 849 494

WOJSKO
POLSKIE

Twoja historia – Twoje życie!

Polecam!

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna

Zielone mundury wśród rozbuchanej zieleni, plamiaste pokrowce na helmach, taśmy amunicji, kotłujące się anteny radiostacji, a w rękach atrapy M16, erkaemów, granatników i strzelb

Tydzień w Biesnamie

W samym środku lasu nagle grzmotnęły petardy. Ktoś zawołał: „Kontakt, kontakt z prawej!”. Padłem w błoto, złożyłem się do strzału i puściłem serię w stronę przeciwnika. To jeden z epizodów mojej tegorocznej wyprawy w sam środek wojny w Wietnamie.

MACIEJ NOWAK-KREYER

Działaniami słynnej amerykańskiej 101 Dywizji Powietrznodesantowej podczas wojny w Wietnamie interesuję się już od lat. Należę do Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznej „Rakkasans”, które współpracując z weteranami, bada dzieje US Army. Od 2016 roku organizujemy tygodniowy marsz w sile plutonu po najdalszych częściach Bieszczad, symulujący patrol typu seek and destroy (odszukaj i zniszcz) z 1969 roku. Wybór miejsca jest nieprzypadkowy. Rejon Cisnej do złudzenia przypomina Wietnam, więc ochrzcziliśmy go bieszczadzkiem Wietnamem, czyli Biesnamem. Na każdy patrol ruszamy w zrekonstruowanych mundurach i oporządzeniu, dźwigając po około 30 kg ekwipunku oraz wierne atrapy amerykańskiego uzbrojenia z połowy XX wieku.

BIESZCZADZKIE PIEKIELKO

Tegoroczny patrol nie zapowiadał się dobrze. Ze względu na pandemię koronawirusa do końca nie wiedzieliśmy, czy w ogóle się odbędzie, a izolacja nadwyreżyła naszą kondycję. Prognozy pogody były fatalne. Czekałem na wyprawę pełen niepokoju, który zagłuszałem, szykując z kolegami racje żywnościowe i konserwując sprzęt.

Nastał w końcu dzień wyjazdu. Ruszyłem wcześniej, aby w terenie poukrywać pudła

z żywnością. W Wietnamie jedzenie dostarczano żołnierzom w śmigłowcach, my musieliśmy dotrzeć do niego sami. Wkrótce do zalanej deszczem bazy wypadowej przybyła reszta uczestników patrolu.

Następnego dnia rano – wymarsz. Bezchmurne niebo dawało nam nadzieję, że pogoda, wbrew złym prognozom, dopisze. Zapakowaliśmy się do autokarów i ruszyliśmy w sam środek bieszczadzkiego, zielonego piekła. Po krótkiej podróży zbiórka, przypomnienie reguł patrolu, podział na drużyny oraz sekcje (według historycznych amerykańskich regulaminów). Przed nami długie podejście górską drogą. W przepisowym szyku rozciągnęła się na niej kolumna „wojska”. Widok jak z filmu wojennego: zielone mundury wśród rozbuchanej zieleni, plamiste pokrowce na hełmach, taśmy amunicji, kołyszące się anteny radiostacji, a w rękach atrapy M16, erkaemów, granatników i strzelb. Nawet owady zdawały się nucić piosenkę „Fortunate Son”, muzyczny symbol tamtej wojny.

JEŹDŹCY BURZY

Słońce szybko stało się przekleństwem, a strome podejścia wyciskały z nas resztki sił. Gdy poradziliśmy sobie z mozolną wspinaczką, zaczął się błotnisty i stromy szlak w dół. Breja szybko zalepiła bieżniki wirowych podeszew i ślizgaliśmy się jak po lodzie. Co gorsza, wrócił deszcz. Miło chłodził rozgrzaną skórę, ale szybko zmienił mundur w mokrą szmatę na zziębniętych plecach. Nagle jeden z kolegów przewrócił się z łomotem. Krzycząc, złapał się za wygiętą pod nienaturalnym kątem nogę. Przybiegł nasz medyk, „Wróbel”, w cywilu ratownik medyczny. W żołnierskich słowach przywołał rannego do porządku i zajął się kontuzją.

Ostatkiem sił, zziębnięty i obolały dotarłem do celu: ruin świątyni zagubionej wśród wzgórz. To dawna cerkiew, ale my widzieliśmy w niej stary, francuski kościół z filmu „Pluton”. Przez dłuższy czas tkwiliśmy wśród murów, półżywi, opatuleni w poncho. W końcu dotarł też nasz medyk z ranym. Okazało się, że to tylko zwichnięcie.

Ulewa wreszcie minęła, chociaż chmury i wilgoć pozostały. Zbudowaliśmy schronienia na noc, przyszedł też czas na roztawienie posterunków i ustalenie wart. Nie groził nam atak Wietkongu, za to całkiem realna była wizyta niedźwiedzia. Wszystkim sprawnie zajął się jeden z sier-



ZGODNIE Z PRAWEM

Organizując przedsięwzięcie takie jak bieszczadzki patrol, należy działać zgodnie z prawem. Używać wolno tylko atrapy broni i amunicji, a wyprawę trzeba zgłosić lokalnym służbom, zwłaszcza Policji, Straży Granicznej i Straży Leśnej. ■

MATEUSZ ORZECZOWSKI (2)

żantów, w realu żołnierz wojsk obrony terytorialnej. Oszacowaliśmy też pierwsze straty. Dwóch „żołnierzy” zgłosiło się do ewakuacji: jeden ze zwichniętą nogą, drugiego załamały Bieszczady. Siedział, dygocząc z zimna, ze „spojrzeniem tysiąca jardów”. Żałowaliśmy go, bo fizycznie dałby radę. Wszystko, co nie pozwalało mu iść dalej, było w jego głowie.

Zabrałem się w końcu za przygotowywanie gorącego napoju. Cienka kawa instant, na wodzie z posmakiem manierki, parzona wśród gryzącego dymu heksaminy smakowała niczym dzieło baristy. Miałem też już nocne schronienie, bo razem z „Sarną” wzniesiliśmy istną willę z naszych poncho. Mój współlokator, doświadczony traper, w cywilu obsługuje rajdy aut terenowych. Nie raz po drodze dodawał mi otuchy. Nie służył w prawdziwym wojsku, ale dostrzegłem u niego bezpretensjonalną zaradność i rozsądek charakterystyczne dla komandosów.

Wydawało mi się, że teraz może być już tylko lepiej, lecz przyroda znowu pokazała nam całą swoją moc. Nagle huragan zaczął zrywać nasze schronienia. Jednocześnie lunął deszcz, a po chwili o ziemię zaczął uderzać ogromny grad. Ostatkiem sił utrzymałem namiot, więc po wszystkim chciałem już tylko szybko zasnąć. Chociaż noc była zimna, nie zmarzłem. Specjalny ocieplacz pod mundur, tzw. śpioch, spełnił swoją rolę. Zamiast śpiwora miałem ocieplenie do poncho. Wygląda ja cieniutka derka, ale gdy starannie się nim owinać, grzeje jak folia NRC.

O trzeciej w nocy wstałem na wartę. Od poprzedniej zmiany dostałem gaz i petardy do odstraszenia niedźwiedzi, ale na szczęście nie przydały mi się, było spokojnie. Ledwie wróciłem do namiotu i zamknąłem oczy... na nogi postawił mnie huk petard. Wskoczyłem na zewnątrz, po drodze złapałem atrapę M16. Zobaczyłem tylko kolegów, tak jak ja „uzbrojonych” i zaspanych. Alarm okazał się fałszywy, wartownik sprawdzał tylko naszą czujność...

SPOKOJNIE JAK NA WOJNIE

Nowy dzień minął głównie na odpoczynku. Przeszliśmy też specjalne szkolenie z łączności, niełatwe, bo nasze przenośne radiostacje pochodziły z połowy ubiegłego stulecia. Nazajutrz, dla odmiany skąpani w słońcu, ruszyliśmy w dalszą drogę. Dziarsko maszerowaliśmy, bo większość z nas ból aklimatyzacji miała już za sobą. Czuliśmy





Zbudowaliśmy schronienia na noc, przyszedł też czas na rozstawienie posterunków i ustalenie wart. Nie groził nam atak Wietkongu, za to całkiem realna była wizyta niedźwiedzia.

NAWET OWADY ZDAWAŁY SIĘ NUCIĆ PIOSENKĘ „FORTUNATE SON”, MUZYCZNY SYMBOL WOJNY W WIETNAMIE

jednak, że sprzęt, którym US Army dysponowała w Wietnamie, nie nadawał się do działań w zalesionym, górzystym terenie. Ciężkie stalowe hełmy z fasunkami z tworzywa sztucznego ograniczały i tak słabą widoczność. Plecaki, tylko z nazwy lekkie, ciągnęły nas do tyłu. Cały ekwipunek telepał się i chrząścił, chociaż został rozmieszczony prawidłowo. Gdybyśmy naprawdę tropili Wietkong, partyzanci słyszeli by nas z odległości wielu mil. I tak też się stało w naszej symulacji. W samym środku lasu nagle grzmotnęły petardy i usłyszeliśmy okrzyki. „Kontakt, kontakt z prawej!”. Padłem w błoto, złożyłem się do strzału i puściłem wymyśloną serię w stronę przeciwnika. Udało się, atak został odparty.

Prawdziwym nieprzyjacielem na tym patrolu znowu okazała się pogoda. Na przełęcz niespodziewanie złąpała nas burza. Dygotaliśmy z zimna, przemoczeni i wściekli, bo czarna chmura wisiała tylko nad nami, wokół rozciągało się czyste niebo. Złość dodała sił, aby dowieść się na miejsce postoju. Zabraliśmy się za budowę schronień.

Z kolejnego dnia niewiele zapamiętałem. Zaczęło się niewinnie, od dużego zmęczenia. Na postoju płuca pracowały jak miechy, serce waliło niczym młot. Nagle poczułem, że zapadam się w sobie, a z ciała uchodzą siły. Ocuciła mnie zimna woda z czyjejs manierki. Ktoś zabrał mi plecak, ruszyłem na miękkich nogach i w końcu dowlókłem się na miejsce noclegu. Medyk uznał, że był to opóźniony wstrząs aklimatyzacyjny i nagły spadek cukru. Rzeczywiście, na nogi postawiła mnie solidna porcja słodczy od zaniepokojonych kolegów.

Następne dni minęły bez niespodzianek. Dobrze znany monotony marsz pod górę i z górki, po błocie i po suchym gruncie, do tego ból mięśni i zmęczenie. Niełatwo, ale do wytrzymania. Morale nieco się poprawiło. Mieliśmy już siłę, żeby pełnymi zdaniem odpowiadać na pytania zdziwio-

nych turystów. Ubawił nas „Sarna”, gdy ze znużenia pomylił dzień swoich urodzin – i obchodził je dwa razy. Z podziwem patrzyliśmy na „Dżej Dżeja”, który z dnia na dzień z przerażonego nastolatka zmieniał się w pewnego siebie, młodego mężczyznę. Wojsko, nawet udawane, to zawsze kuźnia charakterów!

Ostatni nocleg przed powrotem do bazy wypadł w leśnej wiacie. Same luksusy – drewniany dach, kamienna podłoga, w pobliżu górską rzeką. Woda zimna jak lód, ale po raz pierwszy od tygodnia można się umyć i ogolić. Co za rozkosz! Późnym popołudniem odbyły się zajęcia z postaw strzeleckich i bezpiecznego obchodzenia się z bronią. Prowadzili je „Komandos” i „Bękart”, obaj prawdziwi żołnierze i spadochroniarze, więc można było się dużo nauczyć. Szkoda, że nasze atrapy M16 z trudem poddawały się skomplikowanym manipulacjom.

SZACUNEK DLA ŻOŁNIERZY

Nazajutrz, po krótkim marszu, autokary odwiozły nas do miejsca, z którego ruszaliśmy przed tygodniem. Tam rozstawiliśmy wojskowe namioty, które teraz były dla nas niczym pałace. Wciąż panował rygor wojskowy, ale i tak byliśmy już rozluźnieni. Wreszcie było sucho, ciepło, dzień wypełniły rozmowy i wykłady oraz pstrykanie pamiątkowych fotografii.

Następnego dnia w południe, na apelu, ogłoszono koniec patrolu. Dotąd niemal upragniony, teraz oznaczał kres wspaniałej przygody. Wspominaliśmy wyprawę przy piwie i pierwszym od tygodnia normalnym posiłku. Jeszcze tradycyjny toast za tych, co zostali w górach, a potem już na luzie bawiliśmy się na pożegnalnej imprezie. Rano wyjazd do domów. Byliśmy wykończeni, ale dumni z siebie i pełni podziwu dla prawdziwych żołnierzy walczących w Wietnamie. ■

Nierzadko zdarza się, że schrony lub ich pozostałości odkrywają rolnicy podczas prac polowych. Członkowie stowarzyszenia prowadzą też obserwację z powietrza za pomocą drona.

Historia z betonu i stali

Połączyła ich pasja, zamiłowanie do historii regionu i militariów. Grupa entuzjastów założyła stowarzyszenie, by ocalić od zapomnienia pamiątki z czasów II wojny światowej.

MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK

Dziadek w czasie wojny był nauczycielem. Prowadził tajne komplety, za co miał być rozstrzelany na rynku w Proszowicach. Szczęśliwie udało mu się uniknąć egzekucji, bo z rąk Niemców odbili go uczniowie. Babcia zaś pochodzi z Wołynia... To chyba właśnie wojenne wspomnienia moich dziadków sprawiły, że tak bardzo zainteresowałem się historią”, opowiada Wojciech Bujakowski ze Stowarzyszenia Historyczno-Eksploracyjnego „Bojowe Schrony Proszowice”. „Mój pradziadek Henryk Grzesik przeszedł cały szlak bojowy 55 Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Gdy wrócił do domu, na okupowanym terenie stworzył straż ogniową”, opowiada z kolei Wojciech Pasek, założyciel Stowarzyszenia. Grupę tworzy ponad 25 osób. Różni je wiek, wykształcenie, doświadczenie zawodowe, ale łączy idea: chcą przywrócić pamięć o ludziach, którzy walczyli na terenie powiatu proszowickiego.

ŚLADY WOJNY

To, co w czasie I i II wojny światowej działo się na terenie dzisiejszego powiatu proszowickiego w województwie małopolskim, pozostaje w cieniu wielkich wydarzeń tamtej epoki. Nie znaczy to wcale, że działo się niewiele, po prostu

o tych sprawach z różnych względów nie mówi się dużo. Dlatego grupa entuzjastów postanowiła to zmienić. Dziesięć lat temu na terenie Proszowic odkryli pierwszy schron spośród kilkudziesięciu tworzących niemiecką linię umocnień. Miały one w 1944 roku zatrzymać nacierającą Armię Czerwoną. Z reguły budowali je przymuszeni przez Niemców Polacy. „Kiedyś podczas spaceru zobaczyłem wystającą z ziemi dziwną studzienkę kanalizacyjną. Gdy wszedłem do środka, było już dla mnie jasne, że to schron z czasów II wojny światowej. To był początek przygody, która trwa już lata, a z pewnością jeszcze wiele niespodzianek przed nami”, przyznaje 33-letni przedsiębiorca Wojciech Bujakowski.

Dlaczego młodzi zainteresowali się schronami? Przyznają, że poza cmentarzami i mogiłami, należą one do nielicznych w regionie materialnych śladów wydarzeń historycznych. „To nie jest typowy zabytek, o który dba się z należyтым szacunkiem. A przecież one przetrwały dziesięciolecia. Mogą o lokalnych wydarzeniach mówić następnym pokoleniom. Szlak schronów to historia zamknięta w betonie i stali”, mówi Wojciech Pasek.

Stowarzyszenie zajęło się odnawianiem tych budowli i zbieraniem dokumentacji. „Szybko przekonaliśmy się, że



SCHRONY BYŁY PUNKTEM WYJŚCIA, ŚWIADECTWEM W MINIATURZE TRUDNEJ HISTORII POLSKI



Stowarzyszenie Historyczno-Eksploracyjne „Bojowe Schrony Proszowice” tworzy ponad 25 osób. Różni je wiek, wykształcenie i doświadczenie, ale łączy idea: chcą przywrócić pamięć o ludziach, którzy walczyli na terenie powiatu proszowickiego.



ADAM PSICA / BOJOWE SCHRONY PROSZOWICE (3)

to ciężka robota. Musieliśmy usuwać skutki nawałnic: kilogramy mułu, błota oraz przyniesionych przez wodę śmieci. Zresztą cały czas walczymy ze skutkami dewastacji. Ludzie nie mają szacunku dla naszej pracy i niszczą to, co udało nam się odnowić”, mówi 24-letni fotograf Adam Psica.

Pierwszy odkryty przez nich schron Ringstand 58c, nazywany zwyczajowo tobrukiem (konstrukcja oparta jest na projekcie włoskim wykorzystywanym w Afryce podczas walk o Tobruk), znajduje się w Proszowicach. Przeznaczony dla dwuosobowej załogi, składa się z izby amunicyjnej oraz stanowiska bojowego. To ostatnie było dla ciężkiego karabinu maszynowego lub moździerza, a nierzadko dla granatników Panzerfaust czy Panzerschreck. „Odkopanie tobruka to był początek. Dziś nazywamy to miejsce skansenem. Oczyszcziliśmy je i odnowiliśmy, a następnie w pobliżu zbudowaliśmy ziemiankę oraz fragment okopów, by stworzyć swego rodzaju ciąg fortyfikacji. Teraz można to zobaczyć z bliska. Skansen jest otwarty dla zwiedzających”, mówi Wojciech Pasek. Dwudziestosiemioletni na co dzień jest strażnikiem ochrony kolei oraz instruktorem strzelectwa.

Po tobruku odnajdywali kolejne elementy fortyfikacji linii obrony Stellung A2, które finalnie stworzyły szlak schronów II wojny światowej w powiecie proszowickim. „Odkopaliśmy np. kochbunker, czyli jednoosobowy lekki schron

bojowo-obszerny, z którego żołnierze mogli prowadzić ostrzał z karabinu maszynowego”, opowiadają entuzjaści. Znaleźli także i odnowili Regelbau 51A, który wykorzystywano jako schronienie dla ośmioosobowej drużyny, miejsce dla rannych żołnierzy lub magazyn sprzętu wojskowego oraz amunicji. „Wiemy, gdzie przebiegały okopy, rowy przeciwpancerne, a nawet w którym miejscu ustawiano zasieki. W sumie w powiecie proszowickim zidentyfikowaliśmy kilkadziesiąt różnego rodzaju elementów fortyfikacji niemieckich”, mówi Wojciech Bujakowski.

POSZUKIWACZE SKARBÓW

Schrony były punktem wyjścia, świadectwem w miniaturze trudnej historii Polski. Potem przyszło zainteresowanie przeszłością regionu. Skąd czerpią wiedzę? Przede wszystkim ze wspomnień mieszkańców okolic. Nierzadko zdarza się, że schrony lub ich pozostałości odkrywają rolnicy podczas prac polowych. Członkowie Stowarzyszenia prowadzą też obserwację z powietrza za pomocą drona. Wiele informacji zdobywają jednak z archiwów wojskowych. „Udało nam się dotrzeć do zdjęć robionych przez Luftwaffe w 1944 roku, które pokazują budowaną wówczas linię obrony”, mówi Adam Psica. To nie wszystko. Entuzjaści dotarli także do dzienników i sprawozdań żołnierzy Armii Czerwonej, które pomagają im tłumaczyć emerytowana nauczycielka języka ro-

syjskiego. „Część dokumentów została odtajniona lub skatalogowana dopiero w ostatnich latach. Mamy więc świadomość, że po niektóre z tych materiałów sięgamy jako pierwsi od czasów wojny”, mówi Psica. Fotograf przyznaje, że istotne informacje udało im się pozyskać z archiwów w Niemczech, Rosji, Wielkiej Brytanii, a nawet w Stanach Zjednoczonych.

Identyfikacja niemieckich fortyfikacji to nie wszystko. Stowarzyszenie angażuje się w różnego rodzaju akcje społeczne, dzięki którym odkryto kilka skarbów. W czasie czyszczenia rzeki Szreniawy wyjęli z wody m.in. łuskę z niemieckiego działa przeciwpancernego PaK, pociski moździerzowe oraz tzw. świńskie ogonki, czyli podpory do drutów kolczastych. „Oburza nas to, że rów przeciwpancerny, który nasi dziadkowie kopali pod karabinami Niemców, dziś służy miejscowym jako śmietnik. Najczęściej takie zachowanie wynika z niewiedzy”, mówi Wojciech Bujakowski.

„Wszystko, co robimy, ma służyć budowaniu świadomości mieszkańców regionu. Chcemy też upamiętnić dokonania tych, którzy walczyli o swoją małą ojczyznę, a także tych, którzy tu zginęli. Mało kto wie, że pod Proszowicami rozegrano bitwy w czasie I i II wojny światowej. Poległo tu wielu ludzi, a nie wszyscy spoczywają na cmentarzach. Zamierzamy tym się zająć, choćby dlatego, że podczas I wojny światowej w armiach zaborczych walczyli również Polacy”, mówi Adam Psica. Stowarzyszenie zajmuje się odnawianiem i oznaczaniem mogił poległych żołnierzy na terenie powiatu proszowickiego.

Z roku na rok kolekcja Stowarzyszenia się powiększa. Dziś zbiór tworzą dziesiątki różnego rodzaju pamiątek. To nie tylko łuski po nabojach, lecz także apteczki wojskowe, radiostacje, kanistry, lufa od PaKa, niemiecka ładownica do karabinu maszynowego, manierki czy stare zdjęcia. Większość artefaktów wymaga renowacji, czym również zajmują się entuzjaści ze Stowarzyszenia. „Gdy o naszej działalności związanej z odkopywaniem schronów zrobiło się głośno w Proszowicach i pobliskiej okolicy, ludzie sami zaczęli się do nas zgłaszać. Wielu z nich chce nam przekazać dokumenty po swoich przodkach lub osobiste pamiątki partyzantów z 1944 roku”, mówi Wojciech Pasek.

POMYSŁ NA MUZEUM

Członkowie Stowarzyszenia na razie dzielą się swoimi odkryciami przez internet, ale planują wydać książkę poświęconą wydarzeniom 1944 roku. Jeśli jednak Stowarzyszenie chce prezentować swoje zbiory i pozyskiwać kolejne pamiątki z czasów I i II wojny, musi rozbudować działalność. „Otworzymy w Proszowicach muzeum. Niedawno wydzierżawiliśmy przedwojenny budynek, który po remoncie udostępnimy zwiedzającym”, mówi Pasek i dodaje: „W czasie wojny budynek sąsiedował ze szpitalem, w którym opiekowano się powstańcami warszawskimi, o czym wie tylko niewielu proszowian”. Na ponad 200 m² zostanie przygotowana ekspozycja poświęcona obu wojnom światowym. ■



Fundacja

Fort III Pomiechówek

Ministerstwo Obrony Narodowej
oraz Fundacja Fort III
Pomiechówek realizują projekt pod
nazwą: „Zachowajmy w pamięci
Fort III w Pomiechówku”. Fort
III w Pomiechówku był w czasie II
wojny światowej najstraszniejszą
niemiecką katownią gestapo na
Mazowszu.

Jeśli:

- posiadasz jakiegokolwiek informacje lub pamiątki dotyczące Fortu,
- ktoś z Twojej rodziny był więźniem Fortu lub posiadasz informacje o innych więźniach,
- chciałbyś odwiedzić Fort III, poznać jego historię i architekturę,
- chcesz sprawdzić kto był więźniem Fortu,
- chciałbyś dowiedzieć się więcej o bieżących wydarzeniach związanych z Fortem.

Skontaktuj się z nami:

- strona internetowa
www.forttrzcipomiechówek.org,
- profil Fundacji na FB:
<https://www.facebook.com/fundacjaforttrzcipomiechówek>
- mail:
fundacja@forttrzcipomiechówek.org
- telefon: +48 22 828 08 94

Razem nie dopuścimy aby po
więźniach Fortu zostały tylko
napisy wyryte przez nich na
ścianach celi śmierci.

Pomóżcie nam ocalić o nich
pamięć.

Projekt dofinansowany ze środków
Ministerstwa Obrony Narodowej



Jan Weseli należał do tych nielicznych Polaków, których wojenny los zagnał aż na Pacyfik. Jako strzelec pokładowy brytyjskiego bombowca walczył przeciw Japończykom w Birmie. Mimo że był to już maj 1945 roku, Amerykanie i Brytyjczycy wciąż nie mogli odtrącić zwycięstwa nad nieprzyjacielem, broniącym się twarde w dżungli. Kpt. Weseli tak wspominał Japończyków: „Pokonywanie przez nich ogromnych trudności w dżungli zakrawało na jakiś pakt z siłą nieczystą. Tam gdzie biały człowiek był bezapelacyjnie skazany na śmierć, oni wychodzili zwycięsko. [...] Widziałem sam, z jakim zabobonnym strachem Gurkowie przyjmowali wiadomość, że mają iść na front w dżunglę. A byli to przecież ci sami odważni żołnierze, którzy w Libii śpiewając szli w bój”. Wielu japońskich żołnierzy nie złożyło broni nawet po ogłoszeniu ka-

pitulacji przez ich kraj. Zgodnie z samurajskim kodeksem woleli umrzeć, niż zhańbić się oddaniem w niewolę. Jak miało się okazać, niektórzy z nich prowadzili walkę przez 20, 30, a nawet 40 lat po zakończeniu wojny! Japońska kinematografia podjęła rozrachunek z tym „dziedzictwem samurajskiej tradycji” stosunkowo wcześniej. Już w 1956 roku Kon Ichikawa nakręcił „Harfę birmańską” – arcydzieło kina wojennego i religijnego jednocześnie.

SŁUGA DUCHÓW

Film Ichikawy otwiera i kończy haiku: „Ziemia w Birmie jest czerwona/ Takie też tu są skały”. Ta klamra spina historię kompanii kpt. Inouye (Rentarō Mikuni), którą koniec wojny zastaje w birmańskiej dżungli. Inouye to wyjątkowy oficer. W cywilu był nauczycielem muzyki, wyuczył więc swych

PIOTR KORCZYŃSKI

Gdy w Europie świętowano koniec wojny i opłakiwano jej niezliczone ofiary, na Pacyfiku wciąż było piekło. Jak w Conradowskim „Jądrze ciemności”, żołnierze przekraczali granice człowieczeństwa i zmieniali się w bestie.



„Ognie w polu” są pełne naturalistycznych obrazów ludzkiej degeneracji – zarówno fizycznej, jak i psychicznej.

KONIEC ŚWIATA PO JAPOŃSKU





„Ogień w polu”,
2014 rok



„Harfa Birmańska”,
1956 rok



„Ogień w polu”,
1959 rok

żołnierzy chóralnego śpiewu, a jednego z nich – Mizushimę (Shōji Yasui) – gry na birmańskiej harfie (saungu). Na tym nie kończy się oryginalność dowódcy. W dniu kapitulacji, w odróżnieniu od wielu innych japońskich oficerów, nakazuje swym podwładnym od razu złożyć broń. Nie widzi sensu w samobójczej walce (wciąż powtarza frazę dobrze znaną i w naszym kraju: „Będziecie jeszcze potrzebni ojczyźnie”). Więcej nawet – na prośbę Brytyjczyków wysyła swego harfistę, by przekonał on jeden z walczących nadal oddziałów do kapitulacji. Niestety, fanatycy ukryci w górskiej pieczarze nie chcą słuchać argumentów posłańca i w większości giną w ogniu brytyjskiej artylerii. Rannego Mizushimę ratuje od śmierci buddyjski mnich.

Po nabraniu sił harfista rozpoczyna nową misję: przemierza pustkowia Birmy i grzebie porzucone na skałach i brzegach rzek ciała swych towarzyszy broni. W pamięci tkwią mu słowa mnicha, który ocalił mu życie: „Widzisz, jakie próżne są wasze wysiłki. Armie japońska i brytyjska nic nie zmieniły. Birma pozostała Birmą. Nadal jest krajem Buddy”. Mizushima postanawia służyć duchom poległych żołnierzy i nie wracać do Japonii. Zostaje wędrownym mnichem. Ze swą kompanią, zwolnioną z niewoli do kraju, żegna się, grając jej ostatni raz na harfie.

HORROR! HORROR!

Trzy lata po premierze „Harfy birmańskiej” Kon Ichikawa wrócił do rozliczeń z wojną filmem „Ogień w polu”, adaptując na scenariusz głośną powieść antywojenną Ōoka Shōhei o tym samym tytule. Tym razem twórca opowiada o końcu wojny w filipińskiej dżungli, widzianej z perspektywy chorego i wycieńczonego z głodu żołnierza Tamury (Eiji Funakoshi).

Ichikawa oszczędza widzowi naturalistycznych scen związanych z walką o przetrwanie, która kończy się całkowitą degradacją człowieczeństwa. Czarno-biały, posępny obraz i niespieszny rytm filmu pozwalają na dystans i dają czas na refleksję o bezsensie wojny. Podobnie jak „Harfa birmańska”, to filmowy poemat.

Zupełnie inna jest nowa adaptacja powieści Shōhei z 2014 roku. Tym razem na warsztat

wziął ją jeden z najgłośniejszych i oryginalnych twórców japońskiego horroru i science-fiction, Shin'ya Tsukamoto. Jego „Ogień w polu” są pełne naturalistycznych obrazów ludzkiej degrengolady – zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Brud, ropiejące rany, rozkładające się trupy, wnętrzności porozpinane na drzewach przepastnej dżungli... Ale to jeszcze nie jest najgorsze, gdyż należy już do świata umarłych. Żywi żołnierze są tak samo odrażający jak ich polegli towarzysze – brudni, z ranami, z których cieką krew i ropa, z obłędem w oczach, spowodowanym nie tyle strachem przed tropiącym ich nieprzyjacielem, ile najgorszą z najgorszych tortur – głodem. Ci nieszczęśnicy mają prawdziwego pecha, że dotrwali do końca wojny, a największym pechowcem w oddziale jest szeregowiec Tamura (w tej roli sam reżyser). Nie jest ranny, lecz chory na gruźlicę, i to jest właśnie jego nieszczęście. Dowódca nie chce widzieć w oddziale gruźlika, więc odsyła go do szpitala polowego. Tam, od lekarza w prymitywnych warunkach amputującego rannym zarażone gangreną kończyny słyszy, że ten nie może mu pomóc i szkoda mu czasu dla człowieka, który ma jeszcze wszystko na miejscu i może się poruszać. Tamura w końcu otrzymuje rozkaz, że ma się zabić, jeśli nie wyzdrowieje, gdyż martwy „przyniesie więcej pożytku swej ojczyźnie”. W tym piekle kodeks i dyscyplina cesarskiej armii nadal obowiązują, co powoduje, że sytuacja Tamury jest jeszcze straszniejsza. Krąży więc on po dżungli, cierpiąc katusze głodu, które spychają go w szaleństwo i doprowadzają do ostateczności. Pozostaje już tylko jeden wybór: śmierć albo kanibalizm. W pewnym momencie żołnierz w chorobliwym widzie dostrzega dymy unoszące się nad przesieką w lesie... „Horror!, horror!”, krzyczał Kurtz, główny bohater „Jądra ciemności”, który z idealisty zmienił się w dżungli w zbrodniarza. „Ogień w polu” Tsukamoto pokazują ten proces drobiazgowo i bezkompromisowo.

Lecz, parafrazując słowa Edwarda Stachury, życie straszniejsze jeszcze jest od filmowej fikcji. Dla por. Hiroo Onody wojna zakończyła się po 29 latach od podpisania przez jego kraj aktu kapitulacji. Z filipińskiej dżungli wyszedł i oddał swój samurajski miecz w 1974 roku. I wcale nie był ostatni! Ponoć (według nie do końca potwierdzonych wiadomości) w 2005 roku na filipińskiej wyspie Mindanao oddało się w ręce policji dwóch żołnierzy cesarskiej armii. Por. Onoda w Japonii uznany został za bohatera, ale musiało upłynąć dziesięć kolejnych lat, by jakoś zaadaptował się w nowej rzeczywistości. Wówczas zajął się... organizacją obozów przetrwania dla dzieci. ■



ANDRZEJ FĄFARA

Legenda Pershinga



Przypadająca we wrześniu 160. rocznica urodzin Johna Pershinga to dobra okazja, by wyjaśnić, że nie był to ani przywódca gangu pruszkowskiego, ani tym bardziej pocisk balistyczny, tylko wybitny amerykański wojskowy, jeden z najbardziej zasłużonych dla US Army. Najpierw wykładał w najsłynniejszej wojskowej uczelni West Point, potem okazał się znakomitym praktykiem. To głównie jemu Amerykanie zawdzięczają sukcesy w Europie podczas I wojny światowej.

Talent i skuteczność John Pershing potwierdził wcześniej na Filipinach, gdzie został wysłany w celu spacyfikowania muzułmanów zwanych Moro. Amerykanie z całą siłą i desperacją bronili swoich wpływów oraz interesów w tym rejonie Azji. Wojna od samego początku była bardzo krwawa, obie strony uciekały się do wręcz barbarzyńskich metod, wykraczających daleko poza ramy wyznaczane przez międzynarodowe konwencje. Dość powiedzieć, że życie straciło wówczas około 200 tys. filipińskich cywilów.

Rozprawienie się z walecznymi wyznawcami islamu zajęło Pershingowi aż cztery lata. Na fali wspomnianego okrucieństwa tamtej wojny przypisuje się generałowi działania od początku do końca zmyślane. Rozpowszechniana jest mianowicie opowieść, jakoby Pershing miał w zwyczaju rozstrzeliwać schwytanych bojowników Moro, używając podczas egzekucji pocisków zanurzonych w świńskiej krwi. Chodziło o to, by uniemożliwić muzułmanom dostanie się do raju. Jednego bojownika rzekomo wypuszczano, by rozpowszechniał on wśród swoich odstraszącą wieść o perfidnej metodzie stosowanej przez Amerykanów. To zdarzenie miało też spowodować przełom w działaniach wojennych i zapewnić Pershingowi ostateczny sukces.

Biografowie generała protestowali już po wielokroć, przysięgając na wszystkie świętości, że nic takiego nie miało miejsca. „Polska Zbrojna” przed kilku laty też prostowała zmyślony fragment życiorysu Pershinga. Na próżno. Anonimowi internauci od czasu do czasu emitują legendę o rozstrzelaniu i pociskach zanurzonych w świńskiej krwi. Ale żeby tylko anonimowi. Dwa lata temu przywódca światowego mocarstwa tuż po zamachach w Barcelonie napisał na Twitterze: „Sprawdźcie, co gen. Pershing robił schwytanym terrorystom. Nie było radykalnego islamskiego terroru przez kolejne 35 lat”.

W internecie podobno nic nie ginie. Niestety...



Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

DODATKI DLA NURKÓW I SPADOCHRONIARZY

Moje pytanie dotyczy wypłacania dodatków nurkowych oraz spadochronowych. Żołnierz, który wykonuje obie te czynności, pobiera jeden dodatek, z reguły ten wyższy. Czy jednak nie powinien mu zostać wypłacone pieniądze za wykonywanie każdej takiej czynności?

Czy żołnierz, który pobiera dodatek nurkowy, ale wykonał 50 skoków ze spadochronem, nie powinien otrzymać za każdy z tych skoków 10 zł brutto, albo w sytuacji odwrotnej – jeżeli spędził 50 godzin pod wodą, nie powinien dostać 15 zł brutto za każdą godzinę?

→ **Szczegółowe warunki, tryb przyznawania i podwyższania dodatku specjalnego określa rozporządzenie ministra obrony narodowej z 28 grudnia 2016 roku w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych.** Zgodnie z § 16 ust. 1 żołnierz zawodowy, który w ramach obowiązków na zajmowanym stanowisku wykonuje prace podwodne z użyciem sprzętu nurkowego, otrzymuje dodatek specjalny o charakterze stałym. Tak samo żołnierz

zawodowy, który w ramach obowiązków na zajmowanym stanowisku wykonuje skoki ze spadochronem, otrzymuje dodatek specjalny o charakterze stałym. Wskazać należy, że zgodnie z art. 80 ust. 5e ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych żołnierzowi zawodowemu spełniającemu równocześnie warunki do otrzymania dodatków specjalnych o charakterze stałym z kilku tytułów przysługuje jeden dodatek specjalny w wyższej stawce miesięcznej. Ustawodawca zawarł zastrzeżenie, że żołnierz zawodowy nie może otrzymać równocześnie dodatku specjalnego z więcej niż jednego tytułu. Inna sytuacja jest, jeśli żołnierz nie otrzymuje dodatku specjalnego o charakterze stałym. Wówczas, zgodnie z § 17 rozporządzenia, żołnierzowi zawodowemu nieuprawnionemu do dodatku specjalnego, o którym mowa w § 16, który wykonuje prace podwodne z użyciem sprzętu nurkowego albo w warunkach sztucznie podwyższonego ciśnienia atmosferycznego, przyznaje się za każdą godzinę wykonywania tych prac dodatek specjalny w wysokości 1/30 miesięcznej stawki dodatku

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU z 2020 roku, poz. 860) – art. 80 ust. 5e; rozporządzenie ministra obrony narodowej z 28 grudnia 2016 roku w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU z 2019 roku, poz. 853) – § 16, § 17, § 18 i § 19.



Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

specjalnego wypłacanej żołnierzowi na podstawie § 16 ust. 1 pkt 4 rozporządzenia. Podobnie zgodnie z § 19 rozporządzenia żołnierzowi zawodowemu nieuprawnionemu do dodatku specjalnego, o którym mowa w § 18, przyznaje się za każdy skok ze spadochronem, wykonany w trakcie szkolenia jednostek lub pododdziałów wojskowych objętych szkoleniem spadochronowym, dodatek specjalny w wysokości 1/30 miesięcznej stawki dodatku, wypłacanej żołnierzom na podstawie § 18 ust. 1 pkt 5 rozporządzenia.

Z przedstawionego stanu faktycznego i stwierdzenia, że „żołnierz, który wykonuje obie te czynności, pobiera jeden dodatek, z reguły ten wyższy”, można wnioskować, iż żołnierz spełnia warunki do otrzymania dodatków specjalnych o charakterze stałym z kilku tytułów. Wobec tego z kilku tytułów przysługuje jeden dodatek specjalny w wyższej stawce miesięcznej. ■

ANETA KLIMOWICZ

Kancelaria Radców Prawnych s.c.

K. Przymęcka & J.P. Przymięcki

ZWROT ZA WYCIECZKĘ

Przebywam obecnie w jednym z polskich kontyngentów wojskowych. W styczniu, gdy nie było jeszcze obostrzeń związanych z koronawirusem, wykupiłem wycieczkę zagraniczną. Jeśli okaże się, że rotacje kontyngentów będą przesunięte lub po powrocie będzie nas czekać obojętna kwarantanna, nie zdążę zrobić niezbędnych badań wymaganych po powrocie z misji. Czy w takiej sytuacji mam prawo ubiegania się o zwrot kosztów wycieczki, jeśli z powodów służbowych nie zdążę na nią pojechać?

➔ Na wstępie wskazać należy, iż aby odpowiedzieć na to pytanie, niezbędna jest analiza umowy zawartej z biurem podróży. Przypuszczać jednak można, iż w tej sprawie istotne znaczenie miałyby klauzula tzw. siły wyższej bądź też zdarzeń losowych. Postanowienia dotyczące siły wyższej czy zdarzeń losowych i wynikające z ich wystąpienia skutki dla stron umowy mogą być różnie ujęte w postanowieniach umownych. Stąd też każdy przypadek wymaga indywidualnej oceny i zbadania wszelkich okoliczności sprawy. Możliwe również, iż ubezpieczenie turystyczne autora pytania, jeśli zostało wykupione, przewiduje postanowienia adekwatne do zaistniałej sytuacji, które wyeliminują ryzyko utraty pieniędzy.

Odpowiadając jednak ogólnie na postawione pytanie, jeśli chodzi o przepisy ustawy o imprezach turystycznych i powiązanych usługach turystycznych, stwierdzić należy, że ustawodawca nie przewidział w niej możliwości odstąpienia od umowy z powodów wskazywanych przez autora pytania czy też ogólnie siły wyższej i zwrocie

kosztów za niezrealizowaną wycieczkę. W art. 47 ust. 4 wymienionej ustawy przewidziano jedynie odstąpienie od umowy bez ponoszenia opłaty w przypadku nieuniknionych, nadzwyczajnych okoliczności, jednakże występujących w miejscu docelowym lub jego sąsiedztwie, mających znaczny wpływ na imprezę turystyczną – w takiej sytuacji przewidziano obowiązek zwrotu wpłat dokonanych przez podróżnego.

Odnosząc się do obaw autora pytania o brak możliwości udziału w wycieczce, należy wskazać, że jeśli chodzi o ewentualne przesunięcia rotacji kontyngentów, to minister obrony narodowej na stronie internetowej ministerstwa informował, iż mimo epidemii będą one się odbywały zgodnie z planem. Natomiast jeśli chodzi o kwarantannę ze względu na otwarcie granic wewnętrznych UE, obecnie po powrocie do Polski nie ma obowiązku jej odbywania. Ponadto, jeśli chodzi o przekraczanie granicy zewnętrznej UE, z obowiązkowej kwarantanny są zwolnieni żołnierze Sił Zbrojnych RP wykonujący zadania służbowe. Ewentualna kwarantanna może wynikać z zachorowania na COVID-19 bądź podejrzenia zachorowania. Jednakże, jak zaznaczono na wstępie, w takim przypadku należy sięgnąć do zapisów umownych, np. dotyczących prawa odstąpienia od umowy. Autor pytania powinien skontaktować się z biurem podróży odnośnie do możliwości rozwiązania sprawy, ewentualnie z ubezpieczycielem, w przypadku gdy umowa ubezpieczenia została zawarta. ■

JOANNA RYBA

Kancelaria Radców Prawnych s.c.

K. Przymęcka & J.P. Przymięcki

Podstawy prawne: ustawa z 24 listopada 2017 roku o imprezach turystycznych i powiązanych usługach turystycznych (tekst jednolity DzU z 2019 roku, poz. 548, ze zm.), rozporządzenie Rady Ministrów z 19 czerwca 2020 roku w sprawie ustanowienia określonych ograniczeń, nakazów i zakazów w związku z wystąpieniem stanu epidemii (DzU z 2020 roku, poz. 1066 ze zm., w tym DzU z 2020 roku, poz. 1182).

CZY TO SŁUŻBA KANDYDACKA?

W grudniu 2012 roku ukończyłam trzymiesięczne szkolenie w ośrodku szkolenia dla ochotników jako szeregowy elew. Potem, do 2014 roku miałam przerwę, a następnie rozpoczęłam służbę kontraktową, którą pełnię do dziś. Czy szkolenie w ośrodku jest uwzględniane przy ustaleniu mojego prawa do starych lub nowych zasad emerytalnych? Znalazłam zapis wyjaśniający znaczenie służby kandydackiej i w moim przekonaniu, będąc w ośrodku szkolenia, właśnie taką służbę odbywałam. Proszę o wyjaśnienie.

➔ **Zgodnie z art. 124 ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych kandydaci na żołnierzy zawodowych pełnią czynną służbę wojskową jako służbę kandydacką.**

Stosownie do treści art. 125 wymienionej ustawy osoby powołane do służby kandydackiej stają się żołnierzami w czynnej służbie wojskowej z dniem stawienia się do tej służby. Z dniem rozpoczęcia pełnienia służby kandydackiej żołnierz otrzymuje bez szczególnego nadania tytuł:

- 1) podchorążego, jeżeli kształci się na oficera zawodowego;
- 2) kadeta, jeżeli kształci się na podoficera zawodowego;

3) elewa, jeżeli kształci się na szeregowego zawodowego.

Z przedstawionego stanu faktycznego nie można wnioskować, iż odbyła pani służbę kandydacką. Możliwe, że była to służba przygotowawcza. Niezależnie od tego szkolenie w ośrodku ukończyła pani w grudniu 2012 roku. Tym samym 1 stycznia 2013 roku nie pełniła pani służby kandydackiej, po której ukończeniu bezpośrednio zostałyby pani powołana do zawodowej służby wojskowej, co pozwałoby stosować nowe zasady emerytalne. Zgodnie z treścią art. 18a ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin żołnierzowi powołanemu po raz pierwszy po 31 grudnia 2012 roku do zawodowej służby wojskowej lub służby kandydackiej emerytura przysługuje na zasadach i w wysokości określonych w niniejszym rozdziale (emerytura przysługuje żołnierzowi zwolnionemu z zawodowej służby wojskowej, który w dniu zwolnienia posiada co najmniej 25 lat służby wojskowej w Wojsku Polskim – art. 18b ust. 1 wymienionej ustawy). W myśl art. 18a ust. 2 cytowanej ustawy przepisu ust. 1 nie stosuje się jednak do żołnierza:

- 1) pełniącego służbę kandydacką 1 stycznia 2013 roku, w przypadku powołania do zawodowej służby wojsko-

wej bezpośrednio po ukończeniu służby kandydackiej;

2) powołanego do zawodowej służby wojskowej po 31 grudnia 2012 roku, jeżeli przed tym powołaniem pełnił służbę w Policji, Urzędzie Ochrony Państwa, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, Służbie Wywiadu Wojskowego, Centralnym Biurze Antykorupcyjnym, Straży Granicznej, Biurze Ochrony Rządu, Państwowej Straży Pożarnej lub Służbie Więziennej, do której został powołany przed 1 stycznia 2013 roku.

Nie spełniła pani powyższych warunków wynikających z art. 18a ust. 2 ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin. Dopiero w 2014 roku rozpoczęła pani służbę kontraktową, tym samym obowiązują panią nowe zasady emerytalne. ■

ANETA KLIMOWICZ

Kancelaria Radców Prawnych s.c.

K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

Podstawy prawne: ustawa z 10 grudnia 1993 roku o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin (tekst jednolity DzU z 2020 roku, poz. 586 ze zm.) – art. 18a i 18b; ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU z 2020 roku, poz. 860) – art. 124 i 125.

RÓWNOWAŻNIK ZA WYŻYWIENIE

Jestem żołnierzem zawodowym. Czy jest możliwość otrzymania równoważnika pieniężnego za niekorzystanie z wyżywienia podczas pełnienia służby dyżurnej, np. dyżurnego danego pododdziału?

➔ **Zagadnienie równoważnika pieniężnego za niewydane wyżywienie zostało uregulowane w ustawie z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych.** Zgodnie z art. 137b ust. 1 wymienionej ustawy żołnierze

zawodowi otrzymują umundurowanie i wyekwirowanie, uzbrojenie oraz, w określonych przypadkach, wyżywienie albo równoważnik pieniężny w zamian za te należności. Z kolei szczegółowe warunki zostały określone w rozporządzeniu MON-u z 3 grudnia 2014 roku w sprawie równoważnika pieniężnego przysługującego żołnierzom zawodowym i żołnierzom pełniącym służbę kandydacką w zamian za bezpłatne wyżywienie niewydane w naturze, wydanym na podstawie art. 137b ust. 6 pkt 2 wymienionej ustawy. ➔

Wskazano w nim konkretne przypadki i stanowią one katalog zamknięty. Przede wszystkim równoważnik przysługuje żołnierzowi zawodowemu wykonującemu zadania w warunkach uniemożliwiających mu korzystanie z wyżywienia w naturze. Autor pytania musiałby więc dokonać analizy, czy takie warunki wystąpiły w jego sytuacji. Ponadto równoważnik pieniężny w wysokości równej 200% wartości pieniężnej zasadniczej szkolnej normy wyżywienia (020) przysługuje żołnierzowi zawodowemu m.in. pełniącemu nieetatową całodobową służbę wewnętrzną lub garnizonową, dyżur bojowy albo ratowniczy, jeżeli nie ma on możliwości korzystania z posiłków przyrządzanych w stołówkach wojskowych, przy braku przeciwwskazań służbowych, jednakże z wyjątkiem przypadku, w którym otrzymał wyżywienie w naturze. Konkludując, należy stwierdzić, że

żołnierzowi zawodowemu wykonującemu zadania w warunkach uniemożliwiających korzystanie z wyżywienia w naturze bądź też żołnierzowi pełniącemu m.in. dyżur bojowy lub ratowniczy przysługuje równoważnik pieniężny, jeśli nie miał on możliwości korzystania z posiłku w stołówce wojskowej i nie otrzymał właściwego wyżywienia w naturze. Ustawodawca nie przewidział natomiast sytuacji, w której to równoważnik pieniężny miałby być wypłacony żołnierzowi mającemu podczas pełnienia dyżuru możliwość korzystania z posiłków w stołówce wojskowej, ale rezygnującemu z tej możliwości. W obecnym stanie prawnym nie ma więc podstawy do wypłaty równoważnika w takiej sytuacji.

JOANNA RYBA

Kancelaria Radców Prawnych s.c.
K. Przymęcka & J.P. Przymięcki

Podstawy prawne:
ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU z 2020 roku, poz. 860) – art. 137b; rozporządzenie MON-u z 3 grudnia 2014 roku w sprawie równoważnika pieniężnego przysługującego żołnierzom zawodowym i żołnierzom pełniącym służbę kandydacką w zamian za bezpłatne wyżywienie niewydane w naturze (DzU z 2014 roku, poz. 1841).

SPRAWY ŻOŁNIERZY

Gwiazda życia dla ratowników

Żołnierze, którzy są absolwentami kursu Combat Lifesaver, będą otrzymywać Wojskową Odznakę Ratownika Pola Walki.

Wprowadzeniu nowej odznaki w Wojsku Polskim zdecydowali przedstawiciele Ministerstwa Obrony Narodowej. Odpowiednią decyzję w tej sprawie podpisał Mariusz Błaszczak, szef resortu obrony. Zgodnie z zatwierdzonym dokumentem w taki właśnie sposób będą honorowani żołnierze, którzy ukończą kurs doskonalący Combat Lifesaver (CLS). Szkolenia tego rodzaju są prowadzone od 2012 roku w Wojskowym Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi. Ich program obejmuje m.in. posługiwanie się indywidualnym wyposażeniem medycznym, udzielanie taktycznej pomocy medycznej rannemu na polu walki, udrażnianie dróg oddechowych, tamowanie krwotoków przy użyciu stazy taktycznej CAT i opatrunku hemostatycznego, a także zgłoszenie ewakuacji medycznej (MEDEVAC) oraz ewakuację rannego za pomocą noszy SKED.

Jak dotąd, każdy polski żołnierz, który ukończył kurs CLS, otrzymywał odpowiedni certyfikat i uzyskiwał tytuł ratownika pola walki. Teraz dostanie także odznakę. To niebieski, sześcioramienny krzyż, zwany gwiazdą życia, będący symbolem ratownictwa medycznego. Pośrodku są skrzyżowane laska Eskulapa – symbol medycyny, oraz miecz, mający odzwierciedlać ratownictwo na polu walki. To pierwsza taka odznaka w medycynie wojskowej. Szacuje się, że odznaczenie będzie mogło otrzymać rocznie kilkuset wojskowych.

Nadaje je komendant Centrum na trzy lata, z możliwością przedłużenia na kolejne trzy – po recertyfikacji kursu. Żołnierz, który nie weźmie w nim udziału lub nie potwierdzi umiejętności, straci prawo do noszenia odznaki. PG/PZ

SPOKÓJ NIEŚMIERTELNIKA

**Żołnierzom i ludziom związanym z wojskiem
udostępniamy łamy „Polski Zbrojnej”, aby zachować
pamięć o tych, którzy odeszli.**

Panu Januszowi Janiszewskiemu,
prezesowi Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej,
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci
Ojca
składa dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
gen. broni Tomasz Piotrowski
wraz z żołnierzami i pracownikami RON.

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
Taty

ppłk. Piotra Sokala,
kierownika Klubu Dowództwa Operacyjnego
Rodzajów Sił Zbrojnych
im. gen. Bronisława Kwiatkowskiego.
Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
Rodzinie oraz Najbliższym Pana Pułkownika
składa dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
gen. broni Tomasz Piotrowski
wraz z żołnierzami i pracownikami RON.

Naszemu Koledze
mjr. Zbigniewowi Wasylów
wyrazy głębokiego współczucia i słowa otuchy
z powodu śmierci
Mamy
składają koleżanki i koledzy
z 1 Batalionu Strzelców Podhalańskich
w Rzeszowie.

Panu st. chor. sztab. Dariuszowi Samborskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Teściowej
składają dowódca, żołnierze i pracownicy RON
1 Batalionu Czołgów z Żurawicy.

Z głębokim żalem i pogrążeni w smutku zawiadamiamy,
że w dniu 5 czerwca odszedł od nas
twórca Jednostki Wojskowej Formoza,
ojciec chrzestny sztandaru wojskowego
Jednostki Wojskowej Formoza
kmdr dypl. w st. spocz. Józef Rembisz.
W imieniu całego stanu osobowego Jednostki
głębokie wyrazy współczucia
Najbliższym
składa Dowódca Jednostki Wojskowej Formoza.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci
Mamy
Pani Wioletcie Podbarczyńskiej
składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

Panu ppłk. Mirosławowi Sośnie
wyrazy głębokiego współczucia oraz najszczerze
kondolencje z powodu śmierci
Teścia
składają komendant, żołnierze i pracownicy
25 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Białymstoku.

Panu kpt. Grzegorzowi Krakowiakowi
wyrazy głębokiego współczucia oraz słowa wsparcia
i otuchy z powodu śmierci
Taty
składają koleżanki i koledzy z EW-SIL
32 Bazy Lotnictwa Taktycznego.

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Mamy

płk. Piotra Siemińskiego,

szefera Centrum Targetingu i Ognia Połączonego
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych
im. gen. Bronisława Kwiatkowskiego.

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia

Rodzinie oraz Najbliższym Pana Pułkownika

składa dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych

gen. broni Tomasz Piotrowski

wraz z żołnierzami i pracownikami RON.

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci

ppłk. rez. lek. Zbigniewa Walasa,

byłego zastępcy komendanta 5 Wojskowego Szpitala
Klinicznego z Polikliniką SPZOZ w Krakowie.

Rodzinie i Najbliższym

szczerze wyrazy głębokiego współczucia składają
komendant, kadra zawodowa i pracownicy

5 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką w Krakowie.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje

Pani Jolancie Trzyna

z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
6 Batalionu Chemicznego Sił Powietrznych
w Śremie.

Panu mjr. Arturowi Marcinkowskiemu

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia w trudnych chwilach po śmierci

Ojca

składa komendant wraz z podległą kadram i pracownikami
Centrum Szkolenia Wojsk Inżynierskich
i Chemicznych we Wrocławiu.

Pani Agnieszce Pawelec

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
oraz szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Taty

składają komendant, żołnierze i pracownicy
44 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Krośnie Odrzańskim.

Panu st. sierż. Maciejowi Krupa

wyrazy szczerzego współczucia,
słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy RON
Centrum Rozpoznania i Wsparcia Walki
Radioelektronicznej w Grójcu.

Panu Krzysztofowi Okruszko

wyrazy głębokiego współczucia oraz najszczerze
kondolencje z powodu śmierci

Taty

składają komendant, żołnierze i pracownicy
25 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Białymstoku.

Panu ppłk. Romanowi Mysiakowskiemu

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze
oraz pracownicy RON
16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej.

Panu płk. Grzegorzowi Lisowskiemu

wyrazy żalu i szczerzego współczucia ze słowami
wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy ze Służb Technicznych
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Pani Beacie Pobiedzińskiej

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
oraz szczerze kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, żołnierze i pracownicy
44 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Krośnie Odrzańskim.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 7 lipca 2020 roku zmarł w Toronto
śp.

płk pil. Marcelli Ostrowski

urodzony 30 maja 1920 roku w Antonio Rebouças
w Brazylii.

W początku 1941 roku zgłosił się ochotniczo
do służby w Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii.

Po przetransportowaniu z Brazylii do Szkocji,
od sierpnia służył w 16 Brygadzie Czołgów

1 Korpusu Polskiego. W listopadzie 1941 roku
przeniesiony do Polskich Sił Powietrznych przy RAF.

Po przeszkoleniu otrzymał przydział jako strzelec
pokładowy do 301 Dywizjonu Bombowego „Ziemi
Pomorskiej im. Obrońców Warszawy”.

W latach 1942–1943 odbył 30 lotów operacyjnych.

Po ukończeniu Szkoły Podchorążych Piechoty
i Kawalerii Zmotoryzowanej awansowany we wrześniu
1943 roku na podporucznika lotnictwa.

Od marca 1945 roku porucznik pilot.

Po demobilizacji w 1947 roku powrócił do Brazylii,
następnie w 1955 roku osiedlił się na stałe w Kanadzie.
Aktywny działacz Stowarzyszenia Lotników Polskich,
wieloletni Przewodniczący Rady Naczelnej i Członek
Honorowy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów
w Kanadzie. Uhonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu
Wojennego Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych
trzykrotnie, Medalem Lotniczym oraz wieloma innymi
odznaczeniami polskimi i brytyjskimi.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
Jolanty Wojtaś-Zapory,
kierownik Wydziału Kultury Wojskowego Centrum
Edukacji Obywatelskiej,
wspaniałej Koleżanki, powszechnie cenionej
i zasłużonej animatorki działalności kulturalnej
oraz amatorskiego ruchu artystycznego
w Wojsku Polskim.
Pograżonej w bólu
Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia
składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej.

Łącząc się w żałobie i smutku po śmierci ukochanej
Mamy,

składamy kondolencje i przekazujemy
wyrazy współczucia

**Panu ppłk. Piotrowi Siuchninskiemu
oraz Jego Bliskim.**

Komendant, żołnierze i pracownicy
Mazowieckiego Oddziału Żandarmerii Wojskowej

Panu gen. bryg. Dariuszowi Plucie

wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego
Ministerstwa Obrony Narodowej.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
płk. Jarosława Piotrowskiego.

Wyrazy współczucia i szczerze kondolencje

Żonie oraz Synom z Rodzinami

składają komendant, zastępca komendanta,
żołnierze i pracownicy

Regionalnego Centrum Informatyki Warszawa.

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

Pana płk. w st. spocz. Włodzimierza Kościka,
serdecznego kolegi i wieloletniego pracownika
Departamentu Budżetowego
Ministerstwa Obrony Narodowej.

Rodzinie i Najbliższym

najszczerze wyrazy współczucia
składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego
Ministerstwa Obrony Narodowej.

**Panu ppłk. Piotrowi Siuchninskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy głębokiego współczucia, szczerze kondolencje
i słowa wsparcia w trudnych chwilach po śmierci

Mamy

składają komendant główny, żołnierze i pracownicy
Żandarmerii Wojskowej.

**Panu ppłk. Sylwestrowi Drozdowi
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
2 Mazowieckiego Pułku Saperów oraz żołnierze
3 Batalionu Drogowo-Mostowego.

Wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Żony

Panu Henrykowi Ziembie

składają komendant, żołnierze i pracownicy
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

**Panu ppłk. Sylwestrowi Drozdowi
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
3 Włocławskiego Batalionu Drogowo-Mostowego
w Chełmnie.

Pani Jolancie Kałużnej

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Teścia

składają komendant, żołnierze i pracownicy
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.



st. chor. Ryszard Zalewski
5 września 1989 roku
UNTAG Namibia

por. Daniel Różyński
12 września 2004 roku
PKW Irak

st. chor. sztab. Jan Franciszek Boleszczuk
5 września 1989 roku
UNTAG Namibia

st. chor. Rafał Celebudzki
16 września 2014 roku
PKW Afganistan



Pamiętamy

kpr. Artur Pyc
8 września 2009 roku
PKW Afganistan



chor. Kazimierz Kajszyk
20 września 1991 roku
UNDOF Syria

**st. chor. Sylwester
Dominik Janik**
2 września 2013 roku
PKW Afganistan



kpr. Piotr Marciniak
10 września 2009 roku
PKW Afganistan



płk Bogdan Reczek
21 września 1977 roku
UNEF II Egipt

sierż. Marcin Poręba
4 września 2009 roku
PKW Afganistan



por. Piotr Mazurek
12 września 2004 roku
PKW Irak

chor. Kazimierz Kasprzak
27 września 2010 roku
PKW Afganistan



**st. chor. Władysław
Wojciechowski**
5 września 1989 roku
UNTAG Namibia

kpr. Grzegorz Nosek
12 września 2004 roku
PKW Irak

szer. Józef Zuzanski
28 września 1994 roku
UNDOF Syria



JEDNODNIÓWKI HISTORYCZNE

stylizowana seria edukacyjna



TEL DAT



Bydgoska firma - od 24 lat produkująca innowacyjne systemy sieciocentryczne i ich elementy dla sektorów bezpieczeństwa i obronności

Twórca i producent **JASMINa** - unikalnego Systemu Systemów w zakresie: automatyzacji dowodzenia, wsparcia działań wojsk i łączności

www.TELDAT.com.pl



**Laureat wielu prestiżowych nagród
polskich i zagranicznych**

TEL DAT
Cicha 19-27
85-650 Bydgoszcz

tel.: +48 52 341 97 00
fax: +48 52 341 97 40
e-mail: teldat@teldat.com.pl